

U. WALDO CUTLER

O KRÓLU ARTURZE I RYCERZACH OKRĄGŁEGO STOŁU

O KRÓLU ARTURZE I RYCE-RZACH OKRĄGŁEGO STOŁU

O KRÓLU ARTURZE I RYCERZACH OKRĄGŁEGO STOŁU

WEDŁUG MALORY'EGO »MORTE DARTHUR« OPOWIEDZIAŁ U. WALDO CUTLER A PRZEŁOŻYŁA FELICJA KRUSZEWSKA

PWKS

MCMXXXVII

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO KSIĄŻEK SZKOLNYCH WE LWOWIE

ILUSTRACJE MICHAŁA BYLINY. OKŁĄDKA WACŁAWA SIEMIĄTKOWSKIEGO. ═ Z TŁOCZNI L. WIŚNIEWSKIEGO WE LWOWIE PRZY ULICY OSSOLIŃSKICH POD NUMEREM 16 POD ZARZ. KLEMENSA PREIDLA. PRACE INTROLIGATORSKIE WYKONAŁ ZAKŁAD J. LEGEŻYŃSKIEGO WE LWOWIE, UL. ZIMOROWICZA 16.

[Rycerzy sławnych bractwo najprzedniejsze,
o jakim świat wspomina]

TENNYSON

Do najulubieńszych utworów w Anglii pięćset czy sześćset lat temu należały wszelkie opowiadania o zbrojnych czynach, walkach, turniejach i przeróżnych przygodach rycerskich. W owych czasach, kiedy nie drukowano jeszcze książek, a rzadko kto czytać umiał, zarówno dzieci, jak i dorośli przepadali za słuchaniem tych starodawnych opowieści wygłaszanych, czy śpiewanych przez minstreli.

... Najpopularniejszymi bohaterami tych wczesnych romansów rycerskich byli król Artur i jego rycerze — Bractwo Okrągłego Stołu; najwznioślejszym osiągnięciem ideału rycerskiego, o jakim romanse te prawią, jest odnalezienie świętego Graala. Materiał, który dostarczył wątków narracyjnych całemu cyklowi legend Arturowych pochodzi z różnych krajów i rozmaitych okresów historii; wiele w tych opowieściach jest wytworem fantazji jedynie, ale wszyscy pisarze, podejmujący owe wątki z różnych źródeł wysnute, wiążą wydarzenia, o których w opowieściach mowa, z postacią króla Brytów z V wieku, Artura — rycerza „bez lęku i bez zarzutu".

Być może istniał naprawdę jakiś król Artur, który wiódł Brytów przeciw najeźdźcom Saksonom i zginął z ręki zdrajcy siostrzeńca, po śmierci zaś pochowany został w Glastonbury, owej legendarnej dolinie Avilionu; być może, jakieś prawdziwe wydarzenia historyczne do-

starczyły tematów, dokoła których narastał i krystalizował się w ciągu wieków materiał powieściowy — ale Artur, główny bohater romansów rycerskich jest postacią wyrosłą całkowicie z fantazji dawnych pisarzy. Pisarzy, — gdyż cykl opowieści o królu Arturze budowały całe pokolenia; każdy z autorów brał materiał pozostawiony przez jego poprzedników i przetwarzał go na nowo. I tak, najdawniejszy ślad rzeczywistego istnienia Artura, czy też narodzin legendy o nim, znajdujemy w starej łacińskiej kronice Venniusa, której jeden ustęp mówi o królu Arturze i jego dwunastu wielkich bitwach. Jest rzeczą możliwą, że sama ta kronika opierała się na wcześniejszych jeszcze opowieściach walijskich, przekazywanych drogą ustnej tradycji z ojca na syna, może w ciągu wieków całych — opowieści, które utworzyły stopniowo jakąś legendarną historię „najdawniejszej Anglii", opowiedzianą w dialekcie bretońskim, jakim posługiwano się po drugiej stronie kanału Angielskiego.

O tej książce, która przed dawnym czasem zaginęła, wspominają późniejsi pisarze. Geoffrey z Monmouth powiada, że była ona dla niego źródłem, skąd czerpał materiał do swojej „Historia Britonum", napisanej prozą po łacinie mniej więcej w połowie XII wieku. Owa łacińska historia Geoffrey'a jest zarazem najwcześniejszą wersją cyklu legend związanych z królem Arturem. W niedługim czasie przetłumaczyli ją na francuski (w dialekcie normandzkim) Wace oraz inni autorzy. Wówczas też po raz pierwszy Arturowe legendy otrzymały formę wierszową.

Jeszcze później w tym samym wieku XII cały ów materiał opracowany został na nowo w języku francuskim, prozą. Autorstwo tego opracowania przypisywano czas jakiś Walterowi Map.

Na samym początku trzynastego stulecia, w pół wieku

potem, od czasu, kiedy Geoffrey z Monmouth pierwszy ukazał Anglikom postać legendarnego króla, bohatera czasów anglosaskiego podboju Brytanii — Layamon, proboszcz z Ernly w hrabstwie Worcester, dał swym rodakom po raz pierwszy w języku angielskim (odmiennym od dawnego anglosaskiego) poemat p. t. „Brut“. Był to dowolny i rozszerzony znacznie przez Layamona przekład francuskiej wierszowanej wersji legend o królu Arturze. Tak więc opowieści o królu Arturze pochodzenia walijskiego i celtyckiego najpierw poprzez łacinę, potem poprzez wiersz i prozę francuską przedostały się do literatury angielskiej, ażeby rozpocząć w niej swe sławne dzieje poprzez wieki całe, aż do czasów nieomal współczesnych. Najsłynniejszym ich opracowaniem jest prozaiczny utwór z wieku XV p. t. „Le Morte Darthur“ (śmierć Artura)*. Autorem jego jest Sir Thomas Malory, rycerz.

A zgoła niespokojne to były czasy, kiedy rycerz „Pan Tomasz“ spłaciwszy, być może, swą rycerską daninę w toczącej się podówczas „wojnie dwóch róż“ schronił się wreszcie w wiejskie zacisze w hrabstwie Warwick, aby tam powiązać prastare legendy Arturowe w jedną ogromną księgę — jedno z klasycznych dzieł prozy staroangielskiej.

Książka ukończona przez Malory'ego w roku 1470 uwieczniona została dla potomności w r. 1485, kiedy to wydawca londyński Caxton, ogłosił ją drukiem otrzymawszy jej rękopis, jak powiada „za zrządzeniem Bożym“...

Książka niniejsza przeznaczona dla młodzieży jest przeróbką z „Morte Darthur“ Malory'ego. Autor starał się o zachowanie w niej, w miarę możności jak najwierniejsze, ducha oryginału wybierając spośród mnóstwa opowieści te, które najlepsze dają wyobrażenie o całości,

opuszczając lub zmieniając takie jedynie ich ustępy, które dziś — bez dokładnej znajomości współczesnej Malory'emu epoki byłyby niezrozumiałe lub rażące. Nie zapominajmy bowiem, że psychika i obyczaje ludzi XV w. były inne, niż psychika i obyczaje ludzi wieku XX.

Opowieści o królu Arturze i jego rycerzach mówią o rycerskości i rycerstwie: rycerskości jako pewnej postawie duchowej człowieka w życiu, rycerstwie — jako pewnym systemie z właściwymi mu prawami, obyczajami i urządzeniami...

... Godność rycerza, która w owych czasach dawała pewne uprzywilejowane stanowisko społeczne, otrzymywało się po długich latach ćwiczeń i nauki. Od 7-go do 14-go roku życia syn „szlachetnego“ człeka był paziem na dworze suwerena swego ojca, gdzie uczył się zasad religii, posłuszeństwa i dwornych obyczajów. Po ukończeniu lat 14-tu jako giermek rozpoczynał surowy kurs ćwiczeń, które miały na celu rozwinięcie jego sprawności fizycznej i odwagi. Obok umiejętności wojowania młodzieniec uczestnicząc w życiu dworskim, nabywał również w tym czasie ogłady towarzyskiej, niezbędnej w obcowaniu z rycerzami i damami. Wreszcie, po ukończeniu 21-go roku życia giermek zostawał rycerzem. Pasowaniu na rycerza towarzyszył wyszukany i uroczysty ceremoniał. Wówczas to złożywszy ślubowanie, że będzie postępował zawsze zgodnie z honorem rycerskim, to znaczy lojalnie, odważnie i szlachetnie, młody rycerz z dumą przywdziewał zbroję i wyruszał w świat, pełen poczucia mocy, jakie dawały mu jego siła fizyczna, nieprzenikniony pancerz i stanowisko społeczne, wynoszące go wysoko ponad tłum nierycerzy. Wskazania rycerskości, należycie pojęte i wypełniane były niemałym dobrodziejstwem dla ludzi tamtych czasów. Miały one prowadzić do wysokiego chrześcijańskiego ideału człowieczeń-

 stwa, którego

stwa, którego cechami były: czystość duszy, gorące serce, odwaga i uczynność dla bliźnich. Budziły one myśl, podnosiły poziom moralny, nieciły w sercach współczucie dla pokrzywdzonych.

Oczywiście, podobnie jak się to zdarza i teraz i zawsze — ideał rzadko kiedy był w pełni osiągany. Ludzie średniowiecza bowiem, podobnie jak i współcześni, nadużywali nieraz siły mięśni, miecza i stanowiska. Nieraz swoboda, jaką cieszył się błędny rycerz, wyradzała się w swawolę rozbójnika, duma, jaką czerpał z gotowości śpieszenia z pomocą pokrzywdzonym, zmieniała się w pyszałkowatość zawadiaki, umiłowanie wolności osobistej prowadziło do zuchwalstwa i bezkarności...

... Opowieści o królu Arturze i jego rycerzach pozwalają czytelnikowi powziąć pewne wyobrażenie o zwyczajach, dziełach i ideałach średniowiecza, zarówno gdy idzie o jego dobre, jak i o złe strony. Ale siłą tej książki jest siła jej poezji. Chociaż bowiem „nasz własny idealny rycerz“ — ów król Artur nigdy może nie stąpał po ziemi angielskiej, tym niemniej jego rycerska postać i rycerskie czyny jego towarzyszy są czymś rzeczywistym i prawdziwym, albowiem „ideał poety jest najprawdziwszą prawdą“.

U. Waldo Cutler

---

* Zniekształcenie wyrazów francuskich: Mort d'Arthur. Ten tytuł utworu Malory'ego przyjęty został przez naukową literaturę angielską, por. choćby: G. J. Wells, A Manual of English Writings 1050—1400.

Zamieszczony powyżej skrót przedmowy autora mówi o dziejach powstania tekstu Malory'ego, z którego dokonana została przeróbka dla młodzieży.

Cykl legend, związanych z tematem Bractwa Okrągłego Stołu i poszukiwania świętego Graala, wspólny literaturom zachodnim, nie miał w Polsce swego odpowiednika. Nie istniała u nas bowiem nigdy literatura w ścisłym znaczeniu rycersko-dworska. W Polsce z jej ustrojem szlachecko-kmiecym nie tylko nie mogły powstać w średniowieczu jej własne legendy w tym właśnie duchu, ale również i sam temat Arturiański nie przedostał się do nas echem w tak zwanych romansach pseudohistorycznych, które pojawiają się u nas już później, w wieku XVI, przeważnie jako przeróbki i przekłady utworów obcych.

A ma to dzieło, opracowane przez rycerza Malory'ego w Anglii w wieku XV, umieszczające zaś czas wydarzeń w wieku V po Chrystusie, swój własny, odrębny klimat duchowy i artystyczny. To też, gdy wynikła sprawa uprzystępnienia młodzieży polskiej opowieści o królu Arturze i jego rycerzach w przeróbce Cutlera, z ciekawością zajrzałam do angielskiego tekstu. Przeczytawszy kilka ledwo zdań, tu i tam, na chybi trafi, wiedziałam już, że tłumaczenia się podejmę. Słownictwo, jakiego

użył autor przeróbki do oddania w przybliżeniu ducha i języka oryginału, zadowalało mnie całkowicie. Mogłam pisać po polsku prawie „słowo po słowie jak angielska książka powiada“, o to jedynie dbając, ażeby dla wyrazów angielskich i ich powiązań odnaleźć słowa i zdania polskie o tej samej wartości, wadze i zabarwieniu. Szło mi przy tym o zachowanie owego właściwego tej książce klimatu, jej, że tak powiem, zagraniczności. Wczucie się w ten klimat podyktowało mi użycie tych a nie innych wyrazów. Dlatego też umieściłam w polskim tekście takie tytuły, jak diuk (Duke) — książę i dama (Dame, dawniej damme). Ostatni przysługiwał w Anglii w dawnych czasach kobiecie dostojnego rodu, w połączeniu z tekstem wyraz ten otrzymuje swoiste, inne niż u nas w mowie potocznej znaczenie. Natomiast, gdy szło o oddanie angielskiego tytułu rycerskiego (Knight), zaznaczanego przez umieszczenie przed imieniem chrzestnem wyrazu „Sir“, to — zgodnie zresztą z jego istotnym znaczeniem, nie mogłam po prostu wybrać innego polskiego słowa niż użyte w jego prawdziwym rozumieniu słowo „Pan“. Czułam, że w tym tak odległym w czasie i dalekim od naszego życia Arturowym świecie, gdzie przeplotły się elementy baśni ludowej, rapsodu rycerskiego i legendy chrześcijańskiej, oczyści się ono ze znaczenia, jakie mu nadała dziś mowa potoczna i odzyska swą dawną pierwotną świetność, którą zachowało dotychczas w poezji. Imiona bohaterów spolszczone są na tyle, aby nie raziły polskiego ucha i dały się wymawiać i odmieniać bez trudności.

Na samym końcu książki zamieścił autor przeróbki posłowie drukarza angielskiego Caxtona, który dzieło Malory'ego wydał. W miarę możności starałam się oddać wiernie po polsku archaiczny język i pisownię tego posłowia. Podobało mi się jego zamieszczenie. Jakby

pięknym średniowiecznym ornamentem zamyka ono fabułę całego utworu, rzucając na nią raz jeszcze światło tamtejszych czasów.

Nim do owej klamry zamykającej rycerskie sprawy doszło, przez czas jakiś dzień po dniu wchodziłam coraz dalej w świat Arturowy, przestając z rycerzami, którzy chodzili po nim w blasku sławy, ale przede wszystkim w blasku poezji. Znajome mi się stawały tego świata dróżki baśniowe, wiodące przez „głębokie“ lasy brytańskie, przez doliny i nad jezior wody rozlane — i przez ludzkie życie zarazem, gdzie przestrogi i pokusy w postać starców, karłów i panien wyrastają nagle jak spod ziemi o każdej porze i na każdym miejscu.

A choć z początku z uczuciem pewnej odrazy zasiadałam do opisów już nie tyle walk, ile masowych po prostu uśmierceń, zobaczyłam wkrótce, że w świetle romansu owe wylewane potoki krwi traciły swój słony duszący zapach, nabierając lśniącego połysku rubinów. Wiedziałam też, że — pomijając całą surową prawdę okrutnych średniowiecznych czasów, dużo było w opowieściach o tych rycerskich wyczynach naiwnej dziecięcej przechwałki, często również przeciwnik, któremu tak gładko odrąbywało się głowę był niczym innym tylko upostaciowaniem grzechu.

Miło mi też było i ciekawie całkiem tymi dróżkami wędrować przez dziwności różne powstałe z przełamania się w krysztale poezji obyczajów, wierzeń i przekonań średniowiecznego świata. Cóż dopiero, kiedy dróżki te zalał jasny żarliwy ogień chrześcijańskiego i rycerskiego razem ducha, tak bardzo pożądliwego Bożej bliskości! Wówczas wystrzeliły jakby łukiem gotyckim ku górze, wznosząc się na szczyty i ówczesnej poezji zarazem i ówczesnej moralności, sięgając zaś jeszcze wyżej — w sferę wartości wiecznych. Przez wieki bowiem powtarza się

sprawa świętego Graala: zdobywanie wielkim trudem i całym życiem Boga, wiele też z przykazań rycerskich Bractwa Okrągłego Stołu tworzy i dziś trzon przykazań istotnego bohaterstwa.

Na owych szczytach oddychało się już naprawdę wielkością.

A odbijały przy tym w sobie te opowieści, tworzone poprzez wieki całe i całkowicie nieomal dziełem fantazji będące, rzeczy bardzo ludzkie i bardzo prawdziwe. To pozwalało niejedno w nich zrozumieć. To naprzykład dlaczego miejsce naczelne wyznacza legenda Arturowi, choć go tak prawie doszczętnie w dalszym toku fabuły przesłaniają postacie innych rycerzy, Arturowi, który w wyprawie do Świętego Graala udziału nie brał i w porównaniu z innymi zaiste nie najwięcej czynów rycerskich dokonał, a przecie przez czary z dopustu Bożego był chroniony i jeden jedyny żywcem wichrem poezji poza legendę porwany został. Uczczono w nim idealny prototyp organizatora państwowości brytańskiej, tego, który Bractwo Okrągłego Stołu założył, ludzi na urzędy wyznaczał i ład na ziemiach zdobytych zaprowadzał. A i to także, dlaczego ulubieńcem legendy jest nie Pan Galahad, najlepszy rycerz świata, ale najwyraźniej Pan Lancelot, rycerz, który na ścieżkach tego świata tak bardzo błądził. Nie tyle średniowieczna, ile wieczna to jest bowiem sprawa. Złocista poświata kładnąca się na pacholęcej postaci rycerza bez zmazy przesłania naszym oczom wyrazistość jego rysów anielskich — ucieleśnia on tęsknotę do Ideału. Zaś w drugiego piersi szerokiej pod blachą pancerza czuje się bijące bratnie, skłonne do upadków i wzlotów ludzkie serce.

Trudno powiedzieć inaczej, bliscy mi się stali Arturowi rycerze i książka, która o nich powiadała. Miłe mi były nawet pewne jej niekonsekwencje i sprzeczności —

tu i tam tkwiące ślady splatania przez autora różnych wersji i różnych wątków w jedną całość.

I doprawdy szczerym żalem przejmował mnie tego rycerskiego świata koniec nieunikniony. Nie tyle to bowiem Pana Lancelota pycha i Pana Mordreda złość, ile chyba fatalna siła przemijania zapaliła w nich wszystkich to szaleństwo straszliwe, które do walki bratobójczej i do zagłady ich pchnęło. Że śpieszyli się tak bardzo, jedni, aby śmiertelnym pokotem na chłodnej lec ziemi, inni — ażeby w cichej pustelni żywota dokonać, jakby wiedzieli, że nie ma już dla nich miejsca w nowym nadchodzącym świecie. Jak gdyby wiedzieli i to także, że niektórym spośród nich trzeba będzie rodzić się znów i znów na nowe przygody i do nowych osiągnięć. Bowiem opowieści o żarliwych, tak bardzo krwawych i tak bardzo „z ducha“ nieraz będących przygodach króla Artura i jego rycerzy są poza wszystkim i przede wszystkim przetłumaczonym na ówczesne pojęcia wyrazem wrodzonej ludziom każdego wieku tęsknoty do Wielkości.

Felicja Kruszewska

ROZDZIAŁ I O NARODZINACH KRÓLA ARTURA

Zdarzyło się w czasach Utera Pendragona, króla podówczas całej Anglii, iż był w Kornwalii diuk jeden możny wielce i ten wojował z królem przez czas długi. A zwał się ów diuk Księciem Tintagilu.

Zasię o dziesięć mil od jego zamku, zwanego Terrabilem, na zamku, Tintagilem zwanym, mieszkała Igrena z Kornwalii, którą król Uter upodobał sobie i miłował wielce, gdyż była to pani dobra, urodziwa i mądra bardzo. Nad wszelką miarę mile ją król widział i pragnął wzamian miłości pięknej Igreny, lecz nie chciała Igrena na to przystać. Przeto z wielkiego gniewu i wielkiego kochania król Uter zachorzał.

Żył zaś w tym czasie w Anglii czarodziej potężny, Merlinem zwany, który mógł zjawiać się, gdzie tylko chciał, i mógł zmieniać wygląd swój wedle własnej chęci, wolą zaś swoją czynić rzeczy dziwne ku pomocy lub na szkodę niewiast lub rycerzy. Przyszedł tedy do króla rycerz jeden zacny, Pan Ulfius, i powiedział:

— Odnajdę Merlina, aby ci dopomógł i ucieszył serce twoje.

I pojechał Ulfius i napotkał szczęśliwie Merlina w przebraniu żebraka i wymógł na nim, iż podąży za nim nie mieszkając do królewskiego namiotu.

Stanął wkrótce Merlin przy boku króla i powiada:

— Wiem, co jest w sercu twoim i przyrzekam ci, iż stanie ci się, jako chcesz, jeśli przysiężesz mi wzajem, że spełnisz moją wolę.

To zgodził się król uroczyście uczynić. A wtedy rzekł mu Merlin:

— Gdy już zdobędziesz Igrenę i pojmiesz ją za żonę, narodzi wam się dziecię, które mi oddasz, abym je wychował, jako zechcę. A stanie się to dla twojej chwały i dla dobra dziecięcia.

Tegoż wieczora napotkał w bitwie król Uter diuka Tintagilu, który bronił przystępu do zamku pięknej Igreny i pokonał go. I powitała Igrena króla z miłością, gdyż Merlin dał mu postać miłą jej oczom. Że zaś oświadczyli wszyscy baronowie swoją zgodę na małżeństwo królewskie, pobrało się tych dwoje o poranku w wielkim weselu i radości.

A gdy nadszedł czas, że Igrena powić miała syna, przyszedł znów Merlin do króla dopominać się jego obietnicy i powiedział:

— Znam ci ja pana możnego w twoim kraju, człeka uczciwego i wiernego wielce, a zwie się on Pan Ektor i będzie chował dziecko twoje. Kiedy przyjdę, niech mi wydane będzie królewiątko w miejscu, gdzie trzymają straż ludzie królewscy.

Wzięło tedy dwóch rycerzy i dwie damy Artura Pendragona, niemowlątko w złotogłów spowite, i zaniosło go do czatów u bramy zamkowej i oddało Merlinowi przebranemu za ubogiego człeka, a ten zaniósł go do Pana Ektora. I Ektorowa żona hodowała niemowlę jak własne.

Po dwóch zasię latach zachorzał król Uter słabością wielką. I zasmucili się tym wielce baronowie i zapytali Merlina, co czynić należy, gdyż niewielu z nich widziało dziecię królewskie lub słyszało o nim.

Rankiem za radą Merlina przyszli wszyscy przed króla i powiedział Merlin:

— Panie, gdy dni twoje przeminą, maż syn twój Artur władać tym królestwem i wszystkimi jego przyległościami?

Wtedy zwrócił się ku niemu król Uter i rzekł, aby słyszeli wszyscy:

— Daję mu błogosławieństwo Boże i błogosławieństwo moje i pod utratą tego błogosławieństwa nakazuję mu, aby zgodnie z prawem i honorem domagał się korony.

To powiedziawszy zmarł. Pochowano go, jak króla chować przystało, a królowa Igrena i wszyscy baronowie smucili się bardzo.

KONIEC ROZDZIAŁU PIERWSZEGO
O NARODZINACH KRÓLA ARTURA

ROZDZIAŁ II O SYNU UTEROWYM CAŁEJ ANGLII KRÓLU PRAWOWITYM

Przez długi czas królestwo narażone było na szwank wielki, gdyż każdy z panów umacniał swoje siły, niejeden zaś z nich przemyśliwał nad tym, jak raczej samemu królem zostać, niż uznać za pana dziecię, którego nigdy nie oglądał.

Przewidział był Merlin ów cały zamęt, przeto trzymał królewiątko w ukryciu, aby nie doznało krzywdy od zazdrosnych baronów, póki lat swoich nie dojdzie i do objęcia rządów nie stanie się sposobne. I nawet Pan Ektor nie wiedział nic o tym, że w domu jego wespół z synem jego Kajem wzrasta syn królewski i dziedzic korony.

Aż kiedy urósł wreszcie młody Artur na młodzieńca dorodnego i wyćwiczonego w sztuce rycerskiej, udał się Merlin do Arcybiskupa Canterbury i doradził mu, aby zwołał do Londynu w dzień Pańskich Narodzin wszystkich możnych panów z całego królestwa i z całego królestwa wszystką brać rycerską, w on czas bowiem Bóg w wielkiej swej łaskawości cud czyniąc wskaże im, kto ma być Anglii władcą prawowitym.

Uczynił Arcybiskup, jak mu Merlin doradził. Tedy wszyscy najprzedniejsi rycerze oczyściwszy się z grzechów na świętej spowiedzi, tak iżby ich modlitwa tym łacniej przez Boga wysłuchana być mogła, zjechali się na dzień Pańskich Narodzin do Londynu. A każdy z nich myślał sobie, że, być może, Bóg mu tę łaskę uczyni

 i królem

i królem naznaczy. Przeto zgromadziwszy się w największej świątyni stolicy (czy była to katedra świętego Pawła, czy też nie, o tym stare kroniki milczą) spędzili w niej na modłach dzień cały. A gdy już odprawiono pasterkę i wyszli o świcie rycerze z kościoła, ujrzeli na cmentarzu kościelnym potężny, graniasty złom kamienny. Pośrodku owego głazu tkwiło kowadło stalowe, zasię w ono kowadło zatknięty był miecz obnażony i świetliście ostrzem połyskujący. Dokoła miecza biegły złotem pisane litery głosząc napis taki: „Ktokolwiek tego miecza z onego głazu a kowadła dobędzie, ten królem jest prawowicie zrodzonym całej Anglii".

Dziwowali się wokół zebrani widokiem owego głazu i napisu, zasię niejeden, co królem chciał zostać, za rękojeść miecza pociągnął. Ale miecz ani drgnął, przeto orzekł Arcybiskup:

— Nie masz tu tego, co mieczem tym owładnie, a jednak nie wątpmy, że Bóg go nam w końcu da poznać. Przeto rada moja jest taka. Wybierzmy dziesięciu rycerzy, ludzi zacnych i niech strzegą tego miecza, aż się zjawi prawy jego właściciel.

Tak też zarządzono i ogłoszono wszem, iż próbować może miecz posiąść, kto zapragnie. W dzień zaś Nowego Roku urządzili baronowie turnieje i gonitwy dla chętnych rycerzy. A uczyniono to dlatego, aby zgromadzić pospołu panów możnych i brać rycerską, gdyż zawierzył Arcybiskup Bogu, iż mu wkrótce wolę swą objawi i króla wskaże. Tak więc w dzień noworoczny wyjechali baronowie w pole, niektórzy dla gonitwy, niektórzy, aby się w szrankach potykać. I zdarzyło się, że Pan Ektor wyjechał także, a wraz z nim syn jego, Pan Kaj, który niedawno rycerzem został, i młody Artur, Kaja brat przyrodni.

Gdy tak jechali do miejsca, gdzie się turniej odbywał,

 spostrzegł

spostrzegł nagle Pan Kaj, że miecza swego w gospodzie, gdzie stanęli z ojcem, zapomniał, prosił więc Artura, aby wróciwszy się miecz mu przywiózł.

— Chętnie to uczynię — rzekł Artur i do domu pośpieszył. Aliści ani gospodyni, ani też nikogo ze służby, kto by mógł mu miecz Kajowy wydać w domu nie zastał, wylegli bowiem wszyscy na pole, aby na turniej popatrzeć.

Zakłopotał się przeto Artur i powiedział sobie:

— Pojadę ci ja na cmentarz kościelny i wezmę ów miecz w głaz wetknięty, gdyż nie może brat mój, Pan Kaj, dnia dzisiejszego bez miecza zostać.

Podjechawszy więc do głazu zsiadł Artur z konia i u słupa go uwiązał. Potem poszedł wprost do namiotu straży, ale nikogo z rycerzy nie znalazł. Wszyscy na turniej pojechali. Ujął wtedy za rękojeść miecza i pociągnął ją ku sobie mocno i wyszedł miecz z kowadła posłusznie a bez oporu. Wówczas znów konia dosiadłszy pojechał Artur w pole, aż odnalazł brata swego, Pana Kaja, i miecz mu oddał.

Gdy tylko Pan Kaj miecz zobaczył, poznał odrazu, że to ten sam, co w głazie tkwił, podjechał więc do ojca, Pana Ektora, i rzekł mu:

— Spójrz, panie, oto miecz z głazu dobyty. Mam być przeto królem całej Anglii.

Skoro Pan Ektor miecz obejrzał, zawrócili wszyscy trzej do świątyni i weszli do niej. Tu kazał Pan Ektor Kajowi na ewangelię przysiąc, iż prawdę powie, jak ów miecz posiadł. Wówczas wyznał Kaj, że to Artur miecz mu przywiózł i zapytał brata:

— Jakżeś tego dokonał?

A gdy usłyszał Pan Ektor odpowiedź Artura, jak miecza dobył, powiedział mu:

— Pojmuję teraz. Ty masz być królem tej ziemi.

 — Dlaczego

— Dlaczego ja — zapytał Artur — i z jakiej przyczyny?

— Gdyż Bóg tak chce, panie — odpowie Ektor — nikt inny bowiem nie byłby onego miecza dobył, król tylko prawowity. A teraz pokaż mi, czyli potrafisz ów miecz w kowadło z powrotem wetknąć i dobyć go znowu.

— Niewielka to sztuka — rzecze Artur i wetknął miecz w kowadło. Spróbował go wyciągnąć Pan Ektor, ale nie mógł. Próbował i Pan Kaj i ciągnął, co miał siły, ale miecz nie ustąpił.

— Próbuj ty znowu — rzecze Pan Ektor do Artura.

— Chętnie to uczynię — odparł Artur i dobył miecza lekko raz jeszcze.

Teraz nie wątpił już Pan Ektor, że Artur z wyższego rodu pochodzi, niż dotychczas mniemano i że się prawowitym królem on okazał. Opowiedział tedy wszystko przybranemu synowi: że nie był jego ojcem rodzonym, ale na zlecenie Merlina go wychowywał. Zasmucił się Artur prawdziwie usłyszawszy, że Pan Ektor nie jest jego ojcem i że nie jest jego matką rodzoną owa pani zacna, która go hodowała i hołubiła jako własnego syna. Powiedział też Ektorowi:

— Jeśli tylko Bóg tak zechce i królem, jako rzeczesz, zostanę, na twoje żądanie uczynię wszystko, co będzie w mojej mocy, a nie uchybię ci nigdy.

Gdy to Artur powiedział, udali się do Arcybiskupa i opowiedzieli mu, kto miecza dobył i jak się to stało. Zasię potem zebrali się znów baronowie i każdy na oczach wszystkich próbował miecza dobyć. Ale nikt prócz Artura nie mógł tego dokonać. Niejeden zaś z możnych panów w gniew popadł i mówili, że hańbą to jest dla wszystkich i dla całego królestwa pozwolić sprawować rządy chłopięciu. Ugodzono się wreszcie, aby odłożyć sprawę całą do dnia Panny Marii Gromnicznej,

kiedy zbiorą się znów baronowie wszyscy. Rozpięto namiot ponad głazem i mieczem i wyznaczono dziesięciu rycerzy, ażeby czuwali przy nim, po pięciu na zmianę przez dzień i noc. Zasię w święto Panny Marii Gromnicznej zebrało się więcej jeszcze panów co przedniejszych i próbowali dobyć miecza, ale nikt prócz Artura nie mógł tego dokonać. Zmartwili się tym srodze baronowie i domagali się odłożenia rzeczy całej aż do świąt uroczystych Wielkiejnocy. Tak się stało. A jako zwyciężał Artur wprzódy, zwyciężył i teraz. Jednak oburzali się jeszcze panowie na to, że Artur królem ma być i odłożyli znowu rzecz całą aż do Zielonych Świątek.

A w niedzielę Zielonych Świątek próbowali znów ludzie różni i w ciżbie wielkiej miecza dobyć, ale nikt prócz Artura nie mógł tego dokonać. Dobył ci go, jak zwykle, bez oporu na oczach wszystkich zebranych panów i wszystkiego zebranego ludu. Zakrzyknął wówczas lud:

— Chcemy, aby Artur był naszym królem, nie damy już zwłóczyć dłużej, gdyż widać to, taka jest wola Boga. A kto się opowie przeciw, zginie z naszych rąk jako zdrajca.

I uklękli wszyscy pospołu możni i biedni prosząc Artura, aby im darował, że zwłóczyli tak długo. I przebaczył im Artur i ujął miecz w obie ręce i zaniósł go przed ołtarz, gdzie Arcybiskup stał, i tak przyjął pasowanie na rycerza z rąk najgodniejszych.

Wkrótce koronację odprawiono. A biorąc koronę przysiągł Artur panom i ludowi, że królem będzie prawdziwym, że sprawiedliwości przez wszystkie dni swego żywota będzie przestrzegać. Zasię potem nakazał panom, korony swojej wasalom, aby urzędy objęli i służyli krajowi, jako byli powinni. I wiele gwałtów, które się stały po śmierci króla Utera, wyrównał, a panom i ry-

cerzom, niewiastom i szlachcie nieprawnie zabrane im majętności przywrócił. A gdy zaprowadził już król porządek na ziemiach wokół Londynu leżących, Pana Kaja marszałkiem Anglii uczynił i innym urzędy wyznaczył, aby strzegli kraju przed wrogami i dopomagali władcy czuwać nad porządkiem i pokojem wewnątrz królestwa.

KONIEC ROZDZIAŁU DRUGIEGO
O SYNU UTEROWYM CAŁEJ ANGLII KRÓLU PRAWOWITYM

ROZDZIAŁ III O TYM JAK ARTUR MIECZ SWÓJ EKSKALIBUR OTRZYMAŁ

Pewnego dnia przybył na dwór młodego króla giermek na koniu wiozący rannego śmiertelnie rycerza, pana swojego. I domagał się ów giermek sprawiedliwości przeciw zabójcy. Wystąpił wtedy młody Gryflet, rówieśnik królewski, giermkiem jeszcze będący i jął upraszać, aby go rycerzem uczyniono, gdyż pragnie stanąć do walki z rycerzem, co onego zabójstwa dokonał. A wiedziano, że przebywał ten rycerz w lesie u źródła.

Nie chciał Artur tak dzielnego młodzieńca na niebezpieczeństwo narazić wyprawiając go przeciw mordercy, w końcu przecież zgodził się żądaniu Gryfleta zadość uczynić i na rycerza go pasował. Otrzymawszy tedy godność rycerza wyruszył Gryflet do lasu, aż do źródła dotarł, wpodle którego rycerz zabójca przebywał. Ujrzał tam namiot rycerza i konia jego okiełzanego i pod siodłem. Zasię opodal na drzewie tarcza wisiała barwami różnymi zdobiona i włócznia potężna.

Uderzył Gryflet drzewcem swojej włóczni o tarczę, aż spadła z brzękiem na ziemię. Na to wyszedł rycerz z namiotu i rzekł:

— Zacny rycerzu, czemuś tarczę moją strącił?

— Gdyż pragnę potykać się z tobą — Gryflet odpowie.

— Lepiej tego poniechaj — rycerz mu rzecze — mło-

 dyś jeszcze

dyś jeszcze i niedawno rycerzem uczynion i za nic mi twoja siła.

Ale nie chciał Gryflet ustąpić, natarli przeto na siebie z taką mocą, aż pękło w kawałki drzewce Gryfletowej włóczni, sam on zaś ciężko ranny z koniem na ziemię runął.

Kiedy ujrzał rycerz młodzieńca rozciągniętego na ziemi, żal w sercu poczuł. Tedy odpiął mu podpinki hełmu, aby owionęło rannego powietrze, potem na konia wsadził i pięknie pozdrowiwszy z powrotem na dwór królewski wyprawił.

A tam użalono się wielce nad Gryfletem rany jego widząc, zasię król Artur wielkim gniewem na tę krzywdę młodzieńca zapłonął.

Następnego ranka, nim dzień się jeszcze uczynił, rozkazał król najlepszego rumaka sobie podać i w pełnej zbroi sam jeden wyruszył, ażeby z rycerzem znad źródła się potykać. Wielką też walkę ze sobą stoczyli. Poszła w kawałki włócznia Artura i konia postradał. Wówczas na miecze jęli walczyć rany sobie okrutne wzajem zadając, aż obaj krwią spłynęli. Wreszcie pod ciosem przeciwnika, siłacza wielkiej mocy, pękł na dwoje miecz Artura. I był pozwany król, aby się poddał i jako zwyciężony o łaskę prosił, albo śmierć poniósł.

— Skoro o śmierci mówisz — król Artur rzeknie — powitam ją, kiedy nadejdzie, ale bym miał się za zwyciężonego uznać i o łaskę ciebie prosić, tego nie uczynię za nic. Wolej mi umrzeć, niż tej doznać hańby.

A wtedy pojawił się Merlin i odkrył rycerzowi, kim był Artur. Potem mocą czarodziejską sen głęboki na rycerza zesłał, zasię króla do pustelnika uwiózł, aby się u niego z ran swoich wyleczył.

Po trzech dniach, gdy już Artur wypoczął i z ran wydobrzał, przez las z Merlinem jechali. I powiedział król:

— Nie mam miecza.

— Nie szkodzi — Merlin odrzeknie — jest tu jeden miecz niedaleko i być może, że ci go dostanę.

I jechali dalej, aż na piękne szerokie jezioro natrafili. Wówczas ujrzał Artur na jeziorze ramię wyłaniające się z wody w rękawie z białego brokatu, miecz piękny, sztorcem do góry wzniesiony, dzierżące.

— Spójrz, oto miecz, o którym ci mówiłem — Merlin rzecze — a oto tam Pani Jeziora, która ci miecza przyzwoli, jeśli przemówisz do niej mile.

Zaraz też pojawiła się przed Arturem panna i skłoniła mu się pięknie a on jej wzajem.

— Panno — powie Artur — co to za miecz owo ramię ponad wodą dzierży? Chciałbym go mieć, albowiem miecza nie posiadam.

— Panie Arturze, królu — odrzeknie panna — mój to jest miecz, ale jeśli zgodzisz się dar mi złożyć, kiedy oń poproszę, siadaj w tę oto łódź i do miecza płyń i weź go ze sobą, a i pochwę także.

Tedy król Artur z Merlinem z koni zsiedli i do drzewa je przywiązali, sami zaś do łodzi czarodziejskiej weszli. Wkrótce też podpłynęli do miejsca, gdzie ramię z mieczem z fali się wyłaniało. Ujął Artur za rękojeść miecza, wówczas dłoń i ramię pod wodą zniknęły, zasię wędrowcy do brzegu zawrócili.

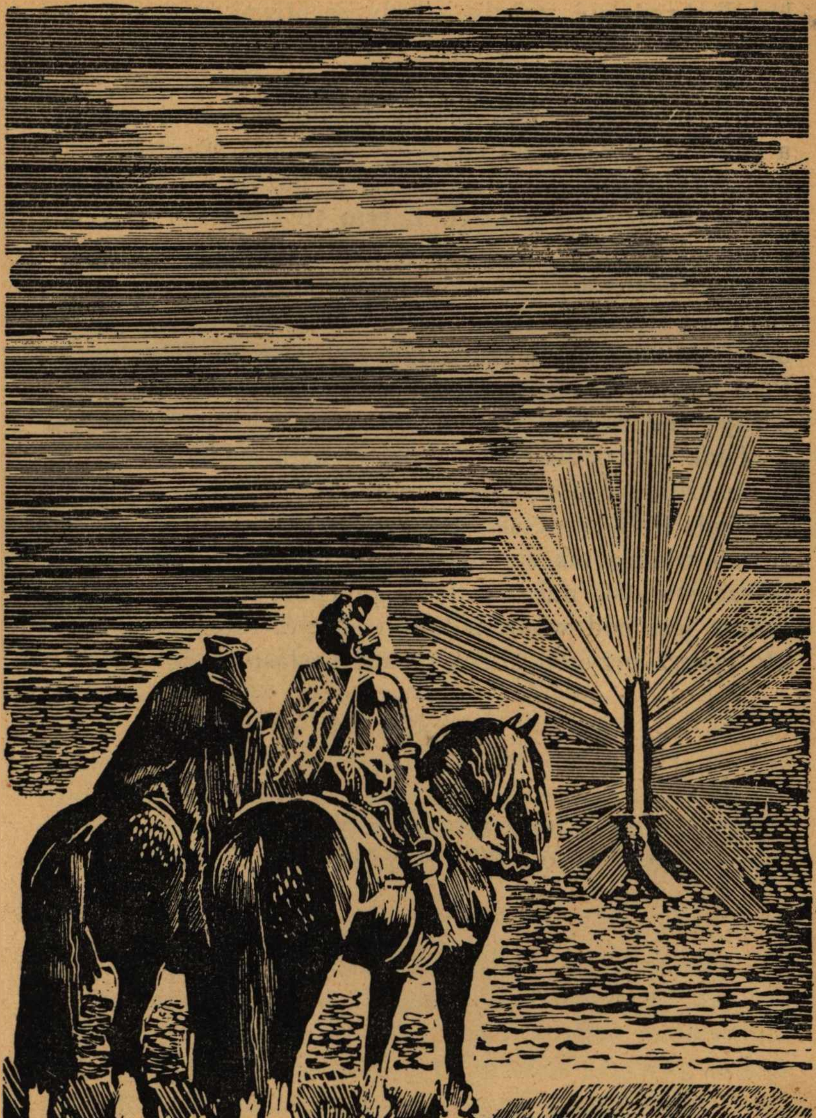
Gdy już dalej pojechali, spoglądał Artur na miecz, który Ekskalibur się zwał, a znaczyło to tyleż co „stal tnący". I radował się król wielce mieczowi temu, gdyż rękojeść jego cała drogimi klejnotami lśniła.

— Co też wolisz pochwę czy miecz? — Merlin zapyta.

— Miecz — Artur odpowie.

Na to Merlin:

— Nieroztropnie czynisz. Za dziesięć mieczów ta pochwa stanie, gdyż póki ją u boku mieć będziesz,



kropli krwi nie uronisz. Tedy zachowaj ją zawsze na sobie.

W taki oto sposób otrzymał Artur swój miecz Ekskalibur. Niejednej z nim razem doznał potem przygody, a gdy mu za wdaniem się złych mocy ów miecz na czas pewien skradziono, srogie, jak to później zobaczymy, niebezpieczeństwo przeżył. Z tym to mieczem w dłoni z najcięższej nawet walki w końcu zwycięzcą wychodził, bowiem pochwa przed słabością go chroniła, zasię w jasnym i potężnym ostrzu tkwiła siła cudowna, której nie oparł się nikt, aż do czasu, gdy musiał król Artur miecz Pani Jeziora zwrócić, a sam z ran zadanych mu przez zdrajcę śmierć ponieść.

I tak król z Merlinem dalej jechali, a kiedy do Karlionu szczęśliwie powrócili, cały dwór z radością króla powitał. Dziwowali się wprawdzie poniektórzy rycerze, że ich władca tak samotnie się wyprawiając na niebezpieczeństwo się naraża, ale co przedniejsi mówili, że radośnie jest pod wodzem takim służyć, który niby zwykły rycerz przygód szuka i osoby własnej nie szczędzi.

KONIEC ROZDZIAŁU TRZECIEGO

O TYM JAK ARTUR MIECZ SWÓJ EKSKALIBUR OTRZYMAŁ

ROZDZIAŁ IV O BALINIE I BALANIE

Jednego dnia przybył do króla Artura wysłaniec króla Rajonsa z Walii Północnej donosząc, iż pan jego, człek mocny w sobie i dumny wielce, jedenastu królów zwalczył i pokonał. Pobici zaś owi królowie, aby hołd Rajonsowi okazać, brody swoje do czysta ostrzygłszy oddali je na oblamowanie płaszcza zwycięzcy. Został przecie jeszcze rąbek płaszcza całkiem nie obszyty, zamyślił więc król Rajons i od Artura również brody jego zażądać. A gdyby mu jej Artur odmówił, wejdzie Rajons do Anglii z ogniem i mieczem i nie cofnie się, póki Arturowej głowy nie dostanie.

Na to odrzekł wysłańcowi król Artur:

— Zuchwalszego posłania nad to, któreś mi przywiózł, żaden bodaj król nie otrzymał. Zobacz też, że zbyt młodą mam brodę, aby mogła na obszycie płaszcza posłużyć. Powiedz tedy swojemu królowi, żem mu hołdu nie powinien, ale że to on niezadługo hołd mi na obu kolanach uczyni.

Z tym odjechał wysłaniec.

Zasię pomiędzy rycerzami, którzy na wezwanie Artura w Kamelocie się zebrali, aby najazdowi Rajonsa opór stawić, był jeden taki, który jeńcem królewskim przeszło pół roku zostawał, a to za to, iż krzywdę na jednym dworze wyrządził. A zwał się ów rycerz Balin. Silny to był człek i odważny, ale niebogaty i tak nędznie

odziany, iż go za byle kogo miano. A przecież wartość człeka i czyny godne całkiem nie od odzienia jego zależą. Męstwo i honor w samej się kryją osobie i wydarza się, iż niejeden rycerz czci godny skromnie się nosząc przez wielu niepoznany bywa. Ten to Balin głęboko do serca sobie wziął króla Rajonsa zuchwalstwo. Zaraz też uzbroiwszy się przeciw niemu ruszać chciał myśląc, iż go, być może, pokona a przez to znów łaskę króla Artura odzyska.

A w czasie, kiedy Balin do wyprawy się gotował, przybyła na dwór Artura Pani Jeziora i zażądała od króla, żeby jej teraz właśnie ów dar złożył, który jej był przyrzekł w chwili, gdy miecz swój Ekskalibur od niej otrzymał.

— Proś, o co chcesz — powiedział jej król — a otrzymasz, co tylko dać ci będzie w mojej mocy.

Wówczas zażądała Pani Jeziora głowy Balina i ani słyszeć o czym innym nie chciała.

— Prawdziwie — rzecze na to król Artur — tego daru bez uchybienia mojej czci nie mogę ci złożyć.

I zlecił zaraz Balinowi przeciw Rajonsowi wyruszyć. Ale nim zdążył Balin dwór opuścić, ujrzał Panią Jeziora. Wówczas podszedł wprost do niej i w oczach króla mieczem się zamachnąwszy nader gładko głowę jej uciął. A uczynił to dlatego, iż znał dobrze przewrotność tej pani, która czarodziejską sztuką wielu dobrych rycerzy do zguby przywiodła.

— O biada! Co za hańba! — król zawoła. — Dlaczegoś to uczynił. Oto niesławą mnie i cały dwór mój okryłeś, gdyż pani tej winienem był wdzięczność i przybyła do mnie bezpiecznie. Cokolwiek byś miał przeciw niej, w mojej obecności powinieneś był jej oszczędzić. Nie przebaczę ci nigdy tego czynu, ruszaj przeto precz z mego dworu i co rychlej.

Tak więc Balin, zwany Balinem Dzikim dla swej natury gwałtownej i niepohamowanej, z giermkiem swoim dwór opuścił pozostawiając króla i wszystkich jego dworzan w żałobie i strapieniu pogrążonych, że taką niesławę ściągnął na nich rycerz Panią Jeziora zabijając. Po czym rozkazał król zwłoki zabitej z wielką wspaniałością pochować.

Zasię Balin srodze strapiony złem, które uczynił, i króla swego niełaską, konia w stronę wielkiego lasu skierował. Tam rycerza napotkał i poznał po zbroi, że to był brat jego, Balan. Tedy podjechawszy ku sobie obaj hełmy zdjęli i uściskali się płacząc z radości. Zaraz też rycerz Balin o śmierci Pani Jeziora bratu opowiedział.

— Prawdziwie — rzecze — ciężko mi jest na sercu, żem rozgniewał pana swego Artura, najczcigodniejszego rycerza, jaki na ziemi króluje. Albo też miłość jego odzyskam, albo w walce z Rajonsem polegnę. Jedźmyż tedy razem nie zwlekając do zamku Terrabilu, gdzie stanął Rajons, zmierzyć się z nim rycerskim honorem i walecznością.

— Uczynię to chętnie — Balan mówi — będziemy się wspierali wzajemnie, jako bracia czynić winni.

I tak razem w drogę ruszyli, ażeby króla Rajonsa odnaleźć a jadąc dalej wprost na niego natrafili. A miał on ze sobą sześćdziesięciu rycerzy.

Skoczywszy ku niemu Balin z Balanem z konia go zwalili, a na prawo i na lewo mieczami tnąc ponad czterdziestu jego ludzi utłukli. Reszta pierzchła, zasię król Rajons oddawszy się braciom w niewolę o łaskę ich prosił. Ułożywszy go tedy na słomie, gdyż ciężko był ranny, do Kamelotu go zawieźli i tam straży oddali. Sami zaś od bram zawróciwszy po dalsze wyruszyli przygody.

Pojechał tedy Balin ku zamkowi króla Pellama, gdzie myślał zdradzieckiego rycerza Garlona znaleźć. Wielu rycerzy i dam ów Garlon ukrzywdził, chciał więc Balin pomścić się na nim. Dni piętnaście tam jechał, zasię kiedy do Pellamowego dworca wreszcie przybył, na ucztę wspaniałą natrafił.

A przyjęto Balina grzecznie i do komnaty zawiedziono, gdzieby zbroję swą złożył. Przyniesiono mu też szaty piękne, aby się przyodział, nalegano także, aby miecz swój odpasał.

— Nie — powiada Balin. — Tego nie uczynię, gdyż zwyczajem jest rycerzy mego kraju miecz swój zawsze mieć u boku. Od zwyczaju tego nie odstąpię, raczej, jakem tu przyjechał, precz odjadę.

Pozwolono mu tedy miecz zostawić i wszedł Balin na salę, aby za stołem pośród godnych rycerzy miejsce zająć. Wkrótce dojrzał on nieszczerego rycerza Garlona i pomyślał sobie:

— Jeśli go tutaj ubiję, żyw nie ujdę, jeśli go zaś teraz poniecham, być może, nie napotkam go już więcej w porze tak sposobnej, a wiele zła jeszcze ów rycerz uczyni, gdy żyw zostanie.

Wtedy dostrzegł Garlon, że go Balin ma na oku i podszedłszy w twarz go uderzył mówiąc:

— Czemu mi się przyglądasz, rycerzu? Spożywaj oto pieczeń i swoje czyń.

Rzecze na to Balin:

— Oto swoje uczynię — i porwawszy się gwałtownie mieczem mu głowę aż do ramion rozpłata.

Zerwali się wówczas od stołu wszyscy rycerze i na Balina rzucili. Zasię sam król Pellam w gniewie za oręż chwycił i na zabójcę się zamierzył, ale Balan głowę mieczem zasłonił i ciosu uniknął. Poszedł jednak miecz w kawałki i Balin bezbronny do dalszych komnat skoczył

 oręża

oręża poszukać. Z komnaty do komnaty tak biegł nadaremno broni szukając, a za nim tuż król Pellam. Nakoniec dopadł Balin komnaty jednej z wielkim urządzonej przepychem. Łoże w niej stało złotogłowiem kryte, że i bogatszego wymarzyć nawet nie potrafił sobie Balin, a wpodle łoża stół szczerozłoty, a na stole włócznia cudowna, przedziwnie kowana. Ujrzawszy ową włócznię Balin w dłoń ją chwycił i obróciwszy się ku Pellamowi tak silnie go dźgnął, że upadł Pellam bez ducha. A w tej chwili pękły dach i ściany zamku i runęły grzebiąc pod sobą obu rycerzy. A choć ocknął się Balin pod gruzami, ręką ani nogą ruszyć nie mógł.

Zasię po trzech dniach nadjechał Merlin i Balina spod gruzów wydobył. Konia mu też dał, bo swojego Balin postradał i rozkazał mu kraj ten opuścić. Merlin także Balinowi powiedział, że cios, jaki ową włócznią cudowną Pellamowi zadał, na złą dolę i smutek i klęskę się obróci, gdyż nie inna to była włócznia, ale ta sama, którą żołnierz rzymski Longin przebił niegdyś w czas Męki Pańskiej bok Pana naszego Jezusa Chrystusa.

Potem rozstał się Balin z Merlinem, żeby go nie spotkać już nigdy i dalej jechał poprzez piękne miasta i sioła wokół Pellamowego dworca leżące. A wszędzie widział trupy ludzi zmarłych albo zabitych, zasię ci, co żywi zostali, wołali za nim:

— O Balinie, wielkąś krzywdę ziemiom tym wyrządził, gdyż cios bolesny, któryś Pellamowi zadał, trzy krainy zniszczył, niechybnie też pomsta doścignie cię w końcu.

Gdy opuścił wreszcie Balin ziemie zniszczone, cieszył się wielce, zasię po wielu dniach krzyż jeden przy drodze zobaczył. Na krzyżu złotem pisane litery głosiły napis taki: „Żaden samotny rycerz niech ku tamtemu w dali zamkowi jechać się nie waży“. Potem ujrzał Balin starca sędziwego, który podszedłszy doń powiedział:

— Balinie

— Balinie Dziki! Nadjechawszy tu przekroczyłeś zakreślone tobie granice, przeto zawróć, a wyjdzie ci to na dobre.

Zniknął starzec i wówczas usłyszał Balin granie rogu, jako bywa w puszczy, gdy padnie zwierzę śmiertelnie ugodzone.

— Mnie to grają pośmiertne — rzecze Balin — i jam tu zwierzyną, aleć przecie żyję jeszcze.

Wnet potem ujrzał ciżbę całą dam pięknych i rycerzy, a wszyscy wydawali się być wielce uradowani jego przybyciem i powitali go na pozór mile. Zaraz też do zamku go zawiedli, a tam tańcem się zabawiano i słuchano pieśni minstreli i weselono się na wszelkie sposoby. A największa z dam, pani tego zamku, tak Balinowi powiada:

— Rycerzu, masz mieć sprawę z rycerzem jednym, który tu nie opodal na wyspie przebywa, a nie przepuści on nikogo, zanim wpierw walki z nim nie stoczy.

A na to Balin:

— Nie dobry to całkiem obyczaj, kiedy rycerz jechać dalej w swoją drogę nie może, zanim walką się nie okupi, skoro jednak tak mi wypada, gotów jestem się potykać. A choć w podróży często człek zdrożony bywa, a i koń jego także, przecież, chociaż koń mój osłabł, serce we mnie nie osłabło.

Rzecze wówczas Balinowi jeden z rycerzy:

— Panie, widzi mi się, że tarczę masz nie tęgą, pozwól, że ci swojej użyczę.

I tak wziął Balin tarczę nieznaną nikomu, a swoją zostawił i ku wyspie pojechał. Konia do wielkiej łodzi wprowadziwszy na brzeg wyspy się przeprawił, a tam pannę spotkał, a ta mu rzekła:

— O rycerzu Balinie, czemuś zbył swojej tarczy? Biada ci! Na wielkieś się niebezpieczeństwo naraził, bo-

 wiem po

wiem po tarczy twojej wszędzie by cię poznano. Zginiesz, a wielka cię szkoda, gdyż śmiałością i odwagą nikt ci nie dorówna.

— Żałuję — powie jej Balin — żem do tego kraju przyjechał, ale hańbą byłoby się wrócić. Jakakolwiek też mnie czeka przygoda, życie alboli śmierć mi sądzona, przed przygodą tą się nie cofnę.

Spojrzał po sobie i umocnił się na sercu, bo dobrze był uzbrojony, konia więc dosiadł i przed siebie ruszył. Wkrótce też zobaczył, jako od zamku jedzie przeciw niemu rycerz w zbroi czerwonej, na rumaku także czerwienią przyodzianym.

A kiedy ów rycerz czerwony Balina zobaczył (a Balan to był, nikt inny), wnet pomyślał, że to chyba brat jego rodzony nadjeżdża; ale spojrzawszy na tarczę sobie nieznaną myśli tej poniechał. I oto obaj włócznie pochyliwszy z wielką siłą na siebie natarli w tarcze swoje nawzajem godząc. A tak szybkie było to natarcie i tak ciężkie włócznie rycerzy, że runęli obaj z końmi na ziemię i w omdlenie popadli. Balin większego doznał uszczerbku, jako że drogą długą był znużony, to też pierwszy powstał Balan. Miecz wyciągnąwszy na Balina leżącego ruszył, ale zerwał się Balin i przeciw stanął. Ciął Balan pierwszy tarczę Balina i hełm jego razem rozrąbując. Oddał mu Balin mieczem, który tyle już nieszczęścia sprawił, i potężnie brata ugodził. Tak walczyli ze sobą, póki im zupełnie w piersiach tchu nie zbrakło. Wtedy spojrzał Balin na zamek i zobaczył, że na wieżach jego pełno dam stoi, a wszystkie na walkę ich patrzą. Tedy znowu na siebie natarli raniąc się wzajem coraz boleśniej. Czasem ustawali, żeby tchu zachwycić i walczyli znów, aż ziemia wokół ich krwią zczerwieniała i przez rozrąbane oka kolczug zaczęły prześwitywać obnażone boki rycerzy.

 Wreszcie

Wreszcie Balan, młodszy z braci, cofnął się nieco i na ziemi legł. Rzecze mu wtedy Balin Dziki:

— Powiedz mi, kim jesteś, rycerzu, bowiem dotychczas jeszcze nie spotkałem nikogo, kto by mi, tak jak ty, sprostał.

— Balan mnie zwą — tamten mu odpowie — dobrego rycerza Balina bratem jestem.

— Biada mi! — Balin zawoła — bodaj bym dnia tego nie był dożył — i zemdlony na ziemię upadł.

Przyczołgał się do niego Balan i zdjął mu hełm z głowy, ale nie mógł poznać twarzy, całej w ranach i krwią zalanej. Lecz, ocknąwszy się, powiedział Balin:

— O Balanie, bracie mój, zabiłeś mnie, a ja ciebie zabiłem i cały świat szeroki będzie mówił o tym.

— Biada mi — Balan odpowie — że też nadszedł dzień nieszczęśliwy, kiedym mógł ciebie nie poznać. Tarczę obcą widząc za obcego rycerza cię wziąłem.

— O biada — Balin jęknie — wszystko to za sprawą nieszczęsnego rycerza się stało, który mnie do zostawienia mojej tarczy namówił i obu nas do zguby przywiódł.

I zaraz potem zmarł Balan, po nim zasię o samej północy Balin. W jednym grobie ich pochowano, zasię pani zamku, z którego Balan wyruszył, rozkazała wyryć na grobie jego imię, a i to także wypisać, że z ręki brata zginął, ale nie znała ona imienia Balina.

Nazajutrz przyjechał tam Merlin i złotymi literami na grobie dopisał: „Tu leży Balin Dziki, który cios fatalny włócznią uświęconą zadał".

Niezadługo potem u króla Artura Merlin się zjawił i opowiedział mu o ciosie fatalnym, jaki Balin królowi Pellamowi był zadał, i o tym, jak to Balin z Balanem najwspanialszą, o jakiej tylko słyszano, walkę ze sobą stoczyli, i jak ich obu w jednej pochowano mogile.

— Niestety — król Artur rzeknie — najżałośniejsza

 to opowieść,

to opowieść, jaką mogłem usłyszeć, albowiem na świecie całym nie znałem takich dwóch, jak oni, rycerzy.

Tak kończy się opowieść o Balinie i Balanie, dwóch braciach w Northumberland urodzonych, obu rycerzach dobrych.

KONIEC ROZDZIAŁU CZWARTEGO
O BALINIE I BALANIE

ROZDZIAŁ V O SZLACHETNYM ZAKONIE OKRĄGŁEGO STOŁU

Był Artur królem prawdziwie, ale wrogowie jego przez czas długi opierali się jego władzy prawowitej. Kiedy do Walii przybył, aby tam w mieście Karlionie się koronować, kazał przez heroldów swoich wielką ucztę na dzień Zielonych Świątek zapowiedzieć. Przybyło na tę ucztę sześciu królów tej krainy, a z nimi wielu ich rycerzy, myślał więc Artur, że pragną mu cześć okazać. Ale, kiedy uradowany ich przybyciem dary bogate im posłał, nie przyjęli tych darów królowie i powiedzieli, że za nic mają sobie upominki przysłane im przez gołowąse pacholę z niskiego pochodzące rodu. Nadto kazali wysłańcom Arturowi powiedzieć, że przyjdą sami złożyć mu upominek twardymi mieczami po karku, gdyż za hańbę mają sobie wielką, aby chłopię młodziutkie władało tak szlachetnym jak cała Walia królestwem.

Taką odpowiedź otrzymawszy król Artur do potężnej twierdzy się udał, a z nim pięciuset luda dobrych rycerzy. Tu oblegało go sześciu królów, ale Artur i jego rycerze dosyć mieli broni i żywności. Wkrótce też i Merlin w twierdzy się pojawił i powiedział królowi, aby niczego się nie lękając śmiało sobie z wrogami postąpił. Gdyż — mówił on — chcąc czy nie chcąc i tak ulec ci będą musieli.

Tedy uzbroił się król Artur, a z nim wszyscy jego rycerze i z twierdzy wystąpił, aby walkę z wrogiem stoczyć.

 Wielkiej

Wielkiej też od razu doznał pociechy, gdyż trzystu ludzi najlepszego wojska sprzymierzonych królów przeszło na jego stronę. I tak na wrogie zastępy runął i z rycerzami swoimi wielu znamienitych czynów wojennych dokonał. Cofnąć się musieli wrogowie. Wówczas lud Karlionu w pałki i kije zbrojny z miasta wyległszy rzucił się na nich i wielu wytłukł. Przeto umknęli.

A jednak wciąż silni jeszcze bardzo byli wrogowie Artura. Więc też Merlin królowi doradził, ażeby aż za morze pięknie ułożone listy posłał do dwóch braci, wojowników wielkich. A jeden z nich zwał się król Ban z Benwicku, zasię drugi król Bors z Galii. A miał im Artur napisać, iż, jeśli z pomocą mu przyjdą, on im wzajem pomoc zaprzysięże przeciw potężnemu królowi Klaudasowi, który z nimi o zamek jeden walczył.

Tedy zgodnie z wolą królewską, listy w sposób jak najbardziej dworny ułożono, potem zaś Ulfius i Brastias, Artura wysłańcy, piękne rumaki i zbroje najlepsze wziąwszy z Anglii wyruszyli, morze przepłynęli i do miasta Benwicku zawitali. Tam podejmowano ich godnie, jak długo bawili, po czym zaś odpowiedź otrzymali, że król Ban z królem Borsem nie mieszkając do Artura przybędą.

Natenczas owych sześciu królów z Walii sprzymierzywszy się z pięciu jeszcze innymi królami poprzysięgło sobie wzajem, iż póty stać będą przy sobie zarówno w szczęściu, jak i w klęsce, póki całkiem Artura nie zniszczą. Połączywszy się tedy na Artura ruszyli, ale on wzmocnił się już był przybyłymi zza morza posiłkami. Potem wielka bitwa nastąpiła, w której wielu wspaniałych z obu stron dokonano czynów. Aż wreszcie Merlin królowi doradził, aby dalszej walki zaprzestał, albowiem owych jedenastu wrogich królów sroższy kłopot, niż przypuścić są zdolni, czeka, więc i tak z pola ustąpić będą musieli. Tak

się też i stało, gdyż wysłaniec do królów owych przybywszy wieść im przywiózł, że gromady rozbójnicze oraz wojska Saracenów w sile czterdziestu tysięcy ziemie ich naszły, ogniem i mieczem bez litości je niszcząc. Zakończyła się tedy wielka bitwa i jedenastu wrogów Arturowych rozjechało się, każdy do siebie.

Wtedy król Artur, król Ban i król Bors z wojskami swymi do kraju zwanego Kameliardem pociągnęli i tamtejszemu królowi — Leodegrans się on zwał — w walce z wrogami jego królestwa dopomogli. Dziękował im król Leodegrans za ich dobroć i podejmował godnie, aż dopóki król Ban z królem Borsem z powrotem za morze nie ruszyli.

W Kameliardzie to Artur ujrzał po raz pierwszy Leodegransa córę, Ginewrę, a ujrzawszy ją na zawsze pokochał. Gdy więc nastąpił znów pokój na jego ziemi, Merlina Artur o radę zapytął, czy ma Ginewrę za żonę pojąć, albowiem dzielniejszej i piękniejszej od niej pani na całym świecie nie znał.

— Panie — rzekł mu Merlin — co się piękności tej pani tyczy, jedna to z najpiękniejszych, jakie po tej ziemi chodzą. Przecież, gdybyś jej nie miłował tak bardzo, lepszego bym dla ciebie dokonał wyboru. Wiem ci ja jednak, że serce człowiecze raz pokochawszy żadnej już nie pragnie odmiany.

Posłał więc Artur Merlina do króla Leodegransa, aby mu o życzeniu jego oznajmił. Uradował się król Leodegrans, że król tak szlachetny, dzielny i wspaniały o rękę córki jego prosi. Tedy na małżeństwo to zezwolił i przyrzekł Arturowi dać w ślubnym podarunku nie ziemie, bo tych miał Artur dość i więcej nie pragnął, ale to, co mu jeszcze większą sprawić miało radość — Okrągły Stół, który król Uter Pendragon królowi Kameliardu niegdyś był podarował, stół przez Merlina czarodzieja sporzą-

 dzony,

dzony, a tak wielki, że stu i pięćdziesięciu rycerzy dokoła niego zasiąść mogło.

Tedy Ginewra, a towarzyszył jej Merlin, z orszakiem stu zacnych rycerzy (wszystkich nieledwie, których zebrać mógł Leodegrans, tak wielu bowiem ludzi w walkach, które z dawna prowadził, poległo) Okrągły Stół ze sobą zabrawszy, z wielką paradą morzem i lądem do Londynu ruszyli. Tam ich król Artur z wielką radością przyjął, długo bowiem i bardzo Ginewrę miłował. Także dar Leodegransa milszy mu był, niż bogactwa największe. Odprawiono co rychlej zaślubiny i koronację królowej, a odbyło się to wszystko najwspanialej, jak się tylko pomyśleć dało.

Zasię Merlina posłano, aby na całej ziemi angielskiej pięćdziesięciu najbardziej szlachetnych i najwaleczniejszych rycerzy wyszukał. Mieli oni dopełnić liczby wybranych, godnych zasiąść u Okrągłego Stołu. Dwudziestu i ośmiu jednak tylko takich Merlin wynalazł i tych na dwór królewski powołał. Merlin też sporządził potem i stołki, na których rycerze ci zasiadać mogli. A było tych stołków wszystkich sto pięćdziesiąt, a na każdym Merlin złotymi literami imię rycerza wypisał.

Tego samego dnia król Artur wielki Zakon Okrągłego Stołu założył, którego sława miała przetrwać wieki. Stu dwudziestu ośmiu rycerzy zaprzysięgło wówczas zwać się rycerzami Okrągłego Stołu, zasię co roku, w pierwszy dzień Zielonych Świątek, miano nowych dobierać, którzy się godnymi tego okazali. Jeden tylko stołek przez czas długi nie zajęty zostawał. Stołkiem Niebezpiecznym go nazwano, gdyż jeden tylko taki na świecie rycerz był, który na nim zasiąść mógł, ktokolwiek by zaś inny na stołku tym usiąść się ważył, zginąć musiał.

Tedy bardzo uroczyście każdy z wybranych rycerzy rycerstwo prawdziwe ślubował, solennie przyrzekając —

 pod utratą

pod utratą życia, czci rycerskiej i łaski króla Artura — żadnym podłym czynem się nie splamić, królowi swemu wiernie służyć, zmiłowanie proszącym o to okazać, wobec dam zawsze dwornie się zachować i z wszelką im śpieszyć pomocą, w walce o sprawę niesłuszną i zysk ziemski na celu mającą udziału nie brać.

A zaprzysięgli to wszyscy rycerze Okrągłego Stołu młodzi i starzy zarówno. Albowiem największa to wówczas hańba była rycerski honor splamić; przeciwnie — niezachwianie, dzielnie, dwornie i wiernie postępując czci rycerskiej godnym się okazać było najwyższym życia celem.

Tak oto ustanowił król Artur zakon swoich rycerzy, tym zaś z nich, którzy w niedostatku byli, ziemie darował.

I rozjechali się po świecie rycerze Arturowi, aby krzywdy uczynione przez złych ludzi wyrównywać i uciśnionym z pomocą śpieszyć. Z ich to pomocą zaprowadził król Artur ład i sprawiedliwość w królestwie swoim, tak, iż najnędzniejszy nawet z jego poddanych pracować mógł w spokoju i plon pracy swojej zbierać.

KONIEC ROZDZIAŁU PIĄTEGO
O SZLACHETNYM ZAKONIE OKRĄGŁEGO STOŁU

ROZDZIAŁ VI O DAMSKIM RYCERZU

Król poślubił Damę Ginewrę w Kamelocie z uroczystością wielką. A właśnie kiedy wszyscy do uczty weselnej zasiedli, wpadł do sali biały jeleń a za nim sfora psów gończych z ujadaniem wielkim. I biegł ten jeleń wokół Okrągłego Stołu. Wreszcie, kiedy go jeden z psów dopadł i ugryzł boleśnie, odsadził się jeleń potężnym susem od ziemi i rycerza ucztującego po drodze obaliwszy z sali uszedł, zasię charty za nim.

Rad był król, że tak się skończyło, gdyż wiele ów jeleń ze sforą psów na sali czyniły hałasu, ale Merlin powiedział:

— Tego zdarzenia nie powinieneś był zbyć tak lekko, przywołaj tedy Pana Gawena, niech za białym jeleniem wyruszy i pojmie go.

— Uczynię to — król odpowie — albowiem wszystko według twojej rady dziać się winno.

Zaraz też Pana Gawena przywołał, a ten rozkaz otrzymawszy nie mieszkając zbroję wdział i na przygodę wyruszył. Zasię był ten Pan Gawen jednym z króla siostrzeńców i dopiero co pas rycerski otrzymał. Prosił on bowiem króla, aby go rycerzem uczynił w tym samym dniu, kiedy piękną Ginewrę poślubi.

Jechał tedy Pan Gawen szybko naprzód, a z nim brat jego, Gaheris, aby mu za giermka służyć. Gdy tak kierując się ujadaniem sfory jelenia ścigali, na wielką rzekę na-

trafili. A gdy jeleń w wodę skoczył i wpław rzekę przepłynął, popłynęli i oni za nim. I tak wreszcie do zamku jednego go zapędzili. Tu, w środkowym podwórcu psy dokonały jelenia, zanim Pan Gawen z młodym Gaherisem nadbiec zdołali. A wtem z komnat zamkowych rycerz jakiś z mieczem obnażonym w dłoni wychodzi i dwa charty w oczach Pana Gawena zabiwszy resztę sfory płazem miecza poza bramy zamku wypędza.

Zasię od bramy wróciwszy rzecze:

— O biada mi, biały mój jeleniu, żeś życie postradał! Dała mi cię pani moja, królowa, a oto jakem cię pięknie upilnował. Jeśli jednak nie zginę, srogiego za śmierć twoją zażądam okupu.

I na Pana Gawena z zajadłością wielką skoczył i starli się z sobą potężnie. Tarcze, hełmy i kolczugi na sobie porozrąbywali, aż krew im do stóp spływała. Wreszcie z taką siłą Pan Gawen rycerza uderzył, że ten na ziemię upadł i za zwyciężonego się uznając Pana Gawena jako rycerza i szlachetnego człeka prosił, aby mu życia nie odbierał.

— Zginiesz — Pan Gawen mu odpowie — za to, żeś psy moje zabił.

— Zapłacę ci za nie według mojej mocy — rycerz rzeknie.

Ale Pan Gawen nie miał nad nim zmiłowania i podpinki hełmu mu odpiął, aby mu głowę uciąć. W tejże chwiii wyszła z zamku pani, żona tego rycerza. Ciałem swoim leżącego ona przykryła w tym właśnie oka mgnieniu, kiedy Pan Gawen miecz opuszczał. I tak jej to Pan Gawen głowę uciął, zasię rycerz ocalał.

— O biada! — Gaheris zawoła. — Nikczemnieś całkiem i sromotnie postąpił. Odtąd niesława towarzyszyć ci będzie. Powinieneś okazać zmiłowanie, gdy oń proszą, rycerz bowiem bez litości jest rycerzem bez honoru.

Pan Gawen tak był zdumiony śmiercią pięknej pani, że nie wiedział zgoła, co czyni. Rzeknie tylko rycerzowi:

— Wstań, daruję ci życie. Jedź do króla Artura i opowiedz mu, jak pokonał cię rycerz, który za białym jeleniem wyruszył.

— Za nic mi teraz zmiłowanie twoje — rycerz odpowie. — Zabiłeś tę, którą najwięcej na świecie miłowałem, zarówno mi, czy umrę, czy żyć będę.

Potem Pan Gawen do komnat zamkowych wszedł i na spoczynek nocny jął się gotować.

— Co czynisz — Gaheris mu rzeknie. — Chcesz w kraju tym na noc z bronią się rozstać? Bądź pewien, że wielu wrogów w nim posiadasz.

Nie zdążył jeszcze Gaheris ostatniego słowa wymówić, kiedy czterech rycerzy w pełnej zbroi do komnaty wpadło. Niezadługo też obu braci pokonali i do niewoli wzięli, chociaż Pan Gawen i Gaheris srogą wpierw z nimi stoczyli walkę, w której Pan Gawen bolesną ranę w ramię był otrzymał.

Wczesnym rankiem przyszła do ciemnicy, dokąd Pana Gawena wtrącono, jedna z dam tego zamku i rzekła mu:

— Jakże ci się powodzi, panie rycerzu?

— Źle całkiem — odpowie jej rycerz.

— Twoja to tylko wina — mówi dama — dokonałeś bowiem niecnego czynu niewiastę zabijając. Niesławęś przez to wielką na siebie ściągnął. Nie jestżeś czasem z króla Arturowego rodu?

— Prawdziwie, jestem — Pan Gawen odpowie. — Gawenem mnie zwą, a matka moja jest króla Artura siostrą.

— Ach, tedy jesteś króla Artura siostrzeńcem — dama rzecze. — Przez przyjaźń więc dla króla przemówię za tobą, abyś doń z paradą powrócił.

 I wypuszczono

I wypuszczono Pana Gawena z niewoli pod warunkiem, że ciało zabitej na dwór królewski zawiezie, głowę jej uciętą na szyi sobie powiesiwszy. I tak Pan Gawen do Kamelotu wyruszył. Tam, kazał mu Merlin swoją przygodę opowiedzieć, jak to niewiastę zabił i proszącemu o zmiłowanie rycerzowi zmiłowania odmówił, przez co zginęła niewiasta. Wówczas król i królowa bardzo się na Pana Gawena pogniewali. Zasię z rozkazu królowej sąd niewieści nad przestępcą utworzono. I orzekły niewiasty, że przez życie całe damom Pan Gawen ma służyć i o ich walczyć sprawy, że zawsze dwornie postępować ma i nigdy już zmiłowania proszącemu oń nie odmówić. Zaprzysiągł tedy Pan Gawen na Ewangelię świętą, że nigdy przeciw damie, ani innej szlachetnie urodzonej niewieście nie wystąpi, chyba gdyby dla pani jakiejś walczył, a jego znowu przeciwnik dla innej stawał.

Tak skończyła się przygoda Pana Gawena, której doznał w dniu króla Artura zaślubin.

KONIEC ROZDZIAŁU SZÓSTEGO
O DAMSKIM RYCERZU

ROZDZIAŁ VII O SZALEŃSTWIE MĄDREGO MERLINA

Teraz już utwierdził się Artur w panowaniu nad całą ziemią angielską. W Kamelocie, to jest Winchester, wielką salę obrad dla rady królewskiej wzniesiono, mówią niektórzy, że Merlin tego dokonał. Najwierniejsi, najdzielniejsi rycerze świata zebrali się na dworze Artura, aby mu cześć swą okazywać i czcić piękną jego królowę Ginewrę.

Merlin był Artura najmędrszym doradcą i druhem najpotężniejszym, tak, jak swego czasu był pomocnikiem i druhem jego ojca, Utera, dla którego był sporządził Okrągły Stół okrągłość świata oznaczający. Widzieliśmy już, jak młodziutkiego Artura przed zawiścią baronów ukrywał i jak moc posiadając nad ludźmi i znajomość tego, co będzie, życie królowi uratował i mądrze kierował rządem jego królestwa. Stary czarodziej Blajz, który w Northumberland przebywał, był Merlina mistrzem. On to opisał wszystkie bitwy, jakie Artur stoczył, słowo po słowie, jak mu opowiadał Merlin, i wszystkie bitwy, jakie za czasów Artura stoczono, aż do dnia, kiedy sam Merlin zginął. A stało się to, jak zobaczymy, z powodu własnego Merlina szaleństwa.

Pewnego razu powiedział on królowi Arturowi, że niedługo już po świecie będzie chodził, a pomimo wszystkich sztuk swoich żywym do grobu zejdzie. I o wielu rzeczach także mówił, które się dopiero wydarzyć miały,

a i o tym,

a i o tym, jak go królowi niedostawać będzie tak bardzo, iż wolałby Artur raczej ziemie swoje wszystkie postradać, a Merlina przy sobie zachować.

— Ach — rzecze Artur. — Skoro wiesz o tym, zapobiegnij złej przygodzie i oddal ją swoją mocą.

— Nie — odpowie Merlin — tego uczynić nie mogę.

Bowiem Merlin zdziecinniawszy ze starości dał się oczarować pannie jednej z królewskiego dworu. A zwała się ta panna Nimue. Z ową panną wkrótce od króla odjechał i towarzyszył jej wszędzie, gdzie bądź się udała. Często bywało, pragnął rozstać się z nią na zawsze, ale tak się w niej rozmiłował, że żyć już bez niej nie mógł. Owa zaś panna dopóty nań mile patrzała, póki jej wszystkich swych sztuk tajemnych nie nauczył, a kazała mu przy tym przysiąc, że nigdy przeciw niej czarów swoich nie użyje.

Pojechali razem za morze do ziemi benwickiej, gdzie Ban królował, ten sam, który swojego czasu Arturowi wrogów jego zwalczyć dopomógł. W Benwicku ujrzał Merlin młodego Lancelota, króla Banowego syna. Wówczas też królowej powiedział, że dziecię to na tak znakomitego męża urośnie, że wszystkie ludy chrześcijańskie o dzielności jego prawić będą. Pocieszyła się tym królowa, albowiem strapiona była wielce, gdyż król Klaudas śmiertelną wojnę małżonkowi jej i całej ziemi benwickiej był wypowiedział.

Potem znów Nimue z Merlinem do Kornwalii się udali. Po drodze Merlin wiele dziwów towarzyszce swojej pokazał, srodzę ją przytem wierną swoją miłością udręczył. A obawiała się Nimue Merlina za syna diabelskiego nieledwie go poczytując, rada też byłaby się go pozbyć, żadnym jednak sposobem nie mogła tego osiągnąć.

Aż raz zdarzyło się, że pokazał jej Merlin grotę cudowną, co była w skale. A zamknięta była ta grota za-

czarowanym kamieniem. Przymilając się do Merlina to Nimue zdziałała, że kamień zaczarowany usunął i do groty wszedł, żeby o cudach, jakie tam się kryły, móc potem Nimue opowiedzieć. Wówczas sprawiła Nimue czarami, które od Merlina była posiadła, że wrócił kamień na swoje miejsce, zasię Merlin żadną miarą z groty wydobyć się nie mógł. Potem odjechała panna Merlina w grocie zostawiając.

Pewnego dnia rycerz jeden na poszukiwanie przygód jadąc w pobliżu skały się znalazł, gdzie przez Nimue zamknięty Merlin siedział. I usłyszał, jak się Merlin skarży i lamentuje. Chciał ów rycerz Merlinowi dopomóc i próbował kamień zaklęty z miejsca poruszyć. Ale, aby tego dokonać i stu ludzi byłoby mało, tak ciężki był ten kamień. Zasię Merlin dowiedziawszy się, że go rycerz wyswobodzić pragnie, prosił go, aby tego poniechał. Trud był to bowiem daremny, nikt na świecie pomóc mu nie mógł, prócz tej jednej, która go tu zamknęła.

Tak spełniła się przepowiednia Merlina o tym, jaki go koniec czeka i odszedł ze świata ludzi. Arturowi brakło prawdziwie starego druha, dziwował się też, co się z Merlinem stać mogło. A potem, kiedy nadszedł czas ostatniej wielkiej bitwy, oddałby był Artur wszystko, co posiadał, byleby mieć Merlina znów przy sobie. Ale tak być nie mogło.

KONIEC ROZDZIAŁU SIÓDMEGO
O SZALEŃSTWIE MĄDREGO MERLINA

ROZDZIAŁ VIII O ŁOWACH NA JELENIA I O TYM CO Z TEGO WYNIKŁO

Zdarzyło się raz, że król Artur, a z nim wielu jego rycerzy, na łowy do puszczy pojechali. W głębi lasu Artur, król Uriens z Gore, siostry Artura imieniem Morgana le Fay małżonek, oraz Pan Akolon z Galii — wszyscy trzej szczególnie rączego jelenia ścigając zapędzili się za nim tak daleko, że reszta myśliwych o dobrych mil dziesięć za nimi w tyle pozostała. A ścigali go tak ostro, że wreszcie padły pod nimi konie. Zostawszy się bez koni widzieli, jak jeleń uchodzi ostatkiem tchu już goniąc.

— Pójdźmy pieszo dalej — król Uriens rzecze — aż schronienie jakie znajdziemy.

Wkrótce i jelenia leżącego na brzegu wody szeroko rozlanej dostrzegli. Jeden z psów gończych już za gardło go dławił, inne dopiero nadbiegały. Wtedy król Artur za róg chwycił i zagrał jeleniowi pośmiertne.

Całkiem jednak niewesołe było położenie rycerzy — bez rumaków i od domu daleko. Zaczęli się przeto rozglądać pilnie po okolicy. I ujrzał król Artur, jako jeziorem płynie ku nim okręt nieduży, jedwabiami pięknie przystrojony. Wciąż ku wędrowcom żeglując przybił ów okręt do brzegu. Wówczas wszyscy trzej rycerze na pokład wstąpili, ciekawi ujrzeć, co się na okręcie znajduje. A tu i noc ciemna zapadła i nagle wokół pokładu sto pochodni światłem jarzącym zapłonęło i jasno się zrobiło zupełnie.

zupełnie. A razem z tym światłem dwanaście panien prześlicznych się zjawiło. I zaraz panienki te ucztę wspaniałą dla zgłodniałych rycerzy zastawiły, a jakiego tylko dania zapragnąć mogli, niczego tam nie brakło. Potem do bogato przybranych komnat sypialnych ich zawiodły, gdzie strudzeni myśliwcy smacznie zasnęli. Ale, gdy nazajutrz rano ze snu się zbudzili, wszystko się odmieniło. Były to czary Arturowej siostry, a Uriensa żony, pani Morgany le Fay, która pragnęła zguby króla Artura i knuła potajemnie przeciw niemu. Obudził się więc król Uriens we własnym swoim łożu w Kamelocie, zasię król Artur w więzieniu ciemnym. A wraz z nim wielu innych nieszczęsnych rycerzy zamknionych tam było. I opowiedzieli mu oni, z jakiego to powodu w tej ciemnicy siedzą.

Panem zamku, gdzie ich więziono, był rycerz jeden, najbardziej ze wszystkich, co żyją, nieszczery, zdradziecki i tchórzliwy. A zwał się on Pan Damas. Miał ten Damas młodszego brata, Pana Oncleka, rycerza zacnego waleczności wielkiej, który się powszechną miłością ludzką cieszył. Przed tym to bratem bezprawnie majętności bronił nie chcąc się ojcową puścizną z Onclekem podzielić. Wielka też między obu braćmi trwała niezgoda. Onclek lepszym był o wiele wojownikiem, niż tchórzliwy Damas, nie mógł jednak nic przeciw starszemu bratu zdziałać, gdyż ten z samego strachu nie chciał się z Onclekem potykać. Ofiarowywał się już Onclek z zastępcą Damasa walkę stoczyć, byleby brat rycerza jakiego wybrał, który w jego imieniu walczyć zechce, ale nie kochali Damasa ludzie i nikt za niego stanąć nie chciał. Na próżno rycerzy on porywał, gdzie kogo w okolicy zdybał, i w podziemiach zamku swego ich więził pragnąc ich w ten sposób do spotkania z Onclekem przymusić. Żaden się chętny nie znalazł, chociaż wielu w więzieniu pomarło, a reszta, coś

 ze dwudziestu,

ze dwudziestu, z głodu i pragnienia całkiem z sił opadła.

A tu przychodzi do Artura panna i pyta:

— Jako się miewasz?

— Tego nawet i powiedzieć nie mogę — Artur jej rzeknie.

— Panie — mówi ona, jeśli zgodzisz się w imieniu pana mojego się potykać, wyjdziesz wolny z tego więzienia, inaczej z życiem stąd nie ujdziesz.

— Ciężki to jest warunek — król Artur powiada — ale wolej mi bić się niż w więzieniu umierać. — I tak na tym stanęło, że Artur w imieniu Damasa spotkanie z Panem Onclekem przyjjmie, za co znów on i wszyscy z nim uwięzieni rycerze na wolność wyjdą. Wyprowadzono ich też zaraz z ciemnicy na pokoje, skąd wolni odjechać mogli, ale zostali wszyscy na walkę popatrzeć.

A teraz obaczmy, co się z rycerzem Akolonem z Galii stało, który z królem Arturem i królem Uriensem jelenia ścigał, a potem razem z nimi na czarodziejskim okręcie zasnął. Obudził się on na skraju głębokiej studni leżący; pół stopy tylko brzega dzieliło go od głębi i śmierci niechybnej.

— Boże, ratuj pana mego, króla Artura i króla Uriensa — powiedział rycerz — albowiem owe panny na okręcie zdradę nam gotowały wielką. Diabły to były nie niewiasty. Jeśli też wyjdę cało z tej przygody, nie daruję pannom zdradliwym, co złych używają czarów, a gdziekolwiek je znajdę, zniszczę.

Na to stanie przed Akolonem karzeł, a gębę miał wielką i nos spłaszczony. Skłonił się ten karzeł i powiada, że od królowej Morgany przybywa.

— Pozdrowienia ci ona piękne przysyła — Akolonowi mówi — i prosi cię, abyś mężne serce zachował, gdyż jutro z rycerzem jednym o świcie walczyć będziesz.

Posyła ci też oto miecz Arturowy Ekskalibur i do niego pochwę i nakazuje, abyś dla jej miłości bez zmiłowania do ostatka walkę stoczył, jakoś jej swego czasu w rozmowie tajemnej przyrzekł.

Zdało się Panu Akolonowi, że posłanie, które mu karzeł przyniósł, jak trzeba pojął. Powiedział więc, że teraz miecz mając obietnicy swojej dotrzyma. A tu właśnie rycerz jeden (a nie kto inny to był tylko Pan Onclek) z damą i sześciu giermkami konno nadjechał i Pana Akolona powitawszy na zamek go swój spocząć zaprosił. Dosiadł tedy Akolon konia, którego mu podano i do zamku Oncleka pośpieszył, gdzie dobrego nader przyjęcia doznał.

Tymczasem Pan Damas do brata swego, Pana Oncleka, posłał, aby się nazajutrz do spotkania z rycerzem jednym dobrym gotował, który Pana Damasa w walce o dziedzictwo ojcowskie ma zastąpić. A sprawiła to Morgana le Fay sztuczkami swymi, że przybył wysłaniec do Pana Oncleka w chwili, kiedy z Panem Akolonem w jednej komnacie spoczywał. Zatroskał się wielce Pan Onclek posłanie od brata otrzymawszy, gdyż przed niedawnym czasem srogie pchnięcie włócznią poprzez oba uda był otrzymał i cierpiał bardzo. A jednak, chociaż ranny, wyzwanie Damasa byłby przyjął, gdyby nie to, że Pan Akolon ofiarował się go zastąpić. Pamiętał bowiem Pan Akolon, że Morgana le Fay miecz Arturowy i pochwę do niego mu przysłała na walkę, którą nazajutrz z rycerzem nieznanym ma stoczyć.

Uradował się wielce Pan Onclek i bratu swemu, Panu Damasowi, kazał powiedzieć, że rycerza znalazł, który nazajutrz, gdy na jutrznię zadzwonią, zamiast niego w pole wyjedzie.

Tak tedy wypadło, że król Artur i Pan Akolon, nic o sobie wzajem nie wiedząc w sprawie obu braci walczyć mieli. Poczyniono należne przygotowania i wszyscy ry-

cerze oraz lud z okolicy zebrali się na ich spotkanie popatrzeć. Dosiadł był właśnie Artur konia, gdy podeszła doń panna, przez Morganę le Fay przysłana, i miecz mu przyniosła kubek w kubek do miecza jego Ekskalibura podobny i takoż do niego pochwę. I rzekła:

— Morgana le Fay miecz twój z miłością swoją ci przysyła.

Podziękował jej Artur nic nie wiedząc o tym, że i miecz i pochwa podrobione były i kruche i nieszczere.

Z zapałem obaj do walki ruszyli i wiele zręcznych ciosów sobie zadali. Ale cała przewaga po stronie Pana Akolona była, gdyż on miał Eksalibur prawdziwy, umyśliła bowiem Morgana, że dnia tego król Artur ma zginąć. To też miecz, którym teraz walczył ani w połowie tak silnych cięć, co miecz Akolona nie zadawał. Zasię każdy cios Akolona głęboko Artura ranił i cudem tylko chyba trzymał się jeszcze król na nogach. Od samego też początku walki zdawało się Arturowi, że miecz w Akolona dłoni Ekskaliburem chyba jest, lecz tak pełen był król cnót rycerskich, że po rycersku ból tylu ran znosił i przeciwnikowi placu dotrzymywał. Aż wreszcie pękł miecz Artura przy samej rękojeści i na trawę krwią zlaną upadł.

Teraz już myślał Artur, że mu umrzeć przyjdzie, ale tarczy z rąk nie wypuścił, nie krzyknął nawet. Wszyscy, co na tę walkę patrzyli, mówili, że nie widzieli jeszcze rycerza, który by walczył tak mężnie z taką krwi utratą. I żałowali Artura. Ale Akolon królewski miecz mając w dłoni taką śmiałość czuł, że Artura wezwał, aby mu się poddał i o zmiłowanie prosił.

— Nie — odpowie król Artur — tego nie uczynię, gdyż przyrzekłem, póki życia we mnie, do ostatka walczyć, przeto umrę raczej z honorem, niż żyw z hańbą mam się ostać. A gdybym nawet i sto razy umierać miał,

 wolałbym

wolałbym to ścierpieć, niż poddać się tobie. Chociaż broni nie mam, honor mi pozostał, a jeśli mnie bezbronnego zabijesz, na ciebie niesława spadnie.

Ale Akolon o sławę nie stał i nie chciał Artura oszczędzić. I tak potężny cios mu zadał, że pochylił się król prawie do ziemi, a jednak zaraz potem tarczą na Akolona natarł i uderzył go głowicą miecza, która mu w dłoni została i zmusił go do cofnięcia się.

Ale wydarzyło się, że wśród panien dworskich, co na bitwę patrzyły, była i ta, która swojego czasu Merlina w skale uwięziła. A znalazła się tu ona z miłości dla króla Artura, gdyż wiedziała, że Morgana le Fay postanowiła sobie tego dnia do śmierci brata doprowadzić. Tedy przyszła, ażeby króla ocalić. Widziała, jak dzielnie walczył Artur, i smuciła się, że rycerz tak zacny przez zdradę nieszczerą ginie. Za jej przeto sprawą, kiedy Akolon do zadania nowego ciosu się gotował, Ekskalibur z dłoni mu się umknął i na ziemię upadł. Skoczył Artur żwawo i miecz podniósł i poznał odrazu, że własny swój miecz trzyma. Wtedy też i pochwę, u boku Akolona wiszącą dojrzał i chwyciwszy za nią ku sobie pociągnął, a oderwawszy jak zdołał daleko precz odrzucił. Wówczas z całą mocą na Akolona natarł i na ziemię go obalił. Potem sprzączki hełmu jego odpiąwszy do ostatniego ciosu się gotował i tak skończyć się miała ta walka zawzięta.

— Możesz mnie zabić, skoro taka twoja wola — Akolon mu rzecze — gdyż zaprawdę lepszego od ciebie rycerza jeszczem nie spotkał i widzę dobrze, że Bóg jest z tobą.

Ale król Artur pomyślał, że znany mu jest skądś ten rycerz więc zapyta:

— Z jakiego kraju pochodzisz i z czyjego dworu?

A gdy powiedział mu Pan Akolon swoje imię, przypom-

niał sobie Artur, że go u siostry swojej Morgany był widział. Przypomniał sobie także, jak razem na czarownym okręcie w sen popadli. Kazał tedy Akolonowi opowiedzieć sobie, jakim sposobem miecz Ekskalibur do rąk swoich dostał, i tak dowiedział się o knowaniach siostry swojej, jako z pomocą Akolona króla zgładzić chciała i sama królową zostać.

Wówczas dał się poznać Akolonowi, a powalony rycerz dowiedziawszy się że na króla nastawał, o zmiłowanie zawołał i do wszystkich zebranych powiedział:

— O panowie, ten rycerz szlachetny, z którym jam walczył, czego ciężko teraz żałuję, co do dzielności swojej, męstwa i honoru pierwszym jest rycerzem na świecie. Król Artur ci to jest we własnej swojej osobie, wszystkich nas tu władca najwyższy. Złym tylko trafem walczyłem nieszczęsny, z królem moim i panem, który ma moc nade mną.

Na to wszyscy na kolana padli i prosili króla o zmiłowanie i darował Akolonowi Artur.

A ranny był król ciężko, zasię jeszcze ciężej Akolon. Pośpieszył jednak Artur sprawę braci, Pana Damasa i Pana Oncleka, rozsądzić i przyznał Panu Onclekowi należne mu prawa do dziedzictwa, Panu zaś Damasowi pod karą śmierci nakazał, aby nigdy już błędnych rycerzy, co za przygodami po świecie jeżdżą, nie napastował.

Potem króla, a z nim i Pana Akolona, do pobliskiego opactwa zaniesiono, gdzie by mnisi rany opatrzyć im mogli.

Po czterech dniach zmarł Pan Akolon z upływu krwi, którą w bitwie utracił, zasię Artur do sił znowu powrócił. Rozkazał on zmarłego Akolona na noszach ułożyć, nosze między końmi uwiązać i tak zwłoki jego z sześciu rycerzami do Kamelotu odesłał. A powiedział przy tym owym rycerzom:

 — Zawieźcie

— Zawieźcie go siostrze mojej Morganie le Fay i powiedzcie, że taki jej oto podarunek posyłam. A i to jej rzeknijcie, że mam miecz swój Ekskalibur i pochwę z powrotem.

Więc odjechali ze zwłokami.

KONIEC ROZDZIAŁU ÓSMEGO
O ŁOWACH NA JELENIA I O TYM CO Z TEGO WYNIKŁO

Tymczasem Morgana le Fay myślała, że król Artur zginął i że ona teraz będzie królową ziemi angielskiej, królem zaś Akolon. Wkrótce jednak nadeszły do niej wieści, że Akolon nie żyje i że król Artur miecz swój z powrotem posiadł. Gdy się o tym Morgana dowiedziała, serce omal jej z rozpaczy nie pękło, ale że nie chciała, aby ludzie zdradę jej wykryli, nic poznać po sobie nie dała. Wiedziała jednak dobrze, że gdy brat jej Artur do domu powróci, niczym się już ona od śmierci nie wykupi. Tedy poszła do królowej Ginewry i o pozwolenie opuszczenia dworu królewskiego poprosiła.

— Możesz tu przecież pozostać — Ginewra jej powie — póki brat twój, król Artur, do domu nie powróci.

— Nie mogę — Morgana odrzeknie — bowiem otrzymałam wieści, które mnie do powrotu do kraju mojego naglą.

— A więc — Ginewra powiada — możesz jechać, skoro chcesz.

Tedy nazajutrz wczesnym rankiem, zanim dzień się jeszcze uczynił, wzięła Morgana konia i jechała przez dzień cały i znowu nocą. Wreszcie na drugi dzień w południe do klasztoru przybyła, gdzie u mniszek goszcząc król Artur przebywał. Wiedząc o tym zapytała najpierw, gdzie się król w tej chwili znajduje. Odrzekły jej siostrzyczki, że śpi jeszcze w łożu, które mu narządziły, gdyż

 strudzony

strudzony był bardzo trzy noce prawie nie spoczywając.

Zsiadła tedy Morgana z konia nad tym rozmyślając, jakby to znowu miecz Arturowy Ekskalibur wykraść. I poszła prosto do komnaty, gdzie król spoczywał, a nikt nie śmiał jej się przeciwić. Znalazła Artura w łożu śpiącego. W prawej dłoni król miecz swój obnażony dzierżył. Stropiła się wielce na ten widok Morgana, gdyż ujrzała, że inaczej miecza nie zdobędzie tylko króla budząc, co by też się jej śmierci równało. Wzięła więc tylko pochwę i na koniu swoim odjechała.

Kiedy król się zbudził i spostrzegł, że pochwy nie stało, wielce się rozgniewał i zapytał, kto do jego komnaty wchodził. Powiedziano mu, że siostra jego, królowa Morgana, tam była i że pochwę pod płaszczem skrywszy odjechała.

— Biada — Artur powie — strzegliście mnie nie dość wiernie.

— Panie — odrzekną wszyscy — nie śmieliśmy się rozkazom twojej siostry przeciwić.

— Niech mi podadzą najlepszego konia — król rozkaże — i Panu Onclekowi znać dadzą, aby na dobrego konia siadłszy ze mną jechał.

Wkrótce król z Panem Onclekem uzbroiwszy się dobrze w pogoń za Morganą ruszyli. Na rozstaju pastucha, co tam krowy pasł, zapytali, czy nie widział przejeżdżającej pani.

— Panie — odpowie pastuch — niedawno jechała tędy dama w czterdzieści koni i do tego tam oto lasu podążyła.

Tedy ostrogami konie wspięli i w ślad popędzili. Wkrótce ujrzał Artur w dali Morganę i puścił się za nią co koń wyskoczy. Zasię Morgana dostrzegłszy że Artur ją ściga konia do szybkiego biegu przez las przynagliła,

 aż się

aż się wreszcie na polanie oparła. Wiedząc, że umknąć nie zdoła, do jeziora, co tam było, podjechała i rzekła:

— Cokolwiek bądź ze mną się stanie, nie będzie miał brat mój swojej pochwy.

I rzuciła pochwę do wody, gdzie głąb największa. Utonęła też zaraz pochwa, gdyż ciężka była od złota i drogich kamieni.

Potem wjechała królowa Morgana w dolinę, gdzie pełno było głazów ogromnych, a widząc że Arturowi nie ujdzie, czarów do tego używszy, siebie, ludzi swoich i konie w złomy marmuru zamieniła. Nie minęła i chwila, jak Artur z Panem Onclekem nadjechali, ale już poznać nie mogli, gdzie pani była, gdzie rycerze.

— Ach, — powie król — oto możemy karę Bożą oglądać. Żałuję też teraz, że to nieszczęście się stało.

Potem za pochwą się rozejrzał, ale nie mógł jej znaleźć, wrócił więc do opactwa, z którego był wyjechał. Gdy się Artur oddalił, Morgana przywróciła sobie i rycerzom dawną postać i powiada:

— Panowie, teraz możemy jechać, gdzie nam wola.

I do kraju swojego, Gore, pojechała, gdzie radośnie ją przyjęto. Tam zaczęła wznosić zamki obronne i miasta warowne, gdyż obawiała się zawsze króla Artura.

Zasię król, gdy w opactwie należycie wypoczął, do Kamelotu pojechał, gdzie królowę swoją i baronów wielce radych z jego przybycia zastał. A kiedy usłyszeli oni o Artura dziwnych, a wyżej opisanych przygodach, zdumiewali się wszyscy przewrotnością Morgany, wielu zaś rycerzy pragnęło, aby ją za jej sprawki diabelskie na stosie spalono.

— Czekajmyż — mówi król — jeśli żyw będę, tak pomszczę się na niej, że cały świat chrześcijański mówić o tym będzie.

Nazajutrz rankiem przybyła do króla panna przez Morganę posłana, a przywiozła ona ze sobą płaszcz najbogatszy, jaki na tym dworze kiedykolwiek widziano, gdyż usiany był cały drogimi kamieniami tak gęsto, że i szpilki byś nawet między jeden a drugi klejnot wetknąć nie zdołał. A były to klejnoty najcenniejsze, jakie tylko kiedy Artur oglądał. I powiada ta panna:

— Siostra twoja ten płaszcz ci przysyła i prosi, żebyś go przyjąć od niej zechciał w podarunku. A w czym ci kiedy uchybiła, da ci za to zadośćuczynienie, jakiego tylko zażądasz.

Kiedy król płaszcz zobaczył, wielce mu się spodobał. Nic jednak Artur nie rzekł. Naówczas przyszła do niego jedna z Panien Jeziora i mówi:

— Panie, muszę pomówić z tobą na osobności.

— Mów — odpowie jej król — czego żądasz?

— Panie — rzecze ona — nie kładź na siebie tego płaszcza, zanim tego, co będzie dalej, nie zobaczysz. Pod żadnym też pozorem nie daj go sobie, ani też żadnemu ze swoich rycerzy na ramiona zarzucić, zanim wpierw nie rozkażesz, aby ta, co płaszcz przyniosła, sama się weń odziała.

— Zgoda — powie król — niech się stanie, jako mi radzisz.

I do panny od Morgany przybyłej się zwrócił:

— Panno, ten płaszcz, coś mi przywiozła, chciałbym na tobie oglądać.

A ona na to:

— Panie, nie przystoi mi wdziać na siebie królewskiej odzieży.

— Na głowę moją! — zawoła król — wdziejesz go, zanim ja, albo ktokolwiek tu inny na siebie go włoży.

I tak kazał król owym płaszczem pannę owinąć i za-

raz martwa upadła i słowa nie wydawszy na węgiel spłonęła.

Natenczas król większym jeszcze, niźli wprzód, gniewem rozgorzał i do króla Uriensa powiada:

— Twoja małżonka, a siostra moja wciąż zdradę przeciw mnie knuje i wiem to dobrze, że ty, albo syn twój, Pan Uwan, w spisku z nią zostajecie. Co się ciebie jednak tyczy, nie myślę, abyś jej stronę trzymał, gdyż z Akolonem i przeciw tobie ona spiskowała zguby twojej szukając. Przeto wybaczę ci i zostać przy sobie pozwolę. Ale co do syna twego pewności takiej nie mam, dlatego też rozkazuję ci, abyś go ze dworu mojego oddalił.

Tak więc wygnanym został Pan Uwan. A gdy się o tym Pan Gawen dowiedział, zaczął się do drogi razem z krewniakiem gotować. I razem we dwóch odjechali i udali się do puszczy, aż wreszcie w opactwie jednym u mnichów znaleźli schronienie. A kiedy do króla wieść o wyjeździe Pana Gawena doszła, żal wielki wszystkich panów ogarnął. Zasię Gaheris, Gawena brat, powiedział:

— Oto zamiast jednego rycerza dwóch dobrychśmy stracili.

KONIEC ROZDZIAŁU DZIEWIĄTEGO
O ZDRADZIE MORGANY LE FAY

Kiedy król Artur po długich wojnach spoczynku zażywał i ucztę królewską dla sprzymierzeńców swoich i szlachetnych rycerzy Okrągłego Stołu wydał, weszło do sali zamkowej, gdzie król na tronie siedział, dwunastu posłów z Rzymu. Zasię powiedzieli oni królowi :

— Wielki i potężny cesarz Lucjusz pozdrowienie królowi Brytanii przysyła. A rozkazuje ci on, abyś go za pana swojego uznał i daninę mu posłał cesarstwu z tego kraju należną, zgodnie z ustawami i prawem ustanowionym przez szlachetnego i zasłużonego ziem tych zwycięzcę i pierwszego cesarza Rzymu, Juliusza Cezara. A jeśli się żądaniu Lucjusza i rozkazom jego sprzeciwisz, wiedz to z wszelką pewnością, że wielką ci on wojnę wypowie i ziemie twe i ludzie twoich najedzie, aby mieczem karę ci wymierzyć i tak wszystkim królom i książętom na wieki ostrzeżenie dać, aby nikt nie ośmielał się uchylać od daniny należnej szlachetnemu cesarstwu, które światem całym włada.

Tę mowę słysząc niektórzy z młodych rycerzy chcieli rzucić się na posłów, aby ich zabić. I mówili, że na naganę ludzką wszyscy sobie zasłużą, jeśli ścierpią, aby do ich króla w ten sposób przy nich przemawiano. Ale król Artur rozkazał, aby nikt na posłów ręki podnieść się nie ważył. Zaraz też wszystkich baronów i rycerzy Okrągłego

Stołu na radę zwołał. I uradzili wszyscy przeciw Rzymianom zbrojnie wystąpić i w miarę sił swoich króla wspomagać.

I tak, pozwolono posłom odjechać. Siedli więc na okręt w porcie Sandwich i poprzez Flandrię i ziemie Allemanów do gór wielkich podążyli, zasię góry przebywszy poprzez całą Italię do Rzymu pojechali. Tam powiedzieli Lucjuszowi:

— Z całą pewnością jest Artur panem, którego lękać się trzeba, gdyż i zamku równie królewskiego, jak jego zamek, jeszcześmy nie widzieli, i postać ma ten król tak męską, jak nikt na świecie. Wygląda on na to, że cały świat podbije, albowiem dla jego odwagi i świat ten za mały, przeto radzimy ci, cesarzu, abyś strzegł dobrze w górach przejść i przełęczy.

Natenczas uzbroił Lucjusz hufce liczne i do Galii pomaszerował, a tam spotkał go Artur ze swoim wojskiem. Opowiadają stare kroniki o wielkich bitwach, jakie tam stoczono i o czynach walecznych baronów i rycerzy. O tym, jak to sam Artur Ekskaliburem swym głowę Lucjuszowi rozrąbał, jak wreszcie góry przeszedł i poprzez Lombardię i Toskanię do Rzymu wkroczył. W dzień wyznaczony, jako romans powiada, koronę cesarską z rąk papieża otrzymał. A odbyło się to z uroczystością, jakiej jeszcze dotychczas nie widziano.

A potem, kiedy już panowanie swoje od Rzymu po Francję utwierdził, ziemie i królestwa wasalom swoim i rycerzom nadał, każdemu według zasługi jego tak, aby nikt, ni bogaty, ni biedny skarżyć się nie miał powodu. Natenczas zebrali się baronowie Arturowi i znaczniejsi w królestwie ludzie i przed króla przyszli i powiedzieli:

— Niech Bogu najwyższemu będą dzięki. Otoś wojnę

zakończył i zdobyczy dokonał tak wielkiej, że nie masz już na świecie nikogo tak silnego i wielkiego, coby wojnę z tobą śmiał rozpocząć. Tedy prosimy cię, abyś do domu powrócił i nam do żon naszych, które tak długo nas czekają, jechać i w domu spocząć pozwolił. Uczyń to, gdyż ze sławą wielką dokończyłeś wyprawy.

Powrócili więc wszyscy przez morze i w Sandwich wysiedli. A przybyła tam królowa Ginewra króla spotykać. I spotykał go także godnie lud cały w mieście każdym i miasteczku i przynoszono mu dary bogate na powitanie.

Ze wszystkich zaś rycerzy, którzy po powrocie króla do Anglii w sławę urośli, Pan Lancelot z Jeziora wszystkich w czynach wojennych prześcignął. Rodzice jego, król Ban z Benwicku i piękna królowa Elaine, na pierwsze imię Galahad mu dali, a jak to już raz powiedziane było, Merlin, zanim pod zaczarowanym znikł kamieniem, przepowiedział mu był, że nim dwadzieścia lat minie, wielkim i znamienitym i na świat cały znanym rycerzem on zostanie. Nie dziw tedy, że francuska książka o powrocie króla Artura z Rzymu mówiąc o pierwszym Lancelocie wspomina. Z Arturem on do Anglii pojechał, gdzie mu wszyscy radzi byli i rycerzem Okrągłego Stołu został. Łaskawa mu była królowa Ginewra bardziej niż innym rycerzom, zasię on też bardziej niż innym damom i pannom przez życie całe był jej wierny. Dla jej miłości wielu czynów wojennych dokonał i od stosu ją swoją szlachetną rycerskością ocalił. Dlatego to ludzie zazdrośni źle o królowej i o Panu Lancelocie mówili, bowiem solą w oku im były jego dzielność i honor rycerski. Wielka też przez tę zazdrość bieda na Arturowym dworze wynikła. Z tego też poszła w końcu i Artura porażka i upadek jego rządów szlachetnych.

Ale przez

Ale przez długie lata był Lancelot chlubą rycerstwa i z samym królem Arturem w czynach wielkiej odwagi i rycerskości współzawodniczył, czy to na turnieju, czy gdy o przygodę jaką szło.

KONIEC ROZDZIAŁU DZIESIĄTEGO
O PANU LANCELOCIE Z JEZIORA

ROZDZIAŁ XI O NOCNEJ PRZYGODZIE PANA LANCELOTA

Przysięgi, którą jako rycerz Okrągłego Stołu był złożył, dopełniając wędrował Pan Lancelot po wielu obcych dzikich całkiem krajach, wiele też wód przepłynął i dolin zjechał. Zabił on Pana Turkwina, który na życie błędnych rycerzy nastawał, zasię drugiemu nieszczeremu zdrajcy, co na damy, panienki i niewiasty szlachetnego rodu napadał, głowę mieczem rozrąbał. Oprócz tego inne jeszcze krzywdy wyrównał i mężnie w wielu walkach stawał.

Owóż pewnego dnia zdarzyło się, że przez las głęboki jechał, gdzie, jak już dotąd nieraz bywało, schronienia byle jakiego sobie szukał. Gdyż mężny był Pan Lancelot i mocny i trudów żadnych się nie lękał, o jedno tylko dbając zawsze, aby z honorem rycerskim w zgodzie być. Właśnie był Pan Lancelot na most długi wjechał, gdy nagle chłopisko jakieś nieokrzesane z boku wypadłszy, cios potężny prosto w chrapy rycerskiego rumaka wymierza, rycerza zaś pyta, dlaczego przez ten most nie mając na to pozwolenia jedzie.

— Dlaczegoż bym też tędy jechać nie miał — Pan Lancelot na to rzeknie — skorom tę sobie drogę obrał?

— Nic z tego, zawrócić musisz — mówi ów nieokrzesaniec i na rycerza z wielką pałką nabijaną żelazem się rzuca.

Pan Lancelot miecz swój wyciągnął i prędko się

z chłopiskiem tym uporał. Potem most, jak długi, przejechał, potem wioskę, gdzie wylegli na drogę mieszkańcy próżno ostrzegali go, aby dalej się nie zapuszczał, i prosto do zielonego podwórca zamku jednego zmierzał. A zwał się ów zamek Tintagil. W Kornwalii on leżał.

Tu napadło nań zaraz dwóch olbrzymów wielkich; straszliwe buławy w ręku oni dzierżyli. Tarczą i mieczem się posługując Pan Lancelot wkrótce jednego z nich na ziemię obalił, drugi ze strachu przed straszliwymi ciosami rycerza precz umknął. Wtedy wszedł Pan Lancelot do sieni zamkowej. W zamku uwolnił on sześćdziesiąt niewiast szlachetnego rodu, które u olbrzymów przez siedem lat w niewoli siedziały i głodem przymuszone jedwab im przędły i szyciem się trudniły.

— Ugośćcie mnie, jako możecie — Pan Lancelot im powie — a co skarbów jest w tym zamku, daruję wam wszystko, aby wam krzywdę waszą wynagrodzić.

Wkrótce znowu konia dosiadł i po nowe ruszył przygody.

Pewnego wieczoru do szlachcica jednego starego zajechał, a ten chętnie rycerzowi i rumakowi jego gościny udzielił i podejmował go, jak mógł najlepiej. Gdy nadeszła pora spoczynku, zaprowadził gospodarz Pana Lancelota do izby wygodnej, co się na poddaszu nad bramą wjazdową znajdowała, aby tam przespał się rycerz. Pan Lancelot zbroję zdjął i obok łoża ją złożył. Wkrótce też zasnął. Niedługo potem nadjechał ktoś konno do bramy i z pośpiechem w nią zapukał. Usłyszawszy to wstał Pan Lancelot i przez okno wyjrzał. Wówczas w świetle księżyca zobaczył, jak trzech rycerzy jeźdźca samotnego dopada. Wszyscy jednocześnie nań się rzucili miecze do cięcia wznosząc, a ów konia w miejscu zwróciwszy mężnie przeciw wszystkim trzem stanął.

— Prawdziwie — mówi Pan Lancelot — winienem

 rycerzowi

rycerzowi temu pomóc, gdyż wstyd by mi było patrzeć spokojnie na to, jak trzech na jednego naciera. A gdyby zginął, śmierci jego byłbym współwinny.

Wdział więc zbroję i sznur z prześcieradła skręciwszy spuścił się po nim przez okno na dół.

— Tu, do mnie, rycerze — w głos zakrzyknie — tego zaś rycerza poniechajcie!

Wówczas wszyscy trzej Pana Kaja odstąpiwszy — gdyż Pan Kaj to był, co w tak srogich się znalazł opałach — na Pana Lancelota natarli. I zaczęła się walka potężna, gdyż trzej rycerze z koni zsiadłszy obstąpili Pana Lancelota dokoła i wiele silnych ciosów mu zadali. Chciał dopomóc Pan Kaj swemu wybawcy, ale nie pozwolił na to Pan Lancelot i nie minęła i chwila, jak sześciu zaledwie uderzeniami miecza wszystkich trzech przeciwników na ziemi rozciągnął. Potem zażądał, aby się Panu Kajowi poddali i przyrzekli, że w najbliższą niedzielę Zielonych Świątek na dwór królewski pójdą, jako królowej Ginewry jeńcy. Z tym pozwolił im odjechać, zasię sam głowicą miecza do bramy zapukał. Nadszedł gospodarz i wpuścił Pana Lancelota, a z nim Pana Kaja.

— Panie — gospodarz mówi — myślałem, że w łożu spoczywasz.

— Tak było — rycerz odpowie — alem wstał i przez okno skoczył, żeby towarzyszowi staremu dopomóc.

A kiedy do światła podeszli, poznał Pan Kaj, że to Pan Lancelot był, co go od śmierci pewnej wybawił i ukląkłszy przed nim za dobroć jego gorąco mu dziękował.

— Panie — Pan Lancelot mu rzeknie — nie uczyniłem ja więcej ponad to, com był powinien. A teraz rad cię witam i proszę, abyś spocząć chciał.

Tedy Pan Kaj zbroję zdjął i o posiłek poprosił, a otrzymawszy go obficie podjadł. Potem obaj rycerze na spoczynek się udali i w jednym łożu spać legli.

Nazajutrz wstał Pan Lancelot w czas rano, kiedy Pan Kaj spał jeszcze. Zbroję Pana Kaja na siebie wdział i jego tarczę wziąwszy do stajni poszedł. Tam Kajowego konia dać sobie kazał i z gospodarzem się pożegnawszy odjechał.

Niezadługo potem wstał Pan Kaj i nie znalazłszy Pana Lancelota, ani swojej zbroi, ani konia, powiedział:

— Na wiarę moją! Wiem ja teraz dobrze, że niejeden z Arturowego dworu szwanku dozna, gdyż zbroja moja i koń mój wszystkich rycerzy zwiodą. Myśląc że ze mną sprawa śmiało stawać mu będą, zasię ja jego zbroję i konia mając w spokoju jechać mogę.

Niedługo też i Pan Kaj gospodarzowi za gościnę podziękowawszy odjechał.

I tak, Pan Lancelot w głąb puszczy wjechał i tam, w kotlinie, czterech rycerzy z dworu Artura pod dębem stojących zobaczył. A ci Pana Lancelota dostrzegłszy po zbroi sądząc myśleli, że to Pan Kaj jedzie.

— Na wiarę moją! — mówi jeden z nich, Pan Sagramur — wyprobuję ja Pana Kaja mocy — i wziąwszy włócznię do ręki do Pana Lancelota podjechał.

Zasię Pan Lancelot, który Pana Sagramura dobrze znając wiedział, czego po nim spodziewać się może, tak silnie włócznią go ubódł, że i koń i jeździec obaj na ziemię runęli.

— Patrzcie, towarzysze! — zawoła drugi (Pan Ektor to był) — Widzieliście kiedy cios taki! Roślejszy mi się zdaje od Pana Kaja ten rycerz. A teraz zobaczycie, co mu uczynić potrafię.

I Pan Ektor, włócznię wziąwszy do ręki, galopem do Pana Lancelota podjechał. Dźgnął go Pan Lancelot włócznią tak silnie, że i tarczę i ramię rycerza przekłuł. Wytrzymała ten cios włócznia Lancelotowa, zasię Pan Ektor z koniem na ziemię runął.

— Na wiarę

— Na wiarę moją! — mówi trzeci z rycerzy, Pan Uwan — oto ci jest mocny rycerz! Pewien teraz jestem, że Pana Kaja on zabił. A i to widzę, że nie łatwo mi będzie takiemu siłaczowi dorównać.

I włócznię w garść ująwszy na Pana Lancelota ruszył. A znał go dobrze Pan Lancelot i na równym go spotkawszy taki mu cios swoją włócznią zadał że doszczętnie go ogłuszył. I nie wiedział nawet sam Pan Uwan, gdzie się znajduje.

— Widzę teraz — mówi ostatni, Pan Gawen — że muszę się i ja z rycerzem tym potykać.

Tedy tarczę nadstawił i włócznię dobrą wziął w rękę. Potem obaj rozpęd największy wziąwszy starli się ze sobą i wzajem włóczniami w sam środek tarczy jeden drugiego ugodzili. Ale nie wytrzymała takiego uderzenia włócznia Pana Gawena i pękła, a Pan Lancelot tak silnie koniem na konia Gawenowego natarł, że runął koń na wznak i Pana Gawena pod sobą przygniótł.

Wiele biedy miał Pan Gawen, nim się spod konia wydostał. Zasię Pan Lancelot stępa odjeżdżając uśmiechnął się i powiedział:

— Niech Bóg da zdrowie temu, co tę włócznię zrobił. Nigdym jeszcze lepszej w ręku nie miał.

Wówczas czterej rycerze razem się zebrawszy jeden drugiego pocieszali.

— Co też powiecie na ów czyn? — Pan Gawen zapyta. — Wielkiej to mocy człowiek, gdyż jedną włócznią wszystkich nas czterech obalił. Głowę sobie dam uciąć, że to Pan Lancelot. Po jeździe go poznaję.

KONIEC ROZDZIAŁU JEDENASTEGO
O NOCNEJ PRZYGODZIE PANA LANCELOTA

ROZDZIAŁ XII O TYM JAK PAN LANCELOT DO KAPLICY NIEBEZPIECZNEJ WSZEDŁ

Jednego dnia, kiedy Pan Lancelot długi czas głębokim lasem jechał, spostrzegł przed sobą stary dwór za mostem leżący. Tedy przez most ze starości zwątlały przejechał i do dworu wszedł, a tam w sali zobaczył leżące zwłoki rycerza, znacznego widać człeka. Zaraz też podeszła do Pana Lancelota pani jedna ręce łamiąc i płacząc. I powiedziała mu:

— Ach, rycerzu, wielkiś mi ból sprawił.

— Dlaczego mi to mówisz? — Pan Lancelot zapyta — nigdym ja nic złego temu rycerzowi nie uczynił. Nie patrz więc na mnie srogo, piękna damo, gdyż, przeciwnie, żal twój głęboki sercem z tobą dzielę.

— Prawdziwie, panie — rzecze ona. — Wiem ja o tym, żeś nie ty męża mojego zabił, bowiem ten, co tej zbrodni dokonał, ciężko jest ranny i nigdy już zapewne nie ozdrowieje. Za to ci ręczyć mogę.

— Jakżeż się mąż twój zowie? — rycerz zapyta.

— Panie, — dama odpowie — Panem Gilbertem go zwano. Jednym z najlepszych rycerzy na świecie całym on był. A jak zwie się ten, co go zabił, nie wiem.

— Niech Bóg cię zatem pocieszy — Pan Lancelot powiedział i z powrotem do lasu odjechał.

A tam spotkał pannę jedną, która go znała dobrze, a ujrzawszy go zawoła:

— Dobrze, że cię spotykam, panie. Na rycerskość

twoją

twoją cię zaklinając, proszę, abyś bratu mojemu, który ciężko jest ranny, dopomógł. Brat mój krwią dotąd spływa, gdyż dziś z Panem Gilbertem na ostre walczył i w walce go zabił. Ranny jest mój brat okrutnie, a wróżka jedna, co w zamku pobliskim mieszka, mówiła mi, że rany jego dotąd krwawić będą, póki rycerza nie znajdę, który by do Kaplicy Niebezpiecznej poszedł i stamtąd miecz i skrawek skrwawionej opończy zabitego przyniósł. Ów miecz i opończy skrawek, gdy je do ran brata mojego przyłożę, uleczą go.

— Cudowna to jakaś sprawa — Pan Lancelot rzeknie. — Ale jakżeż się brat twój zowie?

— Panie — panna odpowie — Panem Meliotem go zwą.

— Z żalem to słyszę — Pan Lancelot powiada — gdyż do Bractwa Okrągłego Stołu on należy, przeto wszystko, co tylko w mojej mocy, uczynię, aby mu dopomóc.

— Tedy skręć, panie, na tę dróżkę, co pod górę wiedzie — panna mówi — do Kaplicy Niebezpiecznej cię ona zaprowadzi. A ja tu czekać będę, aż Bóg mi cię ześle z powrotem. Prócz ciebie nie znam rycerza, który by się na tę ważył przygodę.

Tak więc Pan Lancelot odjechał, a do Kaplicy Niebezpiecznej przybywszy z konia zsiadł i u furtki cmentarnej go uwiązał. A na przedniej ścianie kaplicy zobaczył wiele pięknych, bogatych tarczy wiszących, a wszystkie wisiały szczytem do dołu zwrócone. Wiele też z nich oglądał już był niegdyś Pan Lancelot na rycerzach znajomych. Potem ujrzał przed sobą trzydziestu rycerzy ogromnych. A każdy z nich najwyższego człeka, jakiego kiedykolwiek w życiu oglądał, o trzy stopy przerastał. W czarnych wszyscy byli zbrojach i stali z obnażonymi mieczami i nastawionymi tarczami w pogotowiu. A uśmiechali się wszyscy szyderczo i zębami na Pana Lancelota zgrzytali. Widząc to ry-

 cerz tarczę

cerz tarczę przed siebie wysunął i miecz chwycił do walki się gotując. Wprost na nich ruszył chcąc sobie drogę mieczem otworzyć, ale rozstąpili się na boki i przejść mu dali. Zaraz też serca w nim przybyło i do kaplicy wszedł. Mrok ją czarny zalegał i tylko jedna mdła lampka płonęła. W jej świetle łyskającym dojrzał Pan Lancelot zwłoki w opończę jedwabną spowite. Pochylił się rycerz i kawałek opończy uciął. Wówczas zdało mu się, że ziemia pod nim drgnęła i strach poczuł. Potem i miecz jasny zobaczył przy zwłokach leżący. Porwał go i z kaplicy wypadł. Ledwo się na cmentarzu znalazł, kiedy olbrzymi owi głosem grobowym do niego przemówią:

— Rycerzu, Panie Lancelocie, odłóż ten miecz, inaczej umrzesz.

— Czy umrę, czy żyw będę, — Pan Lancelot im odpowie — słowami go ode mnie nie odbierzecie. Walczcie o niego, jeśli taka wasza wola.

I przeszedł wśród nich śmiało.

Tuż za dziedzińcem cmentarnym na piękną panienkę natrafił, a ta mu rzeknie:

— Panie Lancelocie, porzuć ten miecz, lub zginiesz.

— Nie porzucę go na żadne zaklęcia — Pan Lancelot mówi.

— To dobrze — rzeknie ona. — Gdybyś go był bowiem porzucił, nigdy byś już więcej królowej Ginewry nie zobaczył. A teraz, miły rycerzu, o jedno cię tylko poproszę, pocałuj mnie raz jedyny.

— Nie — Pan Lancelot odpowie — niech Bóg mnie od tego uchowa.

— To dobrze, panie — panna na to — gdybyś mnie był pocałował, dokonałyby się dni twoje. A tak oto, niestety, wszystkie moje zachody stracone, gdyż myślałam, że z kaplicy tej zwycięzca nie wyjdziesz. Miałam ci ja niegdyś Pana Gawena w swojej mocy, ale ten z Panem

 Gilbertem,

Gilbertem, rycerzem, co tam w kaplicy martwy teraz leży, walcząc lewą rękę mu uciął a przez to czarom się moim wymknął. Kochałam cię długich lat siedem, Panie Lancelocie, ale widzę teraz, że żadna inna oprócz królowej Ginewry miłości twej nie posiędzie.

— Dobrze mówisz — rycerz jej odpowie — niech mnie Bóg od twoich sztuczek strzeże.

I tak, konia dosiadł i od panny odjechał, wkrótce też siostrę Pana Meliota spotkał. Ta do zamku go zawiodła, gdzie Pan Meliot szary jak ziemia z krwi upływu leżał. Skoczył ku niemu Pan Lancelot i mieczem Pana Gilberta ran jego dotknął, potem otarł je skrawkiem owej opończy, w którą ciało Pana Gilberta było spowite. I wstał Pan Meliot zdrów zupełnie, jakby był wcale nie chorował. Wielka też między nimi zapanowała radość. Potem Pan Meliot z siostrą Pana Lancelota, jak mogli najlepiej, ugościli, nazajutrz zaś rycerz pożegnał ich i dalej pojechał.

KONIEC ROZDZIAŁU DWUNASTEGO

O TYM JAK PAN LANCELOT DO KAPLICY NIEBEZPIECZNEJ WSZEDŁ

ROZDZIAŁ XIII O RYCERZU, DAMIE I SOKOLE

Owóż przypadkiem po drodze Pan Lancelot na piękny zamek natrafił, a kiedy wpodle zamku jechał, spostrzegł sokoła, który nad głową mu przeleciawszy ku wysokiemu wiązowi się kierował. A kiedy sokół ten na drzewo wzleciał i na gałęzi sobie miejsca szukał, linka, którą miał u nóg uwiązaną, o gałąź się zaplątała, tak że gdy poderwał się, ulecieć nie mógł i głową w dół na sznurze zawisł. Widział Pan Lancelot, jak piękny ptak na drzewie uwięziony wisi, i żałował sokoła.

A tu z zamku dama wychodzi i głośno zawoła:

— O Lancelocie, Lancelocie, ty, co kwiatem wszystkiego rycerstwa jesteś, pomóż mi sokoła mego dostać. Trzymałam go w ręku, a oto wyrwał mi się. Jeśli zaś pan mój i małżonek dowie się, że sokół przepadł, zabije mnie.

— Jakże się pan twój zowie? — Pan Lancelot zapyta.

— Panie — dama odrzecze — zowią go Panem Felotem, rycerzem jest z Nordgalisu.

— A więc, piękna damo — Pan Lancelot jej powie — ponieważ znasz moje imię i żądasz, abym jako dworny rycerz z pomocą ci pośpieszył, zrobię, co będę mógł, aby ci sokoła dostać. A jednak, prawdziwie, nietęgo po drzewach łazić umiem, a pień ma ten wiąz wysoki i konary na nim rzadkie.


MB

To powiedziawszy Pan Lancelot z konia zsiadł i o pień wiązu uzdę okręcił. Potem dama dopomogła mu ze zbroi się rozdziać i rycerz szybko i zwinnie wspiął się, gdzie sokół nieszczęsny wisiał. Linkę od nóg ptaka idącą do gałęzi spróchniałej uwiązał, potem ułamawszy gałąź razem z sokołem na ziemię ją rzucił.

Ledwo wzięła dama sokoła do ręki, kiedy Pan Felot w pełnej zbroi i z mieczem obnażonym w dłoni z gaju pobliskiego wyjechał. Zaraz też na Pana Lancelota na drzewie siedzącego zawołał i rzecze:

— Mam cię teraz, jakem tego pragnął, rycerzu — i u stóp wiązu stanął, aby Pana Lancelota, gdy zejdzie, zabić.

— Ach, pani, dlaczegoś mnie zdradziła? — Pan Lancelot wtedy powie.

— Uczyniła, com jej nakazał — Pan Felot na to. — Nie masz już dla ciebie ratunku, wybiła twoja godzina i umrzeć musisz.

— Hańbę na siebie byś ściągnął — Pan Lancelot rzeknie — gdybyś, rycerzu zbrojny, bezbronnego człeka zdradą zgładził.

— Zmiłowania nad tobą mieć nie będę — Pan Felot mu odpowie — ratuj się przeto sam, jako potrafisz.

— O biada — Pan Lancelot powie — że też rycerz ma ginąć bez broni.

Spojrzał dokoła w górę i w dół i wielką gałąź bez liści całkiem w pobliżu zobaczył. Ułamawszy ją rycerz z gałęzią w ręku w dół się spuścił, patrząc, gdzie koń jego stoi. Potem nagle na ziemię poza konia skoczył rumakiem się przed Panem Felotem zasłaniając. Skoczył żwawo ku niemu Pan Felot, ale Pan Lancelot gałęzią cios jego odparował, potem zaś zdrajcę gałęzią ową w samą skroń, co sił miał, zdzielił. Omdlał Pan Felot i na ziemię upadł, zasię Pan Lancelot, miecz

 z bezwładnej

z bezwładnej jego dłoni wyjąwszy głowę Panu Felotowi uciął.

— Biada mi! — dama zawoła. — Dlaczegoś męża mojego zabił?

— Zgoła nie moja to wina — rycerz odpowie. — Przez nieszczerość waszą chcieliście mnie zdradą uśmiercić, słuszna teraz kara na was oboje spada.

To powiedziawszy zbroję pośpiesznie wdział obawiając się, aby kto nań z zamku nie wypadł, i konia dosiadł Bogu dziękując, że mu z tej przygody cało wyjść pozwolił. Potem dalej za nowymi przygodami ruszył dzikimi drogami jadąc poprzez bagna, lasy i doliny.

Na Zielone Święta dopiero do domu powrócił, a król Artur i dwór jego cały wielce się przybyciem rycerza uradowali. Bo zawsze, co jakiś czas, powracali na dwór królewski Arturowi rycerze, ci, co się z Panem Lancelotem potykali, ci, których on z niewoli wyswobodził i ci, którzy o jego czynach wojennych słyszeli. A wszyscy o waleczności Pana Lancelota opowiadali. To też w owym czasie imię tego rycerza najsłynniejsze było spośród imion rycerskich na świecie całym i wielce Pana Lancelota poważali zarówno możni, jak i maluczcy.

KONIEC ROZDZIAŁU TRZYNASTEGO
O RYCERZU, DAMIE I SOKOLE

ROZDZIAŁ XIV O TYM JAK KUCHCIK DO ZNACZENIA PRZYSZEDŁ

Jednego roku święto Zielonych Świątek obchodzono uroczyście w zamku i mieście, które w owych czasach Kink-Kenadon się nazywały. A leżało to miasto na piaskach, niedaleko Walii. Tam król Artur z wszystkimi rycerzami Okrągłego Stołu zjechał i, jak co roku, ucztę wielką wydawał. A właśnie, kiedy ucztowali, weszło do sali dwóch ludzi, znacznych widać i bogatych. Wsparty na ich ramionach kroczył między nimi młodzieniec tak nadobnej i pięknej postaci, że urodziwszego odeń młodziana żaden z rycerzy nigdy jeszcze nie widział. O półtora stopy co najmniej obu swoich towarzyszy przerastał, szeroki był w barach, o rysach twarzy foremnych wielce, ręce zaś miał osobliwie duże i piękniejsze, niż kto kiedykolwiek oglądał. A zachowywał się on tak, jakby iść o własnych siłach, ani też utrzymać się na nogach bez pomocy tamtych dwóch, co z nim byli, nie mógł. Ani słowa nie mówiąc podprowadzili go wprost do wzniesienia, na którym król siedział. Wtedy ów młodzian, pacholę nieledwie, towarzyszy swoich puścił i wyprostowawszy się z łatwością zupełną przemówił:

— Niech ci Bóg błogosławi, królu Arturze, i wszystkiemu godnemu rycerstwu Okrągłego Stołu. Przychodzę, aby cię o trzy poprosić dary, a nie zamierzam ja bynajmniej o coś nierozsądnego cię prosić, o to tylko, czego mi możesz uczciwie i bez szkody dla siebie udzielić.

A o pierwszy z tych darów dzisiaj już poproszę, zasię o dwa inne, kiedy rok od dnia dzisiejszego minie i znowu wielką ucztę wydasz.

— Tedy proś — rzecze Artur — a będziesz to miał ode mnie.

— Taka jest więc prośba moja na dzień dzisiejszy, panie, abyś mnie przez rok cały żywił i poił do syta, po roku zaś o dwa dalsze dary się upomnę.

— Nie o wiele też prosisz — król mu rzeknie. — Będziesz miał jadła i napoju na moim dworze do syta, tego bowiem nigdy nikomu, ni przyjaciołom, ni wrogom nie odmawiam. Ale chciałbym wiedzieć, jak się zowiesz.

— Tego ci powiedzieć nie mogę — młodzian odpowie.

Zdumiał się król na odpowiedź taką, ale młodzieńca Panu Kajowi, który marszałkiem dworu będąc pieczę miał nad kuchnią królewską, zaraz polecił nakazując mu, aby przybysza dobrze przez rok cały karmił i poił i o wszelkich potrzebach jego myślał, tak jakby o dziedzica wielkiego rodu chodziło.

— Nie wart on — Pan Kaj rzecze — starań i kosztów takich, śmiem to bowiem twierdzić, że z podłego całkiem rodu musi ów młodzik pochodzić. Gdyby szlacheckim był synem, o konia by cię, a zbroję prosił. Zasię jaki człek, taka i prośba jego. A że imienia on nie ma, zwać go będę Beaumains, co Piękna Rączka znaczy, i do kuchni go posadzę, gdzie tłusty rosół codzień pić będzie, aż, nim rok upłynie, jako wieprz karmny się utuczy.

Tak więc dwaj towarzysze młodzieńca odjechali, a on przy Panu Kaju został, który nie przestawał natrząsać się nad nim a drwinkować. Rozgniewało takie postępowanie marszałka Pana Gawena i nie podobało się wielce Panu Lancelotowi. Prosił też rycerz Pana Kaja, aby drwinek swoich poniechał.

 — Albowiem

— Albowiem założę się — mówił — że młodzik ten nie byle kim się okaże.

— Żadną miarą to być nie może — Pan Kaj odpowie — bo jaka prośba jego, taki i on sam jest.

I tak, Pan Kaj Pięknej Rączce miejsce przy drzwiach w sieni wyznaczył, gdzie młodzian wśród pacholąt służebnych zasiadłszy smutno strawę spożywał. Po skończonej uczcie Pan Lancelot do komnaty swojej go zaprosił, gdzie by dowoli jeść i pić mógł, toż samo Pan Gawen uczynił, ale Piękna Rączka obu odmówił, niczego bowiem, jak powiadał, nie pragnął więcej, tylko to czynić, co mu Pan Kaj nakaże. Co się Pana Gawena tyczy, nie bez racji on Pięknej Rączce pomieszkanie, jadło i napitek ofiarowywał, gdyż bliższym mu był ten młodzian krewniakiem, niż to sam przypuścić mógł. Ale to, co Pan Lancelot czynił, z dobroci jego wielkiej i dworności tylko płynęło.

Tak tedy umieszczono Piękną Rączkę w kuchni, gdzie z innymi kuchcikami miał nocleg. A w tej kuchni przez rok cały on wytrwał, zasię nigdy mężowi ani dziecku nawet się nie naraził, ale zawsze łagodny i posłuszny był. A kiedy tylko turniej jaki się na zamku odbywał, a miał Piękna Rączka sposobność po temu, to zaraz popatrzeć biegł. I gdzie tylko rycerze sztuk jakich dokonywali w rzemiośle rycerskim się ćwicząc tam już był i ni kijem, ni kamieniem nie zdołałbyś go dalej, niż na dwie stopy, odpędzić. Mawiał wówczas Pan Kaj rycerzom:

— I jakżeż wam się mój kuchcik udał?

Tak było aż do następnej niedzieli Zielonych Świątek, do wielkiej uczty królewskiej, którą król Artur tym razem w Karlionie z ogromną wspaniałością wydał. A gdy znów za stołem siedział, weszła do sali panna jedna i skłoniwszy się królowi o ratunek go poprosiła.

 — Kto o pomoc

— Kto o pomoc prosi — pyta król — i o co rzecz idzie?

— Panie — panna odrzeknie — Pani moja, dama wielce szlachetnego rodu, przez tyrana jednego w zamku swoim jest oblegana. A ponieważ rycerzy twoich najszlachetniejszymi na świecie zwą, przybyłam tu, ażeby cię o pomoc dla niej prosić.

— Jakżeż się pani twoja zowie i gdzie zamek jej się znajduje? Kto zacz w oblężeniu ją trzyma i jak go zwą? Odpowiedz.

— Panie królu — mówi panna — imienia mojej pani dziś się ode mnie nie dowiesz, tyle ci tylko powiem, że damą jest wielką i panią ziem rozległych. Co zaś do tyrana, który ją w zamku jej obległ i ziemie jej niszczy, zwie się on Krwawy Rycerz z Krwawych Błoni.

— Nie znam go — rzecze król.

— Panie — Pan Gawen przemówi — znam go dobrze, gdyż najgroźniejszy to z rycerzy na świecie. Powiadają o nim, że siłę siedmiu mężów posiada. Ja sam pewnego razu ledwom z życiem wymknąć mu się zdołał.

— Piękna panno, — król powie — nie brak tu rycerzy, którzy wszystko dla twojej pani uczynić by gotowi, skoro jednak nie chcesz nam jej imienia wyjawić, ani tego, gdzie mieszka, powiedzieć, żaden z nich za moją zgodą z tobą nie pojedzie.

— Tedy widzę, że muszę powiedzieć i więcej — ona odrzeknie.

Ledwo to powiedziała, kiedy Piękna Rączka przed króla wystąpi i powiada:

— Panie królu, niech Bóg ci odpłaci. Byłem w kuchni twojej przez rok cały i utrzymanie miałem tam dostatnie. A teraz, jako umowa stanęła, o dwa dalsze dary cię poproszę.

— Na moje ryzyko, proś — król na to powie.

 — Panie,

— Panie, dwa te dary będą takie: pierwszy, abyś mnie sprawę panny tej powierzył, zasię drugi, abyś Panu Lancelotowi z Jeziora rycerzem mnie uczynić polecił, gdyż z jego tylko rąk rycerstwo przyjąć chcę. A i o to cię proszę, abyś mu za mną jechać pozwolił, niech na rycerza wtedy mnie pasuje, kiedy go o to prosić będę.

— Wstyd! — oburzy się na to panna — Od kuchcika twojego zatem mam jedynie pomoc otrzymać?

I rozgniewana wielce konia swojego wzięła i odjechała.

A w tej chwili przychodzi ktoś Pięknej Rączce powiedzieć, że mu konia i zbroję i wszystko, czego by na wyprawę potrzebował z domu przysłano. A tak piękne i dostatnie było to zaopatrzenie rycerskie, że zdumiał się dwór cały, skądby też mogło ono pochodzić. A gdy wszedł na salę Piękna Rączka do drogi już przyodziany, żeby się z królem, Panem Gawenem i Panem Lancelotem pożegnać, mało kto z obecnych tam rycerzy mógł mu pięknym wyglądem dorównać. Poprosiwszy Pana Lancelota, żeby za nim pośpieszał, Piękna Rączka w ślad za panną ruszył. Wielu wyszło za nim, gdy odjeżdżał, żeby na jego konia i zbroję złocistą z podziwem popatrzeć, ale ani tarczy, ani włóczni Piękna Rączka nie miał. Wówczas też Pan Kaj do innych na cały głos powiedział:

— Pojadę i ja za moim kuchcikiem przekonać się, czy mnie za lepszego od siebie uzna.

Na próżno Pan Lancelot i Pan Gawen doradzali Panu Kajowi, żeby w domu pozostał. Nie słuchając ich do drogi się przysposobił, włócznię i konia wziął i za Piękną Rączką pojechał. Dogonił go właśnie w chwili, gdy Piękna Rączka z panną naprzód śpieszącą się zrównał. Zaraz też do niego podjechał i mówi:

 — Hola,

— Hola, Piękna Rączko! To mnie już nie poznajesz, mój panie?

Na to obejrzał się tamten i Pana Kaja poznał. — Owszem — odpowie — poznaję cię. Jesteś najmniej uprzejmym rycerzem z całego dworu, przeto miej się na baczności.

Na to Pan Kaj włócznię pochylił i na Piękną Rączkę natarł. Zasię ten koniem tylko zatoczył i mieczem cios włóczni Kajowej odbił, potem szybkim pchnięciem bok napastnika przebił. Upadł Pan Kaj, jak martwy, na ziemię. Wówczas Piękna Rączka z konia zsiadłszy włócznię i tarczę Panu Kajowi zabrał i na jego konia swojego karła posadził. Potem sam rumaka swego dosiadł i w dalszą drogę ruszył. To wszystko Pan Lancelot nadjeżdżając widział i panna także.

Tymczasem i Pan Lancelot się przybliżył i zaraz mu Piękna Rączka zaproponował, żeby się z nim spróbować chciał. Runęli na siebie jak dwa odyńce i przeszło godzinę walczyli. A taką miał Pan Lancelot ciężką z Piękną Rączką robotę, że się lękać zaczął, czy mu się czasem powstydzić przed nim nie przyjdzie. Tedy rzeknie mu w końcu:

— Piękna Rączko, nie walcz tak ostro. Nie masz bowiem takiej zwady pomiędzy nami, ażebyśmy walki poniechać nie mieli.

— Prawda to — Piękna Rączka odpowie — przecie dobrze mi to czyni, kiedy siły swojej z tobą próbuję, a jednak, panie mój, nie pokazałem ci jeszcze wszystkiego, co potrafię.

— Tedy ci rzeknę — Pan Lancelot na to — że czyniłem, com mógł, żeby z walki z tobą bez wstydu wyjść, możesz się przeto nie obawiać żadnego rycerza na ziemi.

— Sądzisz więc — Piękna Rączka mówi — że mógłbym każdemu jak doświadczony rycerz stanąć?

— Tak jest — Pan Lancelot odpowie — stawaj, jako stawałeś dotąd, a ręczyć za ciebie ja będę.

— Tedy proszę cię, byś mnie rycerzem uczynił.

— A więc powiedz mi, jak cię zwą i z jakiego rodu pochodzisz.

— Jeśli imienia mego nikomu nie zdradzisz, powiem ci — Piękna Rączka odrzecze.

A Pan Lancelot na to: — To ci na wiarę moją przyrzekam, że póki imię twoje powszechnie wiadomym nie będzie, nikomu go nie wyjawię.

— Tedy, panie — Piękna Rączka powie — zwę się Garet, Pana Gawena bratem rodzonym jestem.

— Ach, panie! — Pan Lancelot zawoła — Więcej ci jeszcze, niż pierwej, rad teraz jestem, zawsze bowiem myślałem, że zacna krew w tobie płynie i żeś nie zjawił się na dworze dla jadła tylko i napoju.

To powiedziawszy na rycerza go pasował, poczem Pan Garet w swoją drogę ruszył.

Zasię Pan Lancelot zawrócił, gdzie Pan Kaj jak bez ducha leżał i na tarczy swojej do domu odnieść go kazał. Nierychło Pan Kaj z rany się swojej wylizał, wiele się też od wszystkich drwinek wszelakich nasłuchał. Zwłaszcza Pan Gawen i Pan Lancelot powiadali, że nie powinien był Pan Kaj tak młodzieńcowi przyganiać nie wiedząc dobrze o tym, jakiego był rodu i w jakiej sprawie na dwór królewski przybył.

KONIEC ROZDZIAŁU CZTERNASTEGO

O TYM JAK KUCHCIK DO ZNACZENIA PRZYSZEDŁ

ROZDZIAŁ XV O TYM JAK PAN GARET DLA PANI ZAMKU NIEBEZPIECZNEGO WALCZYŁ

Jechał za panną Piękna Rączka w tarczę i włócznię teraz zaopatrzony i przez Pana Lancelota przynajmniej poznany, jako Pan Garet, króla Artura siostrzeniec. A kiedy pannę dogonił, ta mu rzekła:

— Co tu robisz przy mnie? Kuchnią cię czuć! Odzież masz uwalaną sadłem i łojem, o któreś w kuchni królewskiej zabiegał. Wracaj przeto, skądżeś przybył, głupi kuchciku. Znam cię dobrze, ciebie to Pan Kaj Piękną Rączką nazwał. Prostakiem nieokrzesanym jesteś i nic więcej nie umiesz, tylko rożen obracać, a warząchwie myć.

— Panienko, — Piękna Rączka jej odpowie. — Możesz, co chcesz na mnie mówić, ale od ciebie nie odjadę, gdyż przed królem Arturem wziąłem na się twoją sprawę załatwić i dokonam tego, albo też zginę.

A gdy dalej razem przez las jechali, nadbiegł ku nim człek jeden, a pędził on co miał siły.

— Skąd przybywasz? — Piękna Rączka go zapyta.

— O panie, — tamten zawoła — pomóż mi! W tamtej oto kotlinie sześciu zbójów pana mego porwawszy związanego trzymają i lękam się, aby go nie zabili.

Pojechał tedy Piękna Rączka za człowiekiem owym, aż tam, gdzie rycerz związany leżał, a przy nim sześciu zbójów siedziało. I zaraz trzy razy mieczem uderzywszy trzech z nich Piękna Rączka po kolei zabił. Trzech in-

nych ucieczką się ratowało, przeto pogonił za nimi i wkrótce dopędził. Wówczas zawrócili ku niemu i osaczyli go dokoła. Tęgą z nimi miał przeprawę, przecie ich pobił w końcu i powróciwszy do rycerza z więzów go uwolnił. Dziękował rycerz Pięknej Rączce i do zamku swojego, co w bok od drogi leżał, zapraszał chcąc go tam godnie wynagrodzić za ten czyn szlachetny. Ale mu Piękna Rączka odpowie:

— Innej mi, panie, nagrody, prócz tej, której mi Bóg udzieli, nie trzeba. Muszę też za tą oto panną pośpieszać.

A gdy znów do niej podjechał, rozkazała mu się oddalić. — Gdyż — mówiła — kuchnią cały śmierdzisz. Może ci się wydaje, że rada z tobą przebywam? Wszystko, czegoś dokonał, przypadkiem tylko ci się udało, ale, czekaj, ujrzysz ty jeszcze rzeczy, na których sam widok drapniesz i to chyżo.

A wówczas ten sam rycerz, którego Piękna Rączka od zbójów wyratował, za panną nadjechawszy pięknie ją poprosił, żeby zechciała gościnę na noc w jego zamku przyjąć. A ponieważ i noc się zbliżała, pojechała z nim panna na zamek, gdzie jej rycerz przyjęcie godne zgotował. Pojechał i Piękna Rączka za nimi. A gdy do wieczerzy siadali, wskazał mu rycerz miejsce naprzeciw panny. A ta zaraz zawoła:

— Fe, wstydź się, panie rycerzu! Całkiem też nieuprzejmie postępujesz, że kuchcika naprzeciw mnie sadzasz. Lepiej mu przystoi świnię ubitą oporządzać, niż naprzeciw panny wysokiego rodu zasiadać.

Zawstydził się rycerz jej słowami. Piękną Rączkę z boku posadził i sam naprzeciw niego usiadł. Przez cały wieczór biesiadowali i zabawiali się wesoło, nazajutrz zaś rano panna z Piękną Rączką rycerzowi za gościnę podziękowawszy pożegnali go i dalej w drogę

 ruszyli.

ruszyli. I tak, do wielkiego lasu dojechali. A przepływała tam rzeka i most tylko jeden przez tę rzekę prowadził. Zasię na drugim brzegu rzeki dwóch rycerzy czekało, ażeby im przejścia bronić. Ale gdyby ich i sześciu nawet było, nie zawróciłby z drogi Piękna Rączka. Z koniem on do wody skoczył. Zaraz mu jeden z rycerzy na spotkanie ruszył i na środku rzeki włóczniami na się natarli. Pękły im obie włócznie odrazu, wówczas obydwaj miecze wyciągnęli i rąbać się z zapałem poczęli. Wreszcie Piękna Rączka tak mocno tamtego po hełmie uderzył, że napastnik z konia spadł i wodą się zalawszy utonął. Wówczas Piękna Rączka z koniem na brzeg wyskoczył, gdzie go drugi rycerz napadł. Przez długi czas ze sobą walczyli, w końcu przecie Piękna Rączka hełm rycerzowi razem z głową rozpłatał. Potem do panny powrócił, aby jej powiedzieć, że swobodnie jechać może dalej.

— O biada — panna rzeknie. — Że też poszczęściło się kuchcikowi takiemu i dwóch dzielnych rycerzy zabił. Myślisz też pewnie, żeś walecznie sobie poczynał, ale traf to tylko zwycięzcą cię zrobił. Kiedyś bowiem w rzece z pierwszym rycerzem walczył, koń mu się potknął i przez to utonął, inaczej żadną miarą pokonać byś go nie zdołał. Co zaś do drugiego znowu, przypadkiem z tyłuś go zajechał i zabił.

— Panienko — Piękna Rączka jej powie — możesz mówić, co ci się tylko podoba, a jednak z kimkolwiek do czynienia mieć będę, w Bogu nadzieję pokładam, że mi się z nim rozprawić, jak należy, pozwoli. Dlatego też nie dbam o to, co powiadasz, byle bym tylko panią twoją zdobyć mógł.

— Fe! Fe! Wstydź się, głupi kuchciku! Ujrzysz ty jeszcze rycerzy, którzy twoje przechwałki ukrócą. Widzę ja przecież, że wszystko, czego dokonywasz, nie

dzielności swojej dłoni, tylko przypadkowi zawdzięczasz.

— Piękna panno — powie jej rycerz znowu — przemów ty do mnie mile, a wszelkiej troski pozbędę. Wiedz jednak, że cokołwiek byś mówiła, żadnego z napotkanych rycerzy się nie ulęknę, a dokądkolwiek pojedziesz, tam i ja za tobą pojadę.

I znów razem jechali, aż dopóki na modły wieczorne nie zadzwoniono, a przez cały ten czas panna z Pięknej Rączki dworować sobie nie przestawała.

Potem nad czarne błonie przyjechali. A na tym błoniu rósł czarny krzew róży dzikiej. Zasię z jednej strony po krzewie tym czarna spływała chorągiew, z drugiej czarna tarcza wisiała. Obok tarczy wetknięta była w ziemię czarna włócznia, potężna i wysoka bardzo, a niedaleko koń stał ogromny w czarnej kapie jedwabnej. Opodal na czarnym kamieniu rycerz w czarnej zbroi siedział. A zwał się on Rycerzem z Czarnych Błoni.

Rycerza tego ujrzawszy, poprosiła panna Piękną Rączkę, żeby w bok, w dolinę umknął.

— Wielkie nieba! — rycerz na to zakrzyknie — zawsze tchórzem chciałabyś mnie widzieć!

A wówczas i Czarny Rycerz, gdy doń panna podjechała, zapytał:

— Panno, czyś tego tu oto Arturowego rycerza przywiodła, aby dla ciebie walkę stoczył?

— Nie, miły rycerzu — panna odpowie — nie rycerz to żaden, ale kuchcik, który w kuchni króla Artura za żywność służył. Rada bym się też od niego uwolnić, bowiem wbrew mojej woli za mną jedzie. Obyś go ode mnie precz odpędził, lub też i zabił, gdyż kłopotliwy wielce jest to pachołek i źle dziś sobie poczynał.

A na to Czarny Rycerz powiada:

 — To ci

— To ci mogę obiecać, że wnet się młodzik ten na ziemi znajdzie, a wtedy konia jego i zbroję sobie zabiorę. Większej krzywdy mu nie uczynię, gdyż wstyd by mi było.

Gdy to usłyszał Piękna Rączka, zawoła:

— Panie rycerzu! Wspaniałomyślnieś się oto moim koniem i zbroją rozporządził! Darmo ci one całkiem przyszły. Wiedzże jednak, że czy zechcesz, czy nie, przez błonie to przejadę, zasię konia ani też zbroi ode mnie nie dostaniesz, chyba je własnymi rękoma zdobędziesz. Nie jestem też ja kuchcikiem, jak ta panna powiada, ale szlachcicem urodzonym zacniejszego niż twój rodu, o czym się wnet na własnej skórze przekonasz.

I w wielkim gniewie obaj konie w tył cofnęli, potem jak piorun gwałtownie na siebie natarli. Pękła włócznia Czarnego Rycerza, swoją zaś Pan Piękna Rączka na wylot przeciwnika przeszył, przy czym ją i złamał. Na ból nie zważając Czarny Rycerz miecza dobył i wiele nim potężnych ciosów Pięknej Rączce wymierzył ciężko go raniąc; wreszcie zemdlony na ziemię runął i ducha wyzionął.

Wówczas Piękna Rączka z konia zeskoczył, zbroję zabitego na siebie wdział i jego rumaka dosiadłszy znów za panną pojechał. A ona ujrzawszy, że nadjeżdża, powiedziała:

— Precz, kuchciku! Odjedź na stronę, bo gdy z wiatrem jedziesz, woń obrzydła z szat twoich mnie dolatuje. O biada, że też taki, jak ty, pachołek mógł złym trafem tak zacnego rycerza zabić. Nieszczęście mnie jakieś widać prześladuje. Ale poczekaj tylko, już niedaleko jest ktoś, co ci za to wszystko odpłaci. Dlatego też raz ci jeszcze doradzam, uciekaj!

— Może to być — Piękna Rączka odpowie — że mi sądzone klęskę albo i śmierć ponieść. Uprzedzam cię

 jednak,

jednak, piękna panno, że nie ucieknę i nie opuszczę ciebie, cokolwiek mówić będziesz. Za każdym też razem, kiedy mi śmierć albo klęskę przepowiadasz, tak się zdarza, że przeciwnicy moi giną, a ja zwycięzcą wychodzę. Lepiej byś więc przestała mi przyganiać, jak to przez dzień cały czynisz, gdyż nie odjadę, póki celu wyprawy tej nie osiągnę, albo też naprawdę nie zginę. Jedź tedy swoją drogą, a ja, cokolwiek bądź się stanie, za tobą podążę.

A gdy znowu dalej razem jechali, rycerza zdążającego ku nim ujrzeli. W zielonej odzieży był ten rycerz i na zielono odzianym koniu siedział. Podjechawszy bliżej panny on zapyta:

— Czy to brat mój, Czarny Rycerz, z tobą jedzie?

— O nie — panna zaprzeczy — to tylko kuchcik nieszczęsny, który przypadkiem brata twojego zabił.

— Biada! — rycerz zawoła. — Wielka szkoda się stała, że rycerz tak szlachetny tak nieszczęśliwie z ręki pachołka, jak powiadasz, zginął. O zdrajco! Umrzesz za to, żeś brata mojego zabił. Szlachcicem on był i rycerzem zacnym.

— Zaprzeczam temu, co mówisz — Piękna Rączka mu rzecze — z rycerskiej bowiem dłoni i z honorem on zginął.

A na to Zielony Rycerz do zielonego krzewu dzikiej róży, co tam nie opodal rósł, podjechał i z krzewu tego zielony róg zdjąwszy trzy razy weń zadął. Wydał róg trzy tony smutne śmiertelnie. I wnet pojawiły się obok krzewu dwie panny i zbroję i broń Zielonemu Rycerzowi podały. Uzbroiwszy się konia wielkiego dosiadł i zieloną tarczę wziął i zieloną włócznię do ręki.

Z wielką mocą obaj rycerze na siebie natarli, a włócznie w uderzeniu złamawszy za miecze chwycili. Potężnie się też nimi rąbali i obaj ciężkie rany odnieśli. Wreszcie

koń Pięknej Rączki konia Zielonego Rycerza w bok uderzywszy na ziemię go obalił. Porwał się rycerz z ziemi, aby pieszo dalej walczyć. Zeskoczył i Piękna Rączka z konia i tak przez czas długi, jak przystało dzielnym zapaśnikom walczyli krwią się obaj oblewając.

Na to panna podchodzi i mówi:

— Panie Zielony Rycerzu, wstydu chyba nie masz, że tak długo z kuchcikiem tym się porasz. Wstyd to zaiste, że rycerzem cię uczyniono, kiedy chłopak taki sprostać ci potrafi, widać, że chwast samo zboże przerósł.

Zawstydził się Zielony Rycerz tą przemową i siły zebrawszy potężnym ciosem tarczę Pięknej Rączki wpół przeciął. Teraz z kolei młody rycerz wstyd poczuł z powodu ciosu i panny razem gadania, tedy natężywszy się w sobie taki cios Zielonemu Rycerzowi po hełmie wymierzył, że tamten na kolana upadł. Wówczas Piękna Rączka chyżo do ziemi go przygiął, zasię przeciwnik jego powstać nie mogąc na czworakach o łaskę zawołał i Panu Pięknej Rączce się poddając o darowanie życia błagał.

— Próżno mnie prosisz — Piękna Rączka powie — zginąć musisz, chyba, że ta oto panna za tobą prosić mnie będzie.

I sprzączki hełmu jego odpinał, jakby go zabić miał.

— Niech tak będzie — panna zawoła — zostaw go, kuchciku przebrzydły, gdyż inaczej srogo tego żałować będziesz.

— Panienko — Piękna Rączka jej powie — każde zlecenie twoje z radością wykonam. Na twój rozkaz, niczyj inny, życie mu daruję. Panie rycerzu w barwach zielonych, puszczam cię wolno na panny tej żądanie, gdyż rozgniewać jej nie chcę i cokolwiek mi rozkaże, to spełnię.

Tedy Zielony Rycerz przed Piękną Rączką ukląkł

 i miecz

i miecz mu swój na znak hołdu oddając przyrzekł, że wraz z trzydziestu swymi rycerzami po wiek wieków władzę jego nad sobą uznawać będzie.

Rzeknie wówczas panna:

— Boleję ja wielce, Zielony Rycerzu, nad twoją szkodą i brata twojego, Czarnego Rycerza, zgonem. I o pomoc cię proszę, gdyż lękam się bardzo przez ten las oto przed nami jechać.

— Nie obawiaj się niczego — Zielony Rycerz odpowie — gdyż noc dzisiejszą w moim zamku spędzisz, jutro zaś przez las ten cię przeprowadzę.

Tedy na konie siedli i wszyscy do zamku Zielonego Rycerza pojechali. W pobliżu on się znajdował. I znów panna na Piękną Rączkę fukała i nie pozwoliła, żeby z nią za stołem usiadł. Ale Zielony Rycerz przy bocznym stole go usadził i cześć mu okazywał, gdyż widział, że gość jego i zwycięzca krwi był zacnej i rycerzem godnym się okazał. A przez całą noc kazał on trzydziestu ludziom potajemnie straż nad Piękną Rączką trzymać, aby go od wszelkiej zdrady uchronić. Zasię rankiem, kiedy wszyscy wstali i poranny posiłek spożywszy w dalszą drogę ruszyli, aż na skraj lasu Zielony Rycerz podróżników odprowadził, a żegnając się z Piękną Rączką powiedział:

— Panie mój, Piękna Rączko, ja i tych oto trzydziestu rycerzy na każde twoje wezwanie zawsze stawić się jesteśmy gotowi. Kiedykolwiek tylko zechcesz, daj nam znać, a przybędziemy do ciebie w dzień czy w nocy.

— Dobrze — Piękna Rączka odpowie — kiedy cię zawezwę, masz z wszystkimi swymi rycerzami do króla Artura pociągnąć.

Gdy Zielony Rycerz odjechał, rzekła panna Pięknej Rączce:

— Dlaczego za mną jedziesz, kuchciku? Tarczę

 i włócznię

i włócznię rzuć i zmykaj lepiej, gdyż ten wąwóz przed nami Przejściem Niebezpiecznym się zowie i nie przedostaniesz się tamtędy.

— Panienko — Piękna Rączka odrzecze — niech umyka, kto się boi. Wstyd by to był, gdybym drogi tyle z tobą przejechawszy stąd zawrócił.

A na to panna:

— Niech i tak będzie. Czy chcesz jednak, czy nie, niezadługo się cofniesz.

Następnego dnia, podobnie jak to się pierwej działo, pokonał Piękna Rączka trzeciego z braci, Czerwonego Rycerza, i podobnież na panny żądanie życie mu darował. A mimo to jednak nie przestawała ona wzgardliwymi słowami do niego przemawiać, co bardzo Czerwonego Rycerza dziwiło. Przez noc też, kiedy w zamku jego nocowali, kazał potajemnie sześćdziesięciu ludziom nad Piękną Rączką czuwać, ażeby młodego rycerza żadna zła nie spotkała przygoda. Sam zaś z pięćdziesięciu swymi rycerzami Pięknej Rączce się poddał i hołd mu oddając wierność po wszystkie czasy przysiągł i służby swoje i ludzi swoich ofiarował.

— Dzięki — Piękna Rączka mu powie — a uczynisz to, kiedy cię zawezwę, abyś do pana mego, króla Artura, jechał. Tam z rycerzami swymi mu się poddasz i służyć mu odtąd będziesz.

I znów nazajutrz rano Pan Piękna Rączka z panną dalej pojechali, a po drodze nie przestawała mu ona jak najdotkliwiej przyganiać.

— Panno — Piękna Rączka powiada. — Nieuprzejmie to wcale z twojej strony, że mi tak przyganiasz, bowiem wydaje mi się, że ci wcale dobrą usługę świadczę. Zawsze też, ile razy przyjdzie mi się po drodze z rycerzem jakim potykać, klęskę mi wróżysz zawczasu, a owoż mimo twoich przechwałek nieprzyjaciele moi w pyle i błocie

 leżą.

leżą. Proszę cię więc, przestań mi wreszcie przyganiać. Jeśli mnie kiedy pokonanym lub o łaskę proszącym ujrzysz, wówczas będziesz mnie mogła ze wstydem od siebie odpędzić. Teraz jednak wiedz, że od ciebie nie odjadę, gdyż głupcem chyba musiałbym być potężnym, aby cię opuścić, kiedy sławę przy tobie zdobywam.

— Niech tak będzie — panna odpowie — ale wkrótce już rycerz się zjawi, który ci za wszystkich zapłaci, gdyż największy to obok króla Artura rycerz.

— Im większy rycerz — Piękna Rączka na to powie — tym większa i dla mnie chluba, że się z nim potykać będę. A nie wątpij, panno, że z łaską Boga tak rycerzowi temu stanę, że i dwóch godzin od południa nie minie, jak zwycięzcą będę. Wówczas dalej pojedziemy i, nim słońce zajdzie, pod zamkiem twojej pani, o siedem mil stąd odległym, staniemy.

— Dziwuję się — panna mu rzeknie — co też za człek z ciebie. Nie może być inaczej, tylko krew zacna w tobie płynie, nigdy bowiem żadna niewiasta rycerzem tak nie poniewierała, jak ja tobą poniewieram. A wszystkoś po rycersku i dwornie znosił, co dowodzi, że z wysokiego rodu pochodzisz.

A na to Piękna Rączka jej odpowie:

— Panienko, za nic ma sobie nieraz rycerz zachowanie, którego niewiasta żadna by nie zniosła. Nie mam ja do ciebie żalu za twoje słowa, im bardziej mi bowiem dopiekałaś, tym silniejszy gniew we mnie rósł, którym na przeciwnikach swoich mógł wyładować. I tak każde twoje słowo obelżywe do walki mnie podżegało i sprawiało, żem nad tym tylko przemyśliwał, jakby dowieść w końcu kim jestem. Przypadkiem ja tylko w kuchni królewskiej się żywiłem mogąc strawy mieć gdzie indziej do syta. A com zrobił, ażeby przyjaciół swoich doświadczyć i czym jest szlachetnie urodzonym, czy też nie, tość

 mogła,

mogła, panienko, oglądać. Szlachetniem ci służył, to przyznać musisz, a być może, nim się z tobą rozstanę, nierównie większą jeszcze oddam ci przysługę.

— Niestety, zawiniłam — panna rzeknie. — Przebacz mi, miły Piękna Rączko, wszystko com mówiła i czyniła przeciw tobie.

— Całym sercem ci przebaczam — odpowiedział — A wiedz i to, że mile do mnie przemawiając wielceś serce moje uradowała i wydaje mi się teraz, że nie masz takiego rycerza na świecie, któremu bym rady nie dał.

Tak rozmawiając do łąki jasnej dojechali. A na łące namiot stał Pana Persanta z Indii, czwartego z braci, którzy Pięknej Rączce przejścia do zamku oblężonego bronili. A znaczny i bogaty to był rycerz, Pan Persant z Indii, mogłeś to był dostrzec odrazu, ledwoś na niego spojrzał. Namiot jego i wszelkie wokół sprzęty, ludzie i niewiasty co mu usługiwali, także rzędy na koniach, tarcze i włócznie — wszystko ciemnobłękitne nosiło barwy.

Kiedy tylko Pan Persant nadjeżdżających zobaczył, wnet i on i Piękna Rączka do walki się przysposobili. A najechali na siebie z taką siłą, że obu włócznie pękły i konie martwe na ziemię padły. Pieszo dalej walczyli przez dwie z górą godziny. Poszły w kawałki porozrąbywane zbroje rycerzy i wiele ran obaj odnieśli. W końcu Piękna Rączka, chociaż z ciężkim sercem to czynił, tak potężnie Pana Persanta po hełmie uderzył, że tamten na czworakach na ziemi się znalazł. I tak się ta sroga bitwa skończyła. Podobnie jak wpierw jego bracia i Pan Persant Pięknej Rączce się poddał i o zmiłowanie prosił. Na panny też żądanie chętnie mu Piękna Rączka życie darował i w zamian hołd jego i przysięgę wierności przyjął. A z Panem Persantem stu jego rycerzy przysięgło zawsze na wezwanie Pięknej Rączki się stawić.

Nazajutrz rano, kiedy Piękna Rączka z panną namiot Pana Persanta opuszczali, ów zapyta:

— Dokąd to, piękna panno, tego rycerza ze sobą wiedziesz?

— Panie — odrzekła — rycerz ten na odsiecz siostrze mojej do Zamku Niebezpiecznego podąża.

— Ach, ach — Pan Persant na to powie — toż ją przecie Krwawy Rycerz z Krwawych Błoni, największy z rycerzy na świecie, w oblężeniu trzyma. Bez litości to żadnej człek, a powiadają o nim, że siłę siedmiu mężów posiada. Niech Bóg cię przed nim, panie, chroni. Srogą on krzywdę pani tego zamku czyni, a szkoda to wielka, gdyż jedna to z najpiękniejszych niewiast na ziemi. A coś mi się zdaje, że ta tu oto panna siostrą jej przypada. Czyż nie Linetą cię zwą?

— Tak, panie — odrzecze ona — a siostra moja Damą Lionessą się zowie. A teraz, Panie Persancie z Indii, proszę cię, ażebyś tego tu młodego szlachcica rycerzem uczynił, aby z Rycerzem z Krwawych Błoni do walki stanąć mógł.

— Z całego serca to uczynię — Pan Persant odpowie — jeśli tylko rycerstwo z rąk tak prostego, jak ja człeka, przyjąć zechce.

Ale Piękna Rączka podziękowawszy mu za dobre chęci powiedział, że już to szczęście miał, iż go szlachetny Pan Lancelot na rycerza pasował. Potem, gdy mu Persant i panna zachować to w tajemnicy przyrzekli, wyjawił im, że naprawdę Panem Garetem z Orkney jest, króla Artura siostrzeńcem, że Pan Gawen, Pan Agrawen i Pan Gaheris braćmi mu rodzonymi przypadają, on zasię najmłodszym z braci jest. — A jednak — mówił — ani król Artur, ani Pan Gawen, nie wiedzą jeszcze, kim jestem.

Mówi dalej opowieść, że owa pani, Dama Lionessa, w zamku swoim otrzymała była wiadomość o przyby-

 ciu siostry

ciu siostry z młodym rycerzem i o tym, jak wszystkie niebezpieczne przejścia Pan Piękna Rączka przebył, jak czterech braci pokonał i Czarnego Rycerza zabił, jak Pana Kaja pognębił, z Panem Lancelotem wielką walkę stoczył i z rąk jego godność rycerza przyjął. Ucieszyła się ona wieściami tymi i zaraz przybyszom wino i przysmaki różne posłała i prosiła młodziana, aby mężne serce i odwagę w sobie zachował.

Następnego dnia Piękna Rączka z Linetą znowu koni dosiedli i lasem pięknym jechali. A gdy na skraju jego stanęli, ujrzeli przed sobą zamek potężny i mnóstwo w koło namiotów i niebo nad tym gęstymi dymami zasnute.

Podjechawszy bliżej ku obozowisku ujrzał Piękna Rączka trupy wielu dobrych rycerzy na drzewach wielkich wiszące. Około czterdziestu ich było, a każdy z nich tarczę swoją i miecz na szyi miał uwiązane. A byli to wszystko rycerze, którzy Damie Lionessie na pomoc przybiegli i pokonani przez Rycerza z Krwawych Błoni tak haniebną śmiercią zginęli.

Podjechał potem Piękna Rączka z towarzyszką swoją do wałów obronnych i zobaczyli, jak były potężne. Wielu znacznych rycerzy czuwających na tych wałach ujrzeli. A z jednej strony, tuż za murami, morze widniało i na nim okręty i słychać było okrzyki marynarzy: ciągnij i ho-stój!

Nie opodal klon wysoki wyrastał. Na tym klonie róg wisiał olbrzymi, największy, jaki kiedykolwiek widzieli, z kła słoniowego uczyniony. Rycerz z Krwawych Błoni ten róg tam powiesił chcąc, by każdy z błędnych rycerzy, który by walczyć z nim zamierzał, graniem rogu o tym go powiadomił. Prosiła panna Lineta Piękną Rączkę, żeby rogu tego nie ruszał, nim południe z nieba nie zejdzie. Bowiem powiadali ludzie, że siła Rycerza z Krwawych

Błoni co ranka ze słońcem rosła, póki wreszcie o południu sile siedmiu mężów nie dorównała.

— Fe, wstydź się, panno miła — Piękna Rączka Linecie powie — takich rzeczy nie mów mi więcej, bo choćby najtęższym rycerzem na świecie całym on był, w pełni sił jego zmierzyć się z nim pragnę i zwyciężyć ze sławą, albo śmierć rycerską w boju ponieść.

To powiedziawszy ku drzewu klonowemu z koniem skoczył i w róg tak potężnie zadął, że obozowisko całe i zamek oblężony graniem się wypełniły.

Wówczas wyskoczyli rycerze ze swoich namiotów, a ci, co w zamku byli, na wały i do okien rzucili się patrzeć. Zasię Krwawy Rycerz z Krwawych Błoni pośpiesznie zbroję wdziewać na się zaczął. Dwóch baronów ostrogi mu przypinało, grabia rzemyki hełmu na głowie zaciągał. A wszystko, co tylko Krwawy Rycerz miał, zbroja jego, włócznia i tarcza jak krew szkarłatne były. Wreszcie rumaka szkarłatnego mu przywiedli i tak w dolinę niewielką, co u stóp zamku leżała, zjechał, aby wszyscy, oblegający i oblężeni, walkę oglądać mogli.

Spojrzał Pan Piękna Rączka w górę na okno zamkowe i Panią Lionessę w nim ujrzał, najpiękniejszą, zdało mu się, panią, jaką kiedykolwiek na świecie oglądał. Skłoniła mu się z góry nań patrząc, a on stał z twarzą rozjaśnioną oczu od tego okna odwrócić nie mogąc. Tak, w jednej chwili ją pokochał i przysiągł sobie uwolnić ją, lub zginąć.

— Dość już tego patrzenia, panie rycerzu — Rycerz z Krwawych Błoni nań zawoła — radzę ci na mnie oczy swe zwróć i do walki się gotuj.

Wtenczas obaj włócznie ująwszy z całą siłą na siebie natarli. A tak potężnie każdy z nich w sam środek tarczy przeciwnika uderzył, że pękły odrazu na koniach napierśniki, popręgi i na podogoniach rzemienie. Na zie-

mię obaj rycerze się zwalili i ogłuszeni przez czas jakiś tak leżeli, a wszyscy, co na walkę ich patrzyli, myśleli, że obaj sobie karki skręcili. Wreszcie obaj jednocześnie powstali i tarczami się zastawiając z mieczami w dłoniach, jak dwa lwy rozjuszone, ku sobie skoczyli. Rąbnęli się wzajem po hełmach tak silnie, że każdy z nich w tył się zatoczył. Po krótkiej chwili przyszedłszy do siebie znowu miecze w ruch puścili, tak nimi siekąc, aż kawałki ich zbroi i tarcz odrąbane dokoła pryskały.

Południe minęło, a oni walczyli ciągle ani na chwilę nie ustając. Wreszcie, kiedy im zupełnie tchu w piersiach zabrakło, przystanęli obaj ciężko dysząc. Ledwo im oddech powrócił, znowu się na siebie rzucili i walczyli, aż pokąd na wieczorne modły nie zadzwoniono. Zasię nikt z patrzących na tę walkę powiedzieć jeszcze nie mógł, kto zwycięży. Potem jeden drugiemu zgodę na to dał, że spocząć mogą. Tedy obaj na dwóch kretowiskach, co tam w pobliżu jedno obok drugiego wyrastały, usiedli i sprzączki hełmów odpięli, ażeby im głowy chłodny wiatr owiał. Wówczas Pan Piękna Rączka oczy do góry podniósł i znów piękną panią Lionessę w oknie zobaczył. Tak mile nań spojrzała, że mu wraz serca przybyło i radość poczuł. Zaraz też na Rycerza z Krwawych Błoni zawołał, żeby się do walki ostatecznej gotował.

Sprzączki u hełmów zaciągnęli i znowu na siebie natarli. Nagle Rycerz z Krwawych Błoni strasznym cięciem krzyżowym miecz Panu Pięknej Rączce z ręki wytrącił, potem drugim ciosem tak po hełmie młodzieńca uderzył, że upadł Pan Piękna Rączka twarzą do ziemi. Zaraz zwalił się nań Rycerz z Krwawych Błoni, aby mu wstać już nie dać. A wtedy krzyknęła głośno panna Lineta i do Pięknej Rączki się odezwała mówiąc, że zapłakała jej siostra klęskę młodego rycerza widząc.

A kiedy to Pan Piękna Rączka usłyszał, z taką siłą z ziemi się porwał, że Rycerza z Krwawych Błoni z siebie strącił, sam zasię po miecz swój skoczył. Schwyciwszy go jednym susem naprzeciw Krwawego Rycerza stanął i na nowo walczyć zaczęli. Ale teraz Pan Piękna Rączka razy swoje podwajał a tak gęsto uderzał, że wkrótce nad przeciwnikiem górę wziął i na wznak go obaliwszy sprzączki hełmu jego odpinał, aby mu cios śmiertelny zadać. Na to Rycerz z Krwawych Błoni o zmiłowanie zawołał.

Wspomniał Pan Piękna Rączka na trupy tylu rycerzy haniebnie powieszonych i powiada:

— Nie pozwala mi honor rycerski życia ci darować.

Wówczas podejdzie do Pięknej Rączki wielu grabiów, baronów i rycerzy zacnych i prosić zaczną, aby Rycerzowi z Krwawych Błoni życie darował i jeńcem go swoim uczynił.

Puścił go przeto taki mu warunek dając, że do zamku pójdzie i pani Lionessie w niewolę się odda, a gdy ta przebaczyć mu zechce, darowanym mu będzie życie z tym, że krzywdy które tej pani i ziemiom jej wyrządził, wyrówna.

Przyrzekł Krwawy Rycerz z Krwawych Błoni wszystko, co mu Piękna Rączka rozkaże, uczynić, potem ze wszystkimi swymi grabiami i baronami hołd mu złożył i wierność przysiągł. Zaraz też do zamku poszedł i z panią Lionessą zgodę zawarł, po czym na dwór króla Artura pociągnął.

Tam opowiedział otwarcie, jak i przez kogo pokonanym został, opowiedział także o wszystkich walkach, jakie Pan Piękna Rączka od samego początku aż do końca stoczył.

— Na Boga! — zakrzykną na to król Artur z Panem Gawenem w zdumieniu wielkim — z nie byle ja-

kiego rodu musi ten młodzik pochodzić, jeśli rycerzem tak wielkim się okazał.

Tylko Pan Lancelot zupełnie się nie zdumiał wiedząc dobrze, kim był Piękna Rączka. Ale obietnicą związany nic nie chciał rycerz powiedzieć, przyzwolenia młodzieńca na to czekając, albo innego trafu, który by tajemnicę Pięknej Rączki wyjawił.

Wszakże Dama Lionessa wkrótce przez brata swego, Pana Gringamura, dowiedziała się, że jej zbawca synem królewskim jest, Panem Garetem z Orkney, samego króla Artura siostrzeńcem. Tedy cześć swoją mu okazywała, zasię on jej swoją wzajem, a gdy się tylko razem znaleźli, mówili do siebie nader dwornie i twarze im jaśniały.

I pewnego razu przyrzekła pani Lionessa szlachetnemu rycerzowi, Panu Garetowi, że jego tylko przez wszystkie dni swojego żywota miłować będzie. A gdy to rycerz usłyszał, nie było nadeń szczęśliwszego człowieka na ziemi, bowiem od chwili, kiedy tę panią w oknie zamkowym ujrzał, taką do niej miłością rozgorzał, iż zdawało mu się czasem, że chyba rozum postrada.

KONIEC ROZDZIAŁU PIĘTNASTEGO

O TYM JAK PAN GARET DLA PANI ZAMKU NIEBEZPIECZNEGO WALCZYŁ

ROZDZIAŁ XVI O TYM JAK PAN GARET NA DWÓR KRÓLA ARTURA POWRÓCIŁ

A teraz Pana Gareta z Panem Gringamurem i siostrami jego, Lionessą i Linetą, na Zamku Niebezpiecznym pozostawmy i do króla Artura powróćmy, który znów na Zielone Święta doroczną ucztę w Karlionie wydał.

A przybył na tę ucztę najpierw Zielony Rycerz z pięćdziesięciu rycerzami i wszyscy królowi Arturowi się poddali. Potem i brat jego, Czerwony Rycerz, z sześćdziesięciu swymi rycerzami nadjechał i także jeńcem królewskim się opowiedział. Wreszcie i brat ich, Rycerz Błękitny, we sto koni nadciągnął siebie i ludzi swych służbom królewskim polecając. Wówczas też opowiedzieli trzej bracia królowi, jak wszystkich ich rycerz jeden pokonał, który z panną jechał i Piękną Rączką się zwał. Opowiedzieli także, jak czwartego brata, Czarnego Rycerza, Pan Piękna Rączka zabił, jaką przygodę miał z dwoma braćmi broniącymi mu przejścia przez rzekę i coraz bardziej zdumiewał się król, kto zacz był ów rycerz, co w kuchni jego przez rok siedział i przez Pana Kaja wzgardliwie Piękną Rączką nazwanym został.

A właśnie, gdy król stał z trzema tymi braćmi rozmawiając, nadszedł Pan Lancelot z Jeziora z wieścią, że znaczny jakiś pan z sześciuset rycerzami na dwór królewski przybył. Wyszedł król gościa powitać, a tu Krwawy

Rycerz z Krwawych Błoni dworny mu ukłon składa i mówi:

— Przysyła mnie tu rycerz, co Piękną Rączką się zowie. W pojedynczej walce on mnie pokonał, a równego mu przeciwnika nigdym jeszcze przedtem nie miał. Na jego tedy rozkaz ja i rycerze moi woli się twojej królewskiej poddajemy, aby ci odtąd w miarę sił naszych wiernie służyć.

Przyjął go król Artur dwornie, jako przedtem trzech braci przybyłych, i przyrzekł im wszystkim przez miłość dla Pięknej Rączki cześć okazywać. Przeto do stołu swego ich zaprosił i na miejscu poczesnym posadził.

A gdy wszyscy za stołem zasiedli, weszła do sali królowa z Orkney, a za nią dam i rycerzy liczba wielka. Zerwali się natenczas zza stoła synowie tej pani, Pan Gawen, Pan Agrawen i Gaheris i, podszedłszy do niej, na kolanach ją powitali o błogosławieństwo prosząc, bowiem nie widzieli jej już lat piętnaście. Zasię ona z gniewem do brata swego, króla Artura, przemówi:

— Coś z najmłodszym synem moim, Panem Garetem, uczynił? Cały rok tu między wami przebywał, a tyś go kuchcikiem zrobił wstyd przez to na was wszystkich ściągając.

— Ach, matko miła — Pan Gawen zawoła — nie poznałem ci go wcale.

— Takoż i ja — król powie. — Lecz Bogu niech będą dzięki, rycerzem wielkim, jak żaden jeszcze w jego latach, on się okazał, i dopóki go nie odnajdę, radości nie zaznam. Zdaje mi się też, siostro, że niesłusznie wyrzuty mi czynisz, skoroś mnie swego czasu o przybyciu mego siostrzana wcale nie uwiadomiła. Gdybym wiedząc kto zacz z krewniakiem moim źle się obszedł, w prawie byłabyś mi dzisiaj przyganiać. Ale syn twój na mój dwór

 wsparty

wsparty na ramionach dwóch ludzi się przywlókł, jak by o własnych siłach iść nie mógł. Potem o trzy dary mnie prosił, z których jednego tego samego dnia miałem mu udzielić. A tego zażądał, abym go przez rok cały karmił i poił. O dwa inne dary w rok potem poprosił i tego znów chciał, abym sprawę panny Linety, która tu o pomoc mnie błagać przybyła, jemu poruczył i aby Pan Lancelot rycerzem go uczynił wówczas, kiedy tego zażąda. Te wszystkie jego życzenia spełniłem, a wielu tu na tym dworze dziwowało się, że o jadło i napitek prosił, mniemano też, iż o to właśnie zabiegając z podłego rodu on pochodzi.

— Panie — rzeknie bratu królowa z Orkney — posłałam go do ciebie w piękną zbroję, broń i konia zaopatrzonego, sporo też złota i srebra miał on ze sobą.

— Być może — król odpowie — ale tegośmy nie widzieli. Dopiero w dniu, kiedy na wyprawę wyruszał, powiadali mi rycerze, że karzeł jakowyś we dworze nagle się pojawił i konia mu pięknego i zbroi bogatej dostarczył. Wielceśmy się też dziwowali, skąd bogactwa te pochodzić mogły i wszyscyśmy orzekli, że snać wielkiego rodu młodzian ten być musi.

— Bracie — rzeknie na to królowa — wierzę wszystkiemu, co powiadasz, gdyż odkąd z lat dziecięcych syn mój wyszedł, swoim się on rządził rozumem, a przemyślny był zawsze i wszystko, co sobie zamyślił, wiernie był zawsze wykonał. Temu się tylko dziwuję, że mógł Pan Kaj nad nim się natrząsać i w pogardzie go mieć i Piękną Rączką przezwać. Przecież lepszą mu nazwę dał, niż sam się spodziewał, gdyż, jeśli tylko syn mój żyje jeszcze, nie masz na świecie człeka, który by mu pięknością twarzy i rąk dorównał.

 — Siostro,

— Siostro — Artur powie — jeśli tylko w granicach moich siedmiu królestw przebywa, Bóg go nam odnoleźć pozwoli. A teraz do uczty wracajmy i weselmy się, gdyż dowiódł, że człowiekiem jest honoru, a to mnie raduje.

Napisano potem piękne listy i posłano z nimi wysłańca do pani Lionessy prosząc ją, aby króla powiadomiła, gdzie Pan Garet najpewniej znajdować się może. Dała na to odpowiedź, iż nie może jeszcze powiedzieć, gdzie się rycerz obraca, zamierza jednak wielki turniej na zamku swym urządzić, a podczas turnieju na pewno i o Panu Garecie da się jakiejś wieści zasięgnąć.

Tedy król Artur i wszyscy co przedniejsi jego rycerze na zamek pani Lionessy, co w podle wyspy Awilionu leżał, razem przybyli. Wiele czynów niezwykłej odwagi i zręczności tam dokonano, jednak ze wszystkich rycerzy Pan Garet największą sławę zdobył. Brał on ci udział w tym turnieju przez nikogo nie poznany, aż wreszcie herold jeden miano rycerza na hełmie jego odczytawszy wszystkim to głośno wyjawił.

Słusznie też domyślać się możecie, jak wielce się król odnalezieniem Pana Gareta ucieszył; z radości jak dziecko on zapłakał. Na tę chwilę właśnie matka młodzieńca, królowa z Orkney przybyła, a kiedy Pana Gareta we własnej osobie twarzą w twarz ujrzała, zemdlona na ziemię upadła. Podniósł ją Pan Garet i tak umiejętnie pocieszał, że przyszła całkiem do siebie i radości wielkiej się oddała. Podeszła ku nim i pani Lionessa, taka piękna, że wśród zebranych tam dam najświetniejszych za pierwszą uznana była.

Wówczas król siostrzeńca swego, Pana Gareta, zapytał, czy by panią tę za żonę pojąć sobie życzył.

— Panie mój — Pan Garet odpowie — wiedz to, że ją nad wszystkie inne miłuję.

 — A ty,

— A ty, piękna pani, co mi powiesz? — król zapyta.

— Najszlachetniejszy królu — pani Lionessa odpowie — wiedz, że pan mój, rycerz Garet, droższym małżonkiem mi będzie niż każdy z królów, czy książąt w chrześcijańdstwie całym. A jeśli mu pozwolisz wolę swą wypowiedzieć i wybór po własnej myśli uczynić, twierdzić się ośmielę, że mnie on za żonę zechce.

— Prawda to! — Pan Garet zawoła — jeśli ciebie za żonę nie pojmę, żadnej innej nigdy nie zaślubię.

— Powoli, siostrzeńcze, powoli — król na to powie. — Alboż ci tego wzbraniam? Wolej bym część królestwa utracił, niż między wami dwojgiem stanął. Daję wam miłość moją i królewską zgodę na to małżeństwo i wszystko dla was, co tylko w mojej leży mocy, uczynię.

Tak więc zarządził król, aby zaślubiny Pana Gareta z Damą Lionessą odbyły się z uroczystością wielką w dzień świętego Michała Archanioła w Kink-Kenadon nad morzem. Sam Biskup Canterbury przybył ślubów małżeńskich młodej parze udzielić. A tego samego dnia Pan Gaheris pannę Linetę poślubił.

Zasię na gody weselne przybył Zielony Rycerz i brat jego, Czerwony Rycerz i wszyscy inni, których Pan Garet był zwyciężył. I hołd mu złożyli przysięgając lennikami jego być po wsze czasy. Oni też na własne życzenie przy uczcie mu usługiwali. A zjechało się na te gody wiele królów i królowych, książąt, grabiów, baronów i rycerzy wspaniałych. A wiedzcie, że nie brakło tam na tych godach jadła smakowitego i napitków, ani też uciech rozlicznych, gier i harców, i pieśni śpiewania, którymi się chętnie, jak to w owych czasach we zwyczaju było, zabawiano. Zasię nie zaprzestano

bawić się i ucztować wcześniej, niż po dniach czterdziestu.

Słusznie tak się działo, gdyż ten Pan Garet wielce szlachetnym rycerzem był i rozum miał nie byle jaki i wysławiał się pięknie.

KONIEC ROZDZIAŁU SZESNASTEGO
O TYM JAK PAN GARET NA DWÓR KRÓLA ARTURA POWRÓCIŁ

ROZDZIAŁ XVII O TYM JAK PAN PARCYWAL Z GALISU PANA LANCELOTA SZUKAŁ I ODNALAZŁ

Pewnego dnia przybył na dwór króla Artura rycerz jeden z giermkiem swoim. A był to Pan Aglowal, króla Pellinora syn. Brata on swego Parcywala za giermka ze sobą wziął, gdyż pragnął, aby z rąk króla Artura młodzieniec godność rycerza otrzymał. Najmłodszym był ten Parcywal z pięciu synów królewskich, przeto król Artur z miłości dla ojca jego i braci, wszystkich rycerzy dobrych, zgodził się godność rycerza mu dać i uczynił to dnia następnego w Kamelocie. Myśleli jednak i król i rycerze wszyscy, że nieprędko jeszcze ów świeży rycerz walecznością się swoją popisze, zasię Pan Kaj i Pan Mordred żarty sobie stroili z młodzieńca, nieświadomego dworskich zwyczajów.

Przy obiedzie, kiedy każdy z rycerzy według znaczenia swego miejsce za stołem zajmował, kazał król Panu Parcywalowi pomiędzy pomniejszymi rycerzami zasiąść. Ale całkiem inaczej się stało. Była bowiem wśród dwórek królowej dziewczyna jedna, z domu zacnego, ale niemowa, która nigdy słowa nie wyrzekła. Ta to dziewczyna, ledwo na sali się była zjawiła, wprost do Pana Parcywala podeszła i za rękę go wziąwszy przemówiła głośno, tak aby król i rycerze wszyscy słyszeć ją mogli:

— Powstań, Panie Parcywalu, rycerzu szlachetny i rycerzu Boga, i pójdź ze mną.

 Tedy

Tedy powstał rycerz, a dziewczyna zawiodła go, gdzie Stołek Niebezpieczny stał, dotychczas jeszcze przez nikogo nie zajęty. Potem miejsce mu po prawej stronie stołka wskazując rzekła:

— Miły rycerzu, zajmij miejsce swoje, gdyż tobie tylko, nikomu innemu ono się należy.

To powiedziawszy z sali wyszła, niezadługo zaś po tym zdarzeniu zmarła. A król i dwór cały uradowali się wielce, że Pana Parcywala pośród siebie mają.

W jakiś czas potem zdarzyło się, że Pan Lancelot z Jeziora niechcący królowę Ginewrę ciężko obraził. Ta zaś wyrzuty srogie mu czyniąc zdrajcą nieszczerym go nazwała i kazała z dworu swego precz jechać. A tak się jej słowami Pan Lancelot przejął, że ze zmartwienia całkiem od rozumu odchodził. W nieprzytomności przez okno w ogród zamkowy skoczył, a że na ciernie natrafił, twarz całą okrutnie sobie podrapał. I przed siebie tak pobiegł nie wiedząc sam, dokąd pędzi i przez długi czas nikt z najbliższych nawet jego krewniaków nie wiedział, co się z rycerzem stało.

Wkrótce jednak królowa Ginewra żal wielki poczuła, że się tak srogo z wiernym swoim rycerzem obeszła, i na kolanach Pana Borsa, Lancelotowego siostrzana, i innych jeszcze rycerzy błagała, aby po Anglii całej, Walii i Szkocji szukać Pana Lancelota jechali.

Zgodzili się na to ci rycerze szlachetni i wyruszyli po dwóch, po trzech razem się trzymając, a zawsze zgóry się umówiwszy, gdzie się spotkać mają, aby wieści sobie wzajem udzielić.

Wówczas i Pan Aglowal z Panem Parcywalem wyruszyli, najpierw jednak do matki swojej zajechali. A królową ona w owym czasie była. Dwóch synów swoich ujrzawszy serdecznie z radości zapłakała mówiąc:

 — O synkowie

— O synkowie kochani, gdy ojca waszego zabito, pięciu synów mi pozostawił, a do dziś dnia trzech już poległo. Nigdy moje serce nie dozna pociechy.

Potem przed Aglowalem i Parcywalem uklękła i błagała ich, aby w domu z nią pozostali.

— O słodka matko — Pan Parcywal jej rzeknie — z ojca i z ciebie krew królewską w siebieśmy wzięli, przeto przystoi nam po świecie wojować i czyny szlachetne spełniać.

A kiedy przyszedł czas, że mieli jechać dalej, nic tylko płacz a szlochanie za sobą zostawiali. A gdy w drogę już wyruszyli, posłała matka za nimi giermka dostatnio go zaopatrzywszy. Ale kiedy dopędził giermek rycerzy, ani słuchać o tym nie chcieli, żeby dalej z nimi miał jechać. Do domu z powrotem go odesłali, ażeby matkę ich pocieszył i o błogosławieństwo dla synów ją prosił.

A kiedy wracał ów giermek do domu, noc go zaskoczyła po drodze, tedy do zamku najbliższego się udał o nocleg prosić.

A traf nieszczęśliwy zrządził, że panem tego zamku był baron jeden, któremu Pan Aglowal brata zabił. Zasię dlatego on to uczynił, że nieszczerym był rycerzem ów barona brat i wielu damom i rycerzom dobrym zdradą odpłacił. Tedy, gdy ów baron usłyszał, że przybyły giermek dobremu rycerzowi, Panu Aglowalowi służy, bez litości żadnej swoim ludziom zabić go kazał.

A kiedy zwłoki giermka nazajutrz rankiem na cmentarzu grzebać miano, Pan Aglowal z Panem Parcywalem drogą nadjechali. Wówczas jeden człek poczciwy, który na pogrzeb był przyszedł, opowiedział im, jak niecnie baron z biednym giermkiem się obszedł. Usłyszawszy to obaj rycerze z koni zsiedli i ludziom swoim je zostawiając pieszo do zamku poszli. Tam, ledwo w bramę dziedzińca weszli, odźwiernemu Pan Aglowal powie:

— Idź do pana swego i powiedz mu, że przybył Pan Aglowal, któremu giermka nocy tej zabito.

Wnet też i pan zamku, Panem Gudwinem się on zwał, uzbrojony na dziedziniec wyszedł. Rzucili się na siebie z Panem Aglowalem z taką zawziętością, z jaką gniewne lwy ze sobą walczą. Zasię Pan Parcywal z pozostałymi walkę stoczył, kto tylko stanąć mu chciał i nie minęła chwilka, jak wszystkich, co śmielszych, ubił, tak bowiem mieczem swoim obracał, że nie każdy podejść bliżej się odważył. Wkrótce też i Pan Aglowal Pana Gudwina na ziemię obalił. Wówczas bracia zamek opuścili i znów koni dosiedli. Potem zwłoki giermka do pobliskiego klasztoru zanieść kazali. Tam go i pochowano. Po pogrzebie dalej rycerze w swoją drogę ruszyli i wiele krajów zjechali — wszędzie się o Pana Lancelota wypytując, ale nigdzie na ślad jego nie wpadli.

Wreszcie w zamku Kardykanem zwanym rozstał się Pan Parcywal z bratem swoim, Aglowalem i sam dalej z giermkiem tylko pojechał. Pod wieczór na most w kamieniu kuty natrafił, a na tym moście rycerza znalazł łańcuchem przykutego do słupa. Pan Persydes to był, rycerz Okrągłego Stołu. Przypadkiem tędy był on jechał schronienia w zamku za tym mostem leżącym szukając. A tak niecnym zwyczajem mieszkańcy tego zamku się rządzili, że Pana Persydesa osaczyli, nim za broń chwycić zdołał, i związawszy do mostu go przykuli. Już myślał Pan Persydes, że mu tam umrzeć przyjdzie, jeśli mu rycerz jaki zacny z pomocą nie pośpieszy.

Poznał nieszczęśnika Pan Parcywal i zawołał:

— Bądź, panie, dobrej myśli, a że rycerzem Okrągłego Stołu, jako i ja, jesteś, wierzę, że Bóg uwolnić mi cię pozwoli.

To powiedziawszy miecza dobył i w łańcuch z taką siłą uderzył, że nie tylko na dwoje go rozkroił, ale i kol-

 czugę razem

czugę razem Pana Persydesa przeciął i samego rycerza lekko ranił.

— Prawdziwie — Pan Persydes powie — równie tęgiego ciosu nigdym jeszcze nie otrzymał — gdyby bowiem nie łańcuch ten, już bym nie żył.

Wtem w koło spojrzawszy rycerza ujrzał, który od zamku co sił ku nim nadjeżdżał. Tedy Panu Parcywalowi rzeknie:

— Strzeż się, panie. Jedzie tu taki, z którym pewno będziesz miał robotę.

— Niechże przybywa — Pan Parcywal na to powie.

I na spotkanie rycerza na środek mostu wyjechawszy taki mu cios wymierzył, że napastnik z siodła wysadzony za poręczą mostu się znalazł. Byłby też z pewnością wszelką zatonął, gdyby do czółna był nie wpadł, co pod mostem uwiązane stało. Wówczas Pan Parcywal konia jego wziął i Pana Persydesa nań posadził. Potem razem do zamku pojechali i tam na żonie rycerza wymogli, aby sługi Pana Persydesa uwolniła.

Gdyby był Pan Parcywal za większą sprawą nie jechał, byłby dłużej w zamku tym pozostał, aby złym obyczajom jego mieszkańców kres położyć, ale nie mógł on nigdzie długo popasać, bowiem Pana Lancelota poszukiwał. Tedy z Panem Persydesem do jego zamku pojechał i tam gościnnie przez gospodarza podejmowany tę noc spędził. Nazajutrz rano mszy świętej wysłuchawszy i posiłek ranny spożywszy Panu Persydesowi powiedział:

— Do króla Artura jedź i powiedz mu, jakeś się ze mną spotkał, zasię mojemu bratu, Panu Aglowalowi, opowiedz, jakem cię z niewoli wyratował i proś go, aby mnie nie szukał, gdyż nie ujrzy mnie on, ani ze dworu nikt, póki wpierw Pana Lancelota z Jeziora nie odnajdę. A Panu Kajowi i Panu Mordredowi rzeknij, że w Bogu nadzieję pokładam, iż nie gorszym od nich rycerzem oka-

 zać mi się


MB

zać mi się pozwoli i że nie wcześniej na dwór królewski wrócę, aż ludzie z taką czcią mówić o mnie będą, z jaką nigdy o żadnym z nich nie mówili.

Tak więc Pan Persydes z Panem Parcywalem się rozstał i do króla Artura pojechał, aby o czynach Pana Parcywala opowiedzieć. Rzekł też wówczas król Artur, iż powinien ten młodzian dowieść, że jest rycerzem wielkim, gdyż ojciec jego i bracia wszyscy szlachetnymi rycerzami byli.

A teraz do Pana Lancelota z Jeziora powróćmy, aby o jego smutku i niedoli powiedzieć i o mękach, jakie z zimna, głodu i pragnienia był wycierpiał. Jak szaleniec jaki po świecie on się błąkał to tu, to tam wędrując. Wreszcie przypadkiem do zamku króla Pellesa trafił. Tam uleczono go z jego szaleństwa, a kiedy rozum odzyskał, wielce się zawstydził, że tak bez rozsądku całkiem przez czas jakiś zostawał. Król Pelles jeden ze swych zamków na mieszkanie mu dał, a stał ten zamek na wyspie zamkniętej zewsząd wodą jasną, głęboką i szeroko rozlaną. Wyspę tę Pan Lancelot „Wyspą Radosną“ nazwał i długi czas na niej mieszkał. A że wygnanym był z dworu króla Artura i nie chciał, aby, kim jest, wiedziano, „Rycerzem, który zbłądził“ się przezwał.

Pewnego razu usłyszał on o turnieju, który się niedaleko jego wyspy odbywał, tedy zapowiedź tam posłał, iż rycerz jeden na Wyspie Radosnej przebywający a zwący się „Rycerzem, który zbłądził“ gotów jest stanąć każdemu z rycerzy, który doń przybyć zechce. A kiedy zapowiedź tę otrąbiono, wielu rycerzy na Wyspę Radosną się zbiegło. A wiedzcie, że i na dworze króla Artura nawet nie było rycerza, który by tylu czynów wojennych dokonał, ile ich w tym wesołym zamku dokonano.

W tym czasie i Pan Parcywal niedaleko Wyspy Radosnej się znalazł, zasię byłby on chętnie i do zamku po-

 jechał

jechał, ale nie wiedział, jak wodę szeroką przebyć. A gdy na brzegu stał, dojrzał panią na wyspie, która nad wodą stała, tedy zawołał na nią i zapytał, kto też w zamku tym przebywa.

— Miły rycerzu — pani mu odpowie — Rycerz tu mieszka najpiękniejszy i ze wszystkich chyba najpotężniejszy na ziemi, a zwie się on „Rycerzem, który zbłądził". Jak szaleniec do kraju tego on przybył, przez psy i dzieci chłopskie ścigany, potem cudem znowu rozum odzyskał. Jeśli do zamku tego chcesz się dostać, brzegiem dalej jedź, aż gdzie wyspa się kończy. Łódź tam znajdziesz, którą się z koniem razem przeprawisz.

Tedy Pan Parcywal do łodzi pojechał i razem z koniem na tamten brzeg się przeprawił. A kiedy do bramy zamkowej zastukał, odźwiernemu powiedział:

— Pójdź do rycerza dobrego, co w zamku tym mieszka i powiedz mu, że rycerz błędny tu przybył, który potykać się z nim pragnie.

Potem do zamku podjechał, zasię Pan Lancelot, który wiadomość o jego przybyciu był odebrał, wrychle do walki się przysposobił. A zderzyli się z Panem Parcywalem z taką siłą, że obaj razem z końmi na ziemię runęli.

Tedy koni poniechawszy mieczów szlachetnych dobyli i uderzać się nimi po tarczach zaczęli, tak że odrąbane tarcz kawałki pryskać jęły dokoła. Odskakiwali od siebie i znów, jak dwa odyńce, ze sobą się zwierali i wiele ciężkich ran obaj odnieśli.

A kiedy już przeszło dwie godziny walka ich trwała, powiedział wreszcie Pan Parcywal:

— Miły rycerzu, proszę cię, powiedz mi, jak się zowiesz, bowiem nigdym jeszcze takiego nie spotkał przeciwnika.

— Panie — Pan Lancelot odrzeknie — zwę się „Ry-

cerzem, który zbłądził". A teraz, szlachetny rycerzu, ty swoje imię mi powiedz.

Tedy powie Pan Parcywal:

— Panem Parcywalem z Galisu mnie zwą, król Pellinor moim ojcem był, a Pan Aglowal bratem mi przypada.

— Biada mi! — Pan Lancelot zawoła — Cóżem uczynił, że walczyć muszę z rycerzem Okrągłego Stołu, ja, com niegdyś towarzyszem twoim był.

To powiedziawszy ukląkł Pan Lancelot i tarczę swoją i miecz precz od siebie odrzucił. Zdumiał się wielce widząc to Pan Parcywal, gdyż nie wiedział wcale, co by to znaczyć mogło. Tedy na wysoką godność rycerską Pana Lancelota zaklinając prosił go, aby mu prawdziwe swoje imię wyjawił. I wyznał mu wszystko Pan Lancelot.

— Biada mi! — Pan Parcywal zawoła — Cóżem uczynił! Posłała mnie królowa, abym cię szukał i szukałem cię blisko dwa lata. Wybacz mi, żem do walki cię pozwał i ranił.

— Jużem ci to od razu wybaczył — Pan Lancelot odpowie.

Opowiedział mu tedy Pan Parcywal, jak król Artur i wszyscy jego rycerze, a już najwięcej królowa Ginewra smucili się i żałowali, że Pan Lancelot od nich odjechał. I to mu rzekł, że nigdy żaden rycerz lepszego na dworze królewskim nie dozna przyjęcia nad to, które Pana Lancelota tam czeka.

Wówczas zgodził się Pan Lancelot pójść za Pana Parcywala radą i z nim razem do króla jechać. Tedy koni dosiadłszy Wyspę Radosną opuścili, zasię po pięciu dniach podróży do Kamelotu przybyli. Po angielsku Winchester on się zowie.

A kiedy Pan Lancelot wśród towarzyszy swoich się znalazł, uradowali się wielce król i rycerze wszyscy.

 A Pan

A Pan Parcywal z Galisu opowiadać zaczął o wszystkich przygodach Pana Lancelota i o jego czynach. Powitała radośnie swego rycerza królowa i uczty wydano na dworze wspaniałe i wiele panów wielkich i dam na wieść o tym, że Pan Lancelot powrócił, na zamek królewski przybyło, ażeby razem z dworem całym się weselić.

KONIEC ROZDZIAŁU SIEDEMNASTEGO
O TYM JAK PAN PARCYWAL Z GALISU PANA LANCELOTA SZUKAŁ I ODNALAZŁ

ROZDZIAŁ XVIII O ZJAWIENIU SIĘ PANA GALAHADA

W wigilię Zielonych Świątek, kiedy wszyscy rycerze Okrągłego Stołu w Kamelocie się zebrali i do wieczerzy właśnie siadać miano, weszła do sali i stanęła przed królem niewiasta jedna urodziwa i szlachetnego rodu. A żądała ona w imieniu króla Pellesa, ażeby Pan Lancelot z Jeziora nie zwlekając z nią razem do pobliskiego lasu jechał. Pan Lancelot zaraz na giermka zawołał, aby konia mu siodłał i zbroję przyniósł i wnet z niewiastą ową pojechali. A w lesie do doliny przybyli szerokiej, gdzie klasztor mniszek stał. Czekał tam już na nich u furty pachołek i na dziedziniec klasztoru ich wpuścił. A kiedy z koni zsiedli, podeszło do nich zaraz wielu rycerzy zacnych, co tam na Pana Lancelota czekali i powitali go z radością wielką.

Potem mniszek nadeszło dwanaście, a wiodły one ze sobą Galahada, młodzieńczyka tak niezwykle pięknej i kształtnej postaci, że podobnego mu niesposób już chyba było pośród świata ludzi odnaleźć.

— Panie — niewiasty owe rzekną — przywiodłyśmy ci to oto dziecię przez nas wyhodowane i prosimy cię, abyś je rycerzem uczynił, nie masz bowiem na świecie rąk równie godnych, z których by rycerstwo przyjąć mógł.

Spojrzał Pan Lancelot na młodzianka o twarzy nadobnej. A widziało mu się to pacholę gołębiej słodyczy i powagi pełne. Pomyślał też, że nigdy jeszcze w życiu

swoim równie cudnej postaci ludzkiej nie oglądał. I zapytał:

— A czy ma on wolę po temu?

Na to młodzieniec, a z nim wszyscy obecni, odpowiedzieli: tak.

— Tedy — Pan Lancelot rzeknie — jutro godność rycerza otrzyma.

Tego wieczora gościnnie podejmowany mile Pan Lancelot czas spędził. Nazajutrz zaś, gdy na jutrznię zadzwoniono, zgodnie z wolą Galahada, na rycerza go pasował. Rzekł też wówczas:

— Niech Bóg cię dzielnym człowiekiem uczyni, gdyż piękności masz w sobie tyle, ile nikt na ziemi.

Potem odjechał Pan Lancelot i na dziewiątą godzinę rano w niedzielę Zielonych Świątek w Kamelocie stanął. O tej porze król z królową i rycerstwo całe Mszy Świętej w katedrze słuchali. A gdy ze świątyni wrócili, ucieszyli się bardzo, że Pan Lancelot już powrócił. Potem wszyscy do sali weszli i każdy z baronów imienia swego, złotymi rytego literami, na stołkach szukał, co wokół Okrągłego Stołu stały. Szli tak od stołka do stołka coraz dalej, aż wreszcie doszli do miejsca, gdzie Stołek Niebezpieczny się znajdował. I ujrzeli na nim napis świeży złotem pisany: „Kiedy czterysta pięćdziesiąt cztery wiosen od dnia Męki Pana naszego Jezusa Chrystusa upłynie, ma miejsce to być zajęte“.

Pomyśleli wtedy wszyscy, że oto nie byle jaka i cudowna wydarza im się przygoda, zasię Pan Lancelot obliczywszy czas przez napis ten wskazany powiedział:

— Widzi mi się, że w dniu dzisiejszym właśnie miejsce to zajętym będzie, dzisiaj bowiem obchodzimy Zesłanie Ducha Świętego po czterystu pięćdziesięciu czterech latach od dnia Męki Pańskiej. A jeśli się na to wszyscy godzicie, napis ten zakryjmy, aby nikt go dziś

więcej nie oglądał, dopóki nie zjawi się ten, co na miejscu tym zasiądzie.

Przyniesiono więc jedwabną zasłonę i zakryto nią napis na Stołku Niebezpiecznym, poczem rozkazał król żwawo obiad podawać.

Ale był dawny obyczaj na dworze króla Artura, że nie rozpoczynali jeść rycerze, nim się wpierw ważna jakaś rzecz nie wydarzyła. A gdy tak stali przygody owej czekając, nadbiegł giermek niezwykłą przynosząc im nowinę. W rzece bowiem, co wpodle zamku w dole przepływała, głaz ujrzano kamienny, niby marmuru czerwonego odłam przez fale niesiony. A w głaz ten wrażony miecz tkwił.

Poszli tedy nad rzekę król i rycerze wszyscy owo dziwo zobaczyć. I ujrzeli wszystko tak, jak im giermek powiadał. W głazie, co się z fali wynurzał, miecz był jasnym ostrzem zaryty. A na rękojeści tego miecza, bogato klejnotami zdobionej, piękne złote litery napis tworzyły misterny. Odczytali baronowie ów napis, a brzmiał on tymi słowy: „Nikt inny mnie stąd nie dobędzie, ten tylko, u czyjego mam wisieć boku, a będzie on najlepszym rycerzem świata".

Tedy odczytawszy co miecz powiadał, król do Pana Lancelota się zwróci:

— Miły panie, tobie ten miecz się należy, gdyż z pewnością na miano najlepszego na świecie rycerza zasługujesz.

Ale Pan Lancelot w głąb swego serca spojrzawszy grzech w nim dojrzał i w poczuciu winy odrzekł smutnie:

— Zaprawdę, nie mój to miecz i nie u mego boku miejsce mu się należy, dobrze też wiesz, panie, że sięgnąć poń się nie ośmielę.

Więc do Pana Gawena król powiada:

— Próbuj tedy ty, siostrzeńcze miły, jeśli mnie miłujesz, ów miecz z głazu wydobyć.

Przeto Pan Gawen, choć niechętnie i rozkazem tylko królewskim zniewolony, za rękojeść miecza ujął, ale poruszyć nim nie zdołał. Wówczas kazał król Panu Parcywalowi, ażeby miecza dobyć próbował. Chwycił rycerz za miecz i pociągnął mocno, ale dobyć go nie mógł. Znalazło się i więcej takich, co dość mieli w sobie śmiałości, aby miecza tego dotknąć, przecie nikt go z miejsca ruszyć nie zdołał.

— Możesz teraz, panie, na obiad iść — Pan Kaj królowi powie — ujrzałeś bowiem cudowne zdarzenie.

Tedy król, a z nim wszyscy, do zamku wrócili i każdy z rycerzy do swego stołka szedł i za stołem siadał. Aż wypełniły się wszystkie miejsca i tylko Stołek Niebezpieczny niezajęty pozostał.

A wtedy znów przygoda wydarzyła im się dziwna. Wszystkie bowiem naraz drzwi i okna, skąd światłość dnia na salę płynęła, zamknęły się nagle same, a w sali przecie nie stało się mroczniej. Tedy jeden rycerz na drugiego w zdumieniu spoglądał i siedzieli tak z zapartym tchem oczekując co się jeszcze stanie. Wówczas zjawił się wśród nich starzec sędziwy w białą przyodziany szatę. A nie wiedział tego żaden z rycerzy, którędy ów starzec był wszedł. Wiódł on ze sobą rycerzyka młodego w zbroi szkarłatnej, bez miecza i bez tarczy, z pustą pochwą tylko u boku wiszącą.

I rzekł starzec Arturowi:

— Panie, oto przywiozłem ci rycerza młodego, który z rodu królewskiego pochodzi i potomkiem jest Józefa z Arymatei. Przez niego spełnią się wszystkie cuda, tak na tym dworze, jako i w królestwach obcych.

Uradował się król wielce tymi słowami i godnie starca z młodym rycerzem powitał. Wówczas kazał starzec młodzieńcowi zbroję zdjąć i stanął przed nimi młodzieniec w kaftanie z czerwonego jedwabiu, a z ramienia

zwisał mu płaszcz gronostajem podbity. A starzec do Stołka Niebezpiecznego go zaprowadził, który pomiędzy stołkami Pana Parcywala i Pana Lancelota stał. A kiedy zasłonę uchylił, te słowa tam odnalazł i odczytał: „Tu zasiadać będzie Galahad, książę wysokie".

Poczem na stołku młodzieńczyka posadził mówiąc:

— Wiedz, że tu miejsce twoje.

Potem zniknął. Zasię rycerze wszyscy Okrągłego Stołu dziwowali się wielce, że bez żadnej obawy rycerzyk tak młody na Stołku Niebezpiecznym zasiadł, zawsze się bowiem dotychczas zdarzało, że kto na stołku tym usiąść się ośmielił, nieszczęście jakieś na siebie ściągał. Przewidywali więc, że do wielkiej sławy Pan Galahad dojdzie i wszystkich ich w czynach rycerskich prześcignie. Król zaś jako rycerza dworu swojego go powitał i dłoń jego ująwszy nad rzekę go zaprowadził, ażeby mu ów głaz z mieczem pokazać.

— Spójrz, panie — młodziankowi rzeknie — podobnego dziwa nigdym jeszcze nie oglądał, zacni też rycerze dobyć tego miecza próbowali, ale wszystko nadaremnie.

— Panie — Galahad mu odpowie — nie masz w tym nic dziwnego, gdyż nie ich, ale moja jest to przygoda. Będąc też pewnym, że miecza tego dobędę, żadnegom innego nie przyniósł ze sobą. Tu, u boku mego pusta pochwa wisi.

Potem rękojeść miecza w dłoń ujął i z głazu go lekko wydobył. Zasię do pochwy broń chowając powiedział:

— Lżej to teraz, niż pierwej, ten miecz w pochwie chodzi.

KONIEC ROZDZIAŁU OSIEMNASTEGO

O ZJAWIENIU SIĘ PANA GALAHADA

ROZDZIAŁ XIX O TYM JAK SZUKANIE ŚWIĘTEGO GRAALA ROZPOCZĘTO

Owo naczynie, z którego Pan nasz Jezus Chrystus baranka wielkanocnego przy ostatniej wieczerzy z uczniami swoimi spożywał, ludzie Świętym Graalem zowią. Do tego to naczynia Józef z Arymatei ostatnie krople krwi przenajświętszej zebrał. A gdy dokonała się Męka Pańska, wówczas ów rycerz szlachetny, który z krzyża Boskie ciało zdjął umęczone, z wielu członkami rodziny swojej opuścił Jeruzalem Świętego Graala ze sobą unosząc.

I zdarzyło się tak, że przybyli oni najpierw do miasta zwanego Sarras, zasię stamtąd do Brytanii popłynęli. Za ich to sprawą cały lud pogański tej ziemi na wiarę chrześcijańską się nawrócił. Upływały lata, a z każdym rokiem Święty Graal cenniejszym się stawał i coraz bardziej świętą stawała się sprawa owej pamiątki cennej posiadania. Aż wreszcie grzechy ludzkie to sprawiły, że całkiem ze świata tego Graal zniknął i tylko ci, których życie i serce czystymi były, oglądać go czasem mogli.

Merlin, zanim pod kamieniem uwięziony został, przewidział był, że przez rycerzy, którzy Zakon Okrągłego Stołu utworzą, prawda Świętego Graala się objawi. Za dobrych też dni króla Artura rosła wśród rycerzy tęsknota, aby stać się godnymi oglądania tego znaku Boskiej między ludźmi obecności. Co więcej i pustelnik jeden świątobliwy powiedział, że, kiedy stołek Niebez-

pieczny zajętym zostanie, niedaleką już będzie sprawa Świętego Graala odnalezienia.

To też, kiedy Pan Galahad miecza z głazu dobył, król i wszyscy jego rycerze w głębokich myślach pogrążeni na zamek wrócili, po czym zaś do katedry na modły wieczorne się udali. Ze świątyni wróciwszy do wieczerzy zasiedli, a każdy swoje miejsce przy Stole Okrągłym zajął. Wtedy usłyszeli nagle trzaskanie i przeciągłe jęki gromów i zdawało im się, że chyba ta burza cały zamek na strzępy rozniesie. A wśród mroku i burzy promień słońca do sali przeniknął, siedem razy, niż za dnia, jaśniejszy i wówczas zapalił ich wszystkich Duch Święty.

Poczęli jeden na drugiego spoglądać, wzajem się sobie piękniejsi niż kiedykolwiek wydając. Żaden też słowa przemówić nie mógł i patrzyli na siebie, jakby niemi byli.

Zasię potem Święty Graal im się objawił. Chustą z białego brokatu przed oczami ich zasłoniony przez salę po powietrzu płynął, jakby go ktoś niewidzialny niósł. Natenczas zapach przecudny salę wypełnił i pożywiła się dusza każdego z rycerzy. A kiedy Święty Graal przez całą salę tak się przeniósł, zniknął nagle i nie wiedzieli, co się z nim stało.

Dopiero wtedy odetchnęli i mowę odzyskali. I podziękował król Artur Bogu za łaskę, którą w dobroci Swojej na nich zesłał. Potem Pan Gawen przemówił:

— Wielkiegośmy to błogosławieństwa dzisiaj doznali, wszelako rzecz jedna nas ominęła. Nie ujrzeliśmy samego Świętego Graala, gdyż go owa chusta bogata spowijała. Przeto ślub tu wobec was wszystkich składam, że zaraz jutro nie mieszkając w świat jadę Świętego Graala szukać. A szukać Go będę przez rok i dzień jeden, albo i dłużej, jeśli tak wypadnie. Zasię przez cały ten czas na dworze tym się nie zjawię, dopóki moje oczy Graala bez osłony żadnej nie zobaczą. A jeśli mi się nie powiedzie

i Świętego Graala nie znajdę, powrócę, gdy czas mój upłynie, gdyż taka widać będzie wola Pana naszego Jezusa Chrystusa, której przeciwić się nie chcę.

A kiedy rycerze Okrągłego Stołu przemowy Pana Gawena wysłuchali, zaraz większość z nich powstała i takież samo ślubowanie złożyła.

To wszystko słysząc wielce się król Artur zasmucił. Wiedział on bowiem dobrze, że złożonego ślubowania dopełnią, że odjadą go ci najlepsi towarzysze i że rozproszy się ów zakon rycerski, jedyny, jaki był świat dotąd oglądał, kwiat najprawdziwszy rycerstwa całego kraju w sobie skupiający. Przeczuwał to, że gdy dwór jego opuszczą, nigdy się już wszyscy razem nie spotkają na tym świecie, że wielu druhów jego szczerych i rycerzy szlachetnych w wyprawie tej życie utraci.

A gdy wieść o tym do królowej dotarła i po całym dworze się rozeszła, taki smutek, taki żal ogromny na zamku zapanował, że i język żaden tego nie wypowie. Wiele też pań, każda za rycerzem umiłowanym, w świat jechać się zbierało, ale człek jeden stary, co szaty zakonne nosił, zaraz głośno wszystkim zapowiedział, że na tę wyprawę żaden rycerz niewiasty brać ze sobą nie może. Przestrzegał on również rycerzy, aby z grzechów swych się oczyścili, gdyż inaczej oczy ich tajemnic Pana Chrystusowych nie ujrzą.

Wreszcie udali się rycerze na spoczynek, zasię Pana Galahada, aby mu cześć okazać, król Artur sam do komnaty swojej zaprowadził i łoża mu swego ustąpił.

Nazajutrz wstał król o świcie, gdyż ze smutku nie mógł spać tej nocy. Potem razem z królową do katedry się udali Mszy Świętej wysłuchać. Poszli za nim wszyscy rycerze, w zbroje już przyodziani hełmów tylko i tarcz nie biorąc.

Po skończonym nabożeństwie chciał się król dowie-

dzieć, ilu też z jego rycerzy szukać Świętego Graala jedzie. Odpowiedziano mu, że stu i pięćdziesięciu — wszyscy rycerze Okrągłego Stołu.

Potem rycerze hełmy włożyli, na konie siedli i przez ulice Kamelotu pojechali. A wtedy po całym mieście rozległo się szlochanie, bogaci i biedni — wszyscy płakali. Zasię król Artur twarz od odjeżdżających odwrócił i łkając słowa przemówić nie mógł.

Niezadługo przybyli rycerze do miasta i zamku, co Vagon się zwały. A panem tego zamku był starzec jeden poczciwy. Zaraz bramy on rycerzom gościnnie otworzył i podejmował ich u siebie, jak mógł najgodniej. Zasię nazajutrz umówili się, że każdy z nich samotnie dalej pojedzie. Zapłakali przy rozstaniu, potem każdy z nich smutny konia na tę drogę skierował, która mu się najlepszą zdawała.

KONIEC ROZDZIAŁU DZIEWIĘTNASTEGO
O TYM JAK SZUKANIE ŚWIĘTEGO GRAALA ROZPOCZĘTO

ROZDZIAŁ XX O TYM JAK PAN GALAHAD TARCZĘ SWOJĄ ZDOBYŁ

Owóż Pan Galahad tarczy jeszcze nie miał i tak przez dni cztery bez żadnej przygody jechał. A czwartego dnia, gdy na modły wieczorne zadzwoniono, do opactwa białego zawitał. Tam z uszanowaniem wielkim go przyjęto i do izby zaprowadzono, gdzie dwóch rycerzy Okrągłego Stołu zobaczył. Król Bagdemagus to był, zasię Pan Uwan drugi. Zaraz też obaj do Pana Galahada podeszli z uciechą go wielką witając. I powiedzieli mu, że w opactwie tym tarcza cudowna się znajduje, której nikt na szyi swojej zawiesić nie może, gdyż zaraz na szkodę mu to wyjdzie, chyba, żeby rycerzem najgodniejszym na świecie całym on był, wtedy bezpiecznie to uczyni.

— Ach, panie — król Bagdemagus do Galahada się zwróci — jutro ja tej dziwnej przygody spróbuję, a jeśli onej tarczy nie utrzymam, natenczas ty ją bierz, gdyż ciebie z pewnością ona nie zawiedzie.

— Panie — Galahad odpowie — z chęcią na to się godzę, gdyż tarczy nie posiadam.

I tak nazajutrz w czas wstali i Mszy Świętej wysłuchać poszli. Potem zapytał król Bagdemagus, gdzie się owa cudowna tarcza znajduje. Wówczas jeden z mnichów za ołtarz go zaprowadził. Tarcza tam wisiała jako śnieg biała, z czerwonym jeno krzyżem pośrodku. I radził mnich królowi Bagdemagusowi, żeby wpierw dobrze roz-

ważył, czy ma tę tarczę na siebie włożyć, ale odpowiedział mu Bagdemagus:

— Cóż, wiem ja dobrze, że nie jestem najlepszym na świecie rycerzem, spróbuję przecież tę tarczę nosić.

I tak, Pana Galahada poprosiwszy, żeby w opactwie został i wieści odeń czekał, król Bagdemagus tarczę z krzyżem czerwonym z klasztoru wyniósł. Potem giermka ze sobą wziął, aby miał kogo do Pana Galahada z wieścią posłać, i odjechał.

Dwie mile przejechawszy król Bagdemagus z giermkiem na piękną dolinę natrafili, gdzie i pustelnia była. Tam rycerza okazałego ujrzeli, który zbroję, i konia i wszystko śnieżnobiałe miał. A nadjechał on ku nim tak szybko, ile tylko w koniu mocy, z włócznią w pogotowiu. Zaraz też król Bagdemagus swoją włócznię przeciw niemu nastawił i o tarczę Białego Rycerza ją złamał. Zasię ten tak potężnie króla Bagdemagusa ugodził, że mu kolczugę przeszył i prawe ramię przebił. Bowiem tarcza, którą król Bagdemagus ze sobą był wziął, nie okrywała go wówczas wcale. Tedy wysadzony z siodła padł Bagdemagus na ziemię.

A wtedy Biały Rycerz z konia zsiadł i białą tarczę pokonanemu zabrał mówiąc:

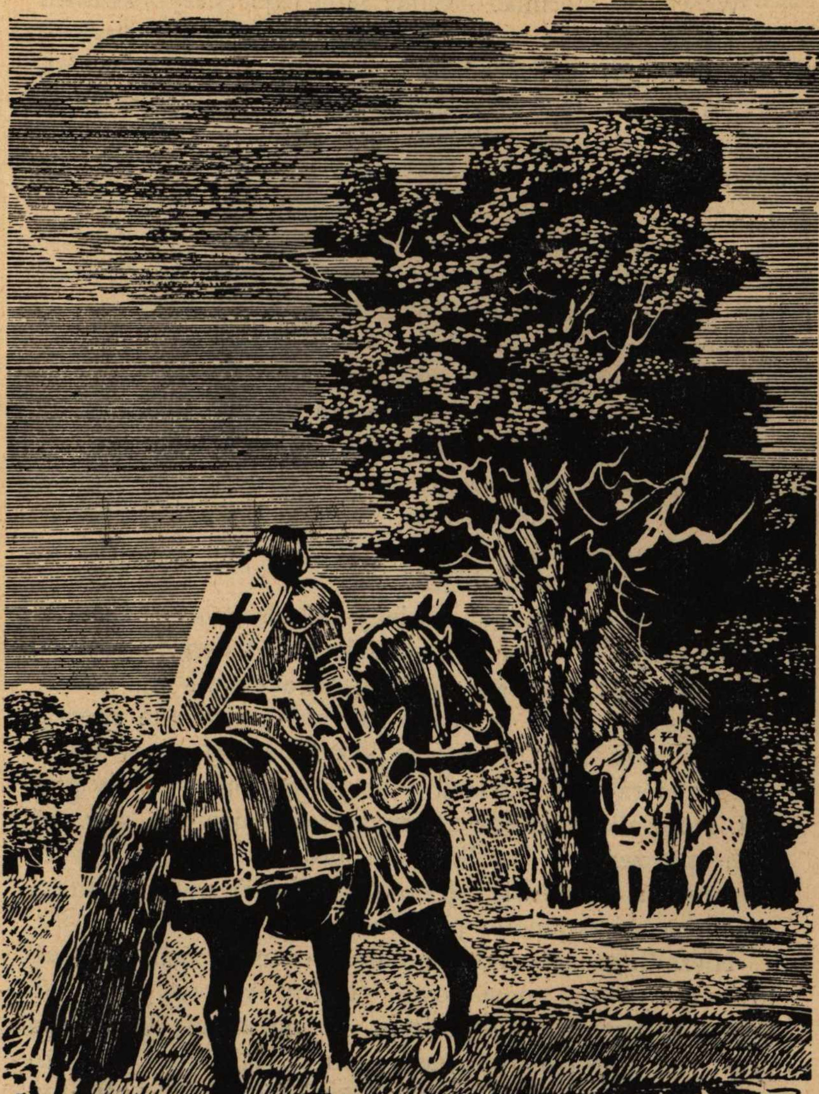
— Rycerzu, sameś na siebie tę biedę ściągnął, bowiem tylko mąż, co nie ma równych sobie na ziemi, tarczy tej bezkarnie używać może.

Potem do giermka podszedł i powiedział:

— Zawieź tę tarczę do dobrego rycerza, Pana Galahada, któregoś w opactwie pozostawił i pozdrów go ode mnie pięknie.

Ale giermek najpierw do Bagdemagusa podszedł i zapytał go, czy ciężką ranę otrzymał.

— Zaprawdę — Bagdemagus mu odpowie — dobrze będzie, jeśli żyw zostanę.


MB

Wówczas giermek konia mu jego przyprowadził i z wielkim trudem rycerza do klasztoru jednego zawiózł. Tam zbroję rannemu zdjęto i na łożu go położono. Tu, w tym klasztorze z ran się swoich król Bagdemagus leczył, a jako książka powiada, długo był chorzał i ledwo z życiem wyszedł.

Zasię giermek do Galahada przybywszy rzecze:

— Panie, ów rycerz, który Bagdemagusa ranił, pozdrowienie ci swoje przysyła i prosi, abyś tę tarczę nosił, a nie byle jakich czynów z nią dokonasz.

Powie tedy Pan Galahad:

— Bogu niech będzie chwała.

Potem zbroję podać sobie kazał, na konia siadł i Bogu się polecając białą tarczę na szyi zawiesił. Tak wyruszył, zasię niezadługo do pustelni dojechał, gdzie go Biały Rycerz oczekiwał. Wówczas jeden drugiego dwornie pozdrowił, a potem rycerz Panu Galahadowi o cudach tarczy opowiedział.

— Panie — mówił — kiedy Józef z Arymatei do Sarras przybył, był w tym mieście król jeden, Ewelakem go zwali, który wielką wojnę z Saracenami prowadził. W Sarras to Józef tę tarczę dla króla Ewelaka sporządził na cześć Tego, Który na krzyżu zmarł. A w Chrystusa uwierzywszy Ewelak z tarczą tą nieprzyjacioły gromił. Do walki ruszając tarczę zasłoną okrywał, gdy zaś niebezpieczeństwo wielkie mu groziło, wówczas tarczę odsłaniał a wrogowie ujrzawszy na niej postać Ukrzyżowanego w popłochu pierzchali.

Niezadługo potem Józef Sarras opuścił, zasię Ewelak towarzyszyć mu postanowił, choćby wbrew jego woli miał to uczynić. Tak, razem tu na ziemię brytańską przybyli. Niewiele też czasu płynęło, jak Józef na łożu śmierci się znalazł. Wówczas prosił go Ewelak, aby mu jakąś pamiątkę po sobie zostawił, kochał był bowiem

wielce starego rycerza, dla którego kraj rodzony porzucił. Wtedy Józef tarczę tę wziął i własną krwią krzyż na niej nakreślił. Taką Ewelakowi pamiątkę po sobie zostawił. I powiedział też wówczas, że po Ewelaku nikt tarczy tej nosić nie będzie do czasu, aż się rycerz Galahad na świecie pojawi, ostatni z Józefa rodu i że wielkich czynów ów rycerz dokona tarczę tę mając na sobie. A dziś właśnie nadszedł dzień przez Józefa wyznaczony, kiedy tarczę króla Ewelaka masz otrzymać.

Tak Biały Rycerz mówił, a kiedy wszystko to powiedział, zniknął, zasię Pan Galahad z giermkiem do opactwa zawrócili.

KONIEC ROZDZIAŁU DWUDZIESTEGO
O TYM JAK PAN GALAHAD TARCZĘ SWOJĄ ZDOBYŁ

ROZDZIAŁ XXI O PANU GALAHADZIE W ZAMKU DZIEWIC

W opactwie powitano Pana Galahada z radością wielką. Tam też rycerz noc spędził. Nazajutrz giermkowi, który mu tarczę krzyżem znaczoną przywiózł, godności rycerza udzielił. Wtedy o imię go zapytał i o to, z jakiego rodu pochodzi.

— Panie — giermek odrzeknie — Meliasem z Lile mnie zwą, duńskiego króla jestem synem.

— A więc, miły panie — Pan Galahad mu powie — ponieważ z szlachetnego rodu pochodzisz, bacz, abyś godności rycerza w niczym nie uchybił, gdyż zwierciadłem cnót rycerskich być winieneś.

— Prawdziwie, dobrze rzekłeś, panie — Melias odrzeknie. — Przecie, skoroś mnie rycerzem uczynił, z prawa mi się należy, abyś pierwszej mojej godziwej prośbie nie odmówił.

— Prawda to — Pan Galahad przyzna.

Wówczas powiada Melias:

— Panie, ścierp to, abym ci w szukaniu Świętego Graala towarzyszył, aż do czasu, póki nas przygoda jaka nie rozłączy.

— Panie, zezwalam na to — Pan Galahad odrzeknie.

Przyniesiono więc Panu Meliasowi zbroję i włócznię i konia przyprowadzono. Potem dalej razem wyruszyli i przez cały tydzień tak bez żadnej przygody jechali.

 Wreszcie

Wreszcie, w poniedziałek to było, rankiem, opuściwszy opactwo jedno gdzie noc spędzili, do dróg rozstajnych przybyli. A był tam napis na słupie: „Spójrzcie, błędni rycerze, którzy przygód rycerskich po świecie szukacie, na dwie te drogi, co się tu krzyżują. Strzeżcie się drogi, która w prawo prowadzi, albowiem tylko zacny człek i rycerz godny żyw z niej powróci. Zasię, jeśli drogę, co na lewo wiedzie, obierzecie, ciężkiej próby dzielność wasza dozna, gdyż rychło z wrogiem się spotkacie.“

— Panie — Pan Melias do Pana Galahada się zwróci — jeśli zechcesz przystać na to, abym w lewo jechał, powiedz to, a drogę tę obrawszy sił swoich wypróbuję.

— Lepiej będzie — Galahad mu odpowie — abyś nie jechał tą drogą, tak bowiem myślę, że łacniej, niż ty, dąm sobie radę.

A na to Pan Melias: — O nie, panie mój, proszę ciebie, pozwól mi z przygodą tą się zmierzyć.

— Tedy jedź w imię Boże — Galahad odpowie.

I tak pojechał Melias daleko poprzez las stary. Dwa dni przezeń jechał, albo i dłużej, aż na jasną polanę natrafił. Tu, w zagrodzie pięknie z chrustu uplecionej, koronę zobaczył w złocie misternie kowaną na stołku leżącą. Zasię nie opodal obrus się rozściełał na ziemi, a na nim w obfitości wielkiej zastawione były dania znakomite. Strawy Pan Melias nie pragnął, ale szczerozłota korona podobała mu się bardzo, przeto schyliwszy się z konia zabrał ją i dalej pojechał. A wnet rycerza pędzącego za sobą zobaczył i wołał nań ten rycerz, aby koronę nie swoją, którą był zabrał, z powrotem Melias na miejscu położył i do obrony się gotował.

Ucieszył się tej przygodzie świeżo pasowany rycerz i zaraz obaj przeciwnicy największy rozpęd koniom

dawszy na siebie natarli. Przebił napastnik włócznią kolczugę i lewy bok Pana Meliasa i runął rycerz bliski śmierci na ziemię. Wówczas tamten koronę wziął i odjechał Pana Meliasa bez sił leżącego zostawiając.

Tymczasem trafem szczęśliwym Pan Galahad nadjechał i Pana Meliasa w niebezpieczeństwie śmiertelnym ujrzał i powiedział:

— Ach, Meliasie, któż to cię ranił? Lepiej ci było inną drogą jechać.

A usłyszawszy go rzeknie Pan Melias:

— Panie, na miłość Boga cię zaklinam, nie daj mi w tym lesie skonać, ale mnie do opactwa zawieź, które tu w pobliżu się znajduje.

— Uczynię to — Galahad odpowie — ale gdzie jest ów, co cię ranił?

A w tej chwili posłyszał Pan Galahad, jak ktoś krzyknął: — Rycerzu, ze mną nie zaczynaj!

— Strzeż się, panie — Melias powie — ten ci to jest, który mnie zabił.

Wówczas Pan Galahad zawoła:

— Przybywaj, panie rycerzu, na zgubę swoją!

I puścili się ku sobie, ile w koniach mocy. Ugodził Pan Galahad rycerza włócznią, ramię mu przebił i z konia zwalił, ale i włócznię przy tym postradał, gdyż pękło drzewce pod ciężarem padającego. A tu i drugi rycerz z lasu się wynurzył i, nim się Pan Galahad obrócić zdołał, na jego zbroi włócznię swoją złamał. Wówczas Pan Galahad miecza dobył i taki cios napastnikowi wymierzył, że ów do ucieczki się rzucił. Pan Galahad w pogoń za uciekającym się puścił, ale rychło do Pana Meliasa powrócił. Z konia zsiadłszy rannego ostrożnie na rumaku przed sobą umieścił, potem na siodło się wspiął i Pana Meliasa w ramionach trzymając do opactwa go zawiózł. Tam rannego rycerza pod opiekę mni-

chowi staremu oddał, a ten przyrzekł z ran go wyleczyć.

— A teraz jadę dalej — Galahad powie — gdyż wiele mam ja do czynienia. Wielu dziś dobrych rycerzy szukaniem Świętego Graala się trudzi i my też z tym tu oto rycerzem obaj Świętego Graala szukamy.

— Panie — rzeknie mnich — za swoje grzechy towarzysz twój rany te otrzymał. Dziwuję się też — do Meliasa się zwróci — jakeś się ważył wysoką godność rycerską na siebie brać duszy swojej wpierw nie oczyściwszy. To sprawiło, że tak srodze cierpisz teraz. Bowiem owa droga, co na prawo wiodła, drogę wysoką oznacza, drogę Chrystusa Pana naszego i tych, co prawdziwie godny żywot pędzą. Zasię droga w lewo idąca drogą jest grzeszników i bezbożnych. A żeś pychą i zarozumiałością wiedziony na wyprawę szukać Świętego Graala wyruszył, za toś i klęskę poniósł, albowiem cel ten błogosławiony nie inaczej, jak życiem cnotliwym osiągnąć da się. Pycha to na czele wszystkich grzechów śmiertelnych stoi, przez pychę Pana Galahada odjechałeś. A gdyś koronę złotą wziął, chciwością zgrzeszyłeś i kradzieżą. Ale ten tu oto Pan Galahad, rycerz Boży, dwóch rycerzy, co dwa grzechy śmiertelne w sercu twoim wyobrażali, pokonał, gdyż czystego jest serca.

— Galahadzie, panie mój — Melias powie — skoro tylko dość sił mieć będę, ażeby konia dosiąść, szukać ciebie pojadę.

— Niech ci Bóg zdrowie powróci — Galahad mu rzeknie. Potem konia wziął i odjechał. Wiele odbył on potem podróży to naprzód jadąc to wtył się cofając, jak mu z przygody wypadło. Wreszcie na górze jednej się znalazł. A była tam kaplica stara, wpół rozwalona. Przed ołtarzem w niej ukląkł i Boga o dobrą radę prosił. A kiedy tak się modlił, głos usłyszał: „Jedź, rycerzu

śmiały, do Zamku Dziewic i ukróć panujące tam złe obyczaje".

Usłyszawszy to Pan Galahad Bogu podziękował i konia dosiadł. Pół mili nawet nie ujechawszy ujrzał przed sobą w dolinie zamek potężny. Fosy głębokie pod murami jego biegły, a opodal jasna rzeka przepływała. A zwała się ta rzeka „Rzeką Srogą". Tam też na brzegu rzeki spotkał Pan Galahad człeka dobrze już w latach podeszłego. A gdy pozdrowili się wzajem, zapytał rycerz, jak się ów zamek zowie.

— Miły panie — starzec mu odpowie — jest to Zamek Dziewic.

Rzeknie wówczas Pan Galahad:

— Przeklęty to zamek i przeklęci wszyscy, co z nim do czynienia mają. Wygnano bowiem z tego zamku litość wszelką, samo tylko okrucieństwo i krzywda ludzka tam mieszka.

— Dlatego też — tamten powie — radzę ci, panie rycerzu, zawróć stąd.

A na to Pan Galahad odrzeknie:

— Panie, z całą pewnością tego nie uczynię.

Potem broń i zbroję obejrzał, czy wszystko jak należy było i tarczę przed siebie wysunął. A tu i siedem pięknych dziewic przed nim staje i mówią:

— Panie rycerzu, szaleństwo wielkie chcesz popełnić, rzekę masz przecie przed sobą.

— Dlaczegoż bym też rzeki przebyć nie miał? — Galahad odpowie. I precz od nich odjechawszy giermka spotkał, a ten mu mówi:

— Rycerzu, panowie tego zamku zabraniają ci dalej jechać, zanim nie dowiedzą się wpierw, czego żądasz.

— Miły panie — Galahad mu rzeknie — przybywam, aby złym obyczajom tego zamku kres położyć.

 — Panie

— Panie — ów giermek na to — jeśli przy tym obstawać będziesz, roboty ci nie zbraknie.

I do zamku wrócił. Zaraz potem wypadło stamtąd siedmiu rycerzy. Braćmi oni sobie byli wszyscy. A kiedy Pana Galahada ujrzeli, zakrzykną:

— Rycerzu, broń się, gdyż śmierci tylko od nas spodziewać się możesz.

Wówczas Pan Galahad włócznię pochylił i pierwszego z brzega na ziemię zwalił. Na to inni włóczniami w jego tarczę wszyscy naraz z taką siłą uderzyli, że pękły im włócznie. A wtedy Pan Galahad miecza dobył i tak potężnie na nich natarł, że aż dziw brał patrzeć na to. I tak ciosami miecza do ustąpienia z pola ich zmusił. Do zamku ich zapędził, a oni zamek przebiegłszy drugą bramą umknęli.

Wtedy wyszedł naprzeciw Galahada starzec jeden i rzekł mu:

— Panie, oto masz klucze tego zamku.

Pan Galahad bramy otworzył, a na podwórcu, w sieniach i w korytarzach tylu ludzi zobaczył, że i przeliczyć ich nie mógł. A wszyscy mówili:

— Panie, witaj nam. Długośmy tu czekali na nasze wyzwolenie.

Potem podeszła do niego niewiasta jedna szlachetnego rodu i rzekła:

— Panie, uciekli stąd źli rycerze, ale nocą powrócą i znów niegodziwości swoje zaczną.

— Cóż tedy chcesz, abym uczynił? — Galahad zapyta.

— Panie — rzeknie mu ona — zwołaj wszystkich rycerzy, którzy ziemie do tego zamku należące dzierżą i każ im zaprzysiąc, że dawniej tu panujących obyczajów przestrzegać będą.

— Uczynię to — Pan Galahad odpowie.

Tedy róg mu z kości słoniowej bogato złotem okuty przyniosła i mówi:

— W róg ten zadmij, a o dwie mile stąd słychać go będzie.

Pan Galahad w róg zadął, potem na łożu usiadł spocząć. Wówczas przyszedł do niego ksiądz jeden i opowiedział mu o złych sprawach, co się na zamku działy i o tym, dlaczego Zamkiem Dziewic on się nazywa. — A zdarzyło się to tak — mówił. — Więcej niż siedem lat temu siedmiu braci tu przybyło i zamieszkali oni u księcia, co panem był tego zamku i całej tej okolicy. A kiedy ujrzeli oni córkę księcia, dziewicę piękną niezmiernie, zdradę nieszczerą między sobą uknuli. Księcia i syna jego najstarszego zamordowali, a wówczas dziewicą i wszystkimi skarbami zamku zawładnęli. A że silni byli, przymuszali wszystkich rycerzy temu zamkowi podległych, aby im byli powolni. I gnębili lud okoliczny bez litości żadnej dobytek mu jego cały zabierając. A zdarzyło się, że jednego dnia powiedziała im córka księcia: „Wielkąście mi uczynili krzywdę ojca mego i brata zabijając i zabierając ziemie nasze. Ale nie utrzymacie tego zamku przez długie lata, albowiem rycerz jeden was pokona.“ Tak to im siedem lat temu przepowiedziała. „Dobrze — odpowiedzieli jej na to — skoro tak ma być, nigdy rycerz żaden, ani niewiasta nawet koło zamku tego nie przejedzie. Chcąc czy nie chcąc z nami zostać tu będą musieli, albo zginą. Tak będzie, aż dopóki rycerz się nie zjawi, który nam zamek ten odbierze.“ I nazwano ten zamek Zamkiem Dziewic, albowiem wiele panien zgubę tu swoją znalazło.

A tymczasem, gdy ksiądz opowiadanie swoje kończył, zebrali się już na zamku rycerze, którzy granie rogu posłyszeli. Kazał im Pan Galahad córce księcia hołd

 złożyć

złożyć i wierność jej przysiąc i wielce serca ich wszystkich pokrzepił.

A na drugi dzień rano przybył jeden taki do Pana Galahada, co mu doniósł, że Pan Gawen, Pan Uwan i Pan Garet siedmiu złych braci zabili.

— Rad to słyszę — Pan Galahad odpowiedział. Potem zbroję wdział, konia dosiadł i Bogu poleciwszy tych, co w Zamku Dziewic zostawali, odjechał.

KONIEC ROZDZIAŁU DWUDZIESTEGO PIERWSZEGO
O PANU GALAHADZIE W ZAMKU DZIEWIC

ROZDZIAŁ XXII O SKRUSZE PANA LANCELOTA

Opuściwszy Zamek Dziewic Pan Galahad jechał przed siebie, aż do lasu wielkiego przybył. Tam Pana Lancelota z Panem Parcywalem napotkał, ale oni go nie poznali, gdyż w przebraniu był.

Zaraz też Pan Lancelot włócznię nastawił i na zbroi Pana Galahada ją złamał. Zasię Pan Galahad tak Pana Lancelota raził, że go razem z koniem na ziemię obalił. Potem miecza dobył i na Pana Parcywala ruszył, a uderzył go po hełmie z taką siłą, że, gdyby się ostrze miecza nie ześliznęło, już by był Pan Parcywal nie żył, a tak rażony ciosem z konia spadł.

A odbyła się ta cała potyczka tuż prawie przed pustelnią, gdzie samotnica jedna przebywała. Ta widząc Pana Galahada, jak odjeżdżał, rzekła mu:

— Niech Bóg będzie z tobą, najlepszy rycerzu świata. Ach, zaprawdę, gdyby tamci dwaj rycerze wiedzieli, jak ja, kim jesteś, nigdyby do walki z tobą nie stanęli.

Słysząc jej słowa zląkł się Pan Galahad, że go poznają, tedy konia ostrogą ubódł i naprzód popędził. A wówczas tamci dwaj pojęli, że Galahad to był, co ich pokonał, więc na konie siadłszy pojechali za nim co prędzej. Ale po krótkiej chwili z oczu im zniknął. Zawrócili przeto z ciężkim sercem, a Pan Parcywal powiedział:

— Zajedźmy też do pustelni o wieści zapytać.

 — Czyń,

— Czyń, jako chcesz — Pan Lancelot mu odpowie.

Tak więc Pan Parcywal ku pustelni konia skierował, ale Pan Lancelot w gąszcz lasu skręcił i ścieżek nie szukając borem dzikim jechał, jak go przygoda wiodła. Wreszcie pod krzyż przybył kamienny, co drogi dwie wskazywał. Pod krzyżem tym płyta była z marmuru wykuta, ale w ciemności nie mógł jej Pan Lancelot dobrze widzieć.

Rozejrzał się rycerz dookoła i tuż blisko starą kaplicę zobaczył. Pomyślał sobie, że zapewne ludzi tam znajdzie, więc konia uwiązał i zdjąwszy tarczę na drzewie ją zawiesił. Potem do drzwi kaplicy podszedł i ujrzał, że zniszczone i nieszczelne były. Wewnątrz ołtarz piękny zobaczył, czystym cienkim obrusem jedwabnym zasłany. Na ołtarzu świecznik stał srebrny, a w nim sześć wielkich świec się paliło. Ujrzawszy to światło Pan Lancelot wielką chęć poczuł, aby wejść do kaplicy, ale drzwi były zamknięte, a innego wejścia nie znalazł. Wtedy smutek i trwogę poczuł. Do konia powrócił i rozkiełznawszy go na trawę puścił. Zasię sam hełm zdjąwszy i miecz odpasawszy pod tarczą swoją legł, niedaleko krzyża.

I tak zasnął i pół w śnie, wpół na jawie widzenie miał. A widział dwa białe rumaki, które nadchodziły ku niemu lektykę niosąc, gdzie rycerz chory leżał. A gdy już blisko krzyża ta lektyka była, usłyszał Pan Lancelot, jak rycerz mówił:

— O słodki Panie Jezu, kiedyż bólu swego pozbędę, kiedyż naczynie święte zejdzie ku mnie, abym błogosławieństwa doznał, długo bowiem cierpiałem, chociaż grzeszyłem niewiele.

Dobrą chwilę rycerz tak lamentował, a wszystko to Pan Lancelot słyszał. Potem zobaczył świecznik, w którym sześć świec woskowych gorzało, jako się do krzyża

 przybliżał,

przybliżał, a nie widział, kto by go niósł. A potem i stół srebrny pod krzyżem się pojawił, a na stole święte Graala naczynie.

Wówczas usiadł chory rycerz na posłaniu i obie ręce wyciągnął i modlił się, aby zdrowie odzyskał. Potem na rękach i kolanach do Graala się przybliżył i ucałował święte naczynie i ozdrowiał. I wtenczas rzekł:

— Dziękuję ci, Panie Boże, albowiem choroba wyszła ze mnie.

Zasię Święty Graal dłuższą chwilę pod krzyżem zabawiwszy ku kaplicy się poniósł, a z nim świecznik i światło. I nie wiedział Pan Lancelot, co się dalej z naczyniem świętym stało, gdyż takie poczucie grzechu nim owładło, iż sił nie miał, aby powstać i za Świętym Graalem iść.

A potem chory rycerz powstał i krzyż ucałował. Zaraz też giermek jego zbroję mu przyniósł i zapytał pana swego, jak się miewa.

— Zaprawdę, dobrze całkiem — odpowiedział rycerz — Bogu niech będą za to dzięki. Naczynie święte sprawiło, żem ozdrowiał. Ale dziwuję się wielce temu tu oto śpiącemu rycerzowi, który nie miał siły się ocknąć, gdy Święty Graal się pojawił.

A na to giermek:

— To też rzec się ośmielę, że w śmiertelnym jakimś grzechu trwa ten rycerz i że nigdy się zań nie kajał.

— Na wiarę moją! — rycerz powie. — Ktokolwiek on jest, nieszczęśliwym być musi, gdyż, jak sądzę, należy on do Zakonu rycerzy Okrągłego Stołu, którzy Świętego Graala po świecie szukają.

— Panie — giermek mówi — przyniosłem ci tu zbroję całą krom hełmu i miecza. Za moją tedy radą weź hełm i miecz tego tu rycerza.

Tak też pan jego uczynił. A gdy w pełnej zbroi już był, Lancelotowego rumaka wziął, gdyż lepszy był od jego konia, i tak z giermkiem odjechali od krzyża.

Wtedy zbudził się Pan Lancelot i jął myśleć nad tym, co tu był oglądał i czy to sen był, czy jawa. Naraz głos posłyszał:

— Panie Lancelocie, bardziej niżli kamień twardy, bardziej niżli drewno gorzki, bardziej niżli drzewo figowe nagi i jałowy, oddal się stąd i opuść to miejsce święte.

Usłyszawszy to Pan Lancelot bardzo się zasmucił i nie wiedział, co ma począć. Powstał więc gorzko płacząc i przeklinając godzinę w której się narodził, myślał bowiem, że honoru swego nigdy już nie odzyska. Potem do krzyża podszedł i miecza swego, ani hełmu, ani konia nie znalazł. I wykrzyknął, że nędznikiem jest oto najnieszczęśliwszym ze wszystkich rycerzy. I mówił:

— Niegodziwość moja i grzech mój ściągnęły na mnie tę hańbę. Kiedym przygód światowych dla ziemskich celów szukał, zawszem zwycięsko z nich wychodził, wszędziem pierwsze miejsce miał i czym słuszną, czy też nie zwadę z kim wszczął, nigdym pokonany nie był. A teraz, kiedym na święte sprawy się porwał, widzę to i pojmuję, że grzech mój dawny na drodze mi staje i wstydem mnie okrywa. Dlategom to nie miał siły poruszyć się, ni głosu wydać, kiedy Święty Graal przede mną się pojawił.

I tak przez resztę nocy rozpaczał, aż zaświtało i posłyszał ptaków śpiewanie. Wówczas zelżała nieco jego żałość, ale konia i broni nie mając wiedział, że Bóg mu niełaskaw. Spod krzyża pieszo do lasu poszedł i do pustelni przybył, gdzie pustelnik mieszkał. Tam Pan Lancelot ukląkł i do Boga o zmiłowanie zawołał i pustelnika prosił, ażeby się nad nim ulitował i spowiedzi jego wysłuchał.

— Z miłą chęcią to uczynię — rzeknie mu człek świątobliwy. — Czyś nie z dworu króla Artura rycerz, z Bractwa Okrągłego Stołu?

— Tak jest, prawdziwie — Pan Lancelot odpowie. — A zwą mnie Panem Lancelotem z Jeziora. Dobrze brzmiało niegdyś to imię, ale teraz odwróciło się szczęście ode mnie i najostatniejszym na świecie nędznikiem jestem.

Spojrzał pustelnik na rycerza i zdumiał się tak poniżonym go widząc.

— Panie — powiedział — większą ty Bogu wdzięczność winieneś, niż jakikolwiek inny rycerz na tej ziemi. On to sprawił, że w sławie takiej po świecie chodzisz, jak żaden z tych, co żywią ninie. Zanadtoś był w sobie dufny, żeś w grzechu śmiertelnym będąc zapragnął doznać Boskiej w Świętym Graalu obecności. Przez toś i nie mógł Go ziemskimi oczami oglądać, albowiem nie ukaże się Bóg grzesznikowi, chyba, aby go nieszczęściem i wstydem porazić. Nie masz dziś rycerza, który by tyle, co ty, Bogu zawdzięczał. Piękność ci dał, i układność, i siłę wielką i pierwszym cię wśród innych uczynił. Bardziej przeto, niż inni, dłużen Mu jesteś i większąś miłość Mu winien i bojaźń większą. Za nic albowiem męstwo twoje i siła, kiedy Bóg się od ciebie odwróci.

Wówczas zapłakał Pan Lancelot z wielkiej żałości, wiedział bowiem, że pustelnik prawdę mówi.

— Panie — człek świątobliwy mu rzeknie — nie ukrywaj przede mną żadnego z grzechów twoich.

— Prawdziwie — Pan Lancelot odpowie — ciężko mi to przyjdzie wyznać, jedną bowiem rzecz kryłem ja głęboko w sercu przez ostatnich lat czternaście, a dziś oto bezwstyd swój i złą dolę swoją przeklinam.

I opowiedział pustelnikowi całe swoje życie, i to, jak królowę Ginewrę nad wszelką miarę i długo miłował.

— A com

— A com czynów rycerskich dokonał — mówił — tom po większej części dla niej czynił. Dla niej zawszem walczyć był gotów, czy słuszna, czy niesłuszna sprawa była, zasię nigdym dla miłości Boga tylko nie walczył, ale żeby w sławę uróść i bardziej godnym stać się jej kochania. A kiedym zwyciężał, mało lub też wcale Bogu za to dziękowałem. A teraz, proszę cię, radę mi jaką daj.

— Dam ci ja dobrą radę — pustelnik mu powie — ale mi wpierw obiecać musisz, że nie będziesz towarzystwa tej królowej z własnej woli poszukiwał. A gdy mu to Pan Lancelot uroczyście przyrzekł wypełnić, mówił pustelnik dalej. — Bacz, abyś w sercu dochował, coś ustami przyrzekł, a zapewniam cię, większa sława ciebie czeka, niż ta, w którejś do dziś chodził. Jasno to bowiem widać, że miłuje ciebie Bóg. Nie tylko też pięknością i układnością cię obdarzył, ale rozum ci dał i roztropność, która pozwala dobre od złego odróżnić. I sposobności ci dawał do czynu tak mnogie, że gdzieś się tylko pojawił, zawsze pierwszym byłeś. Ale zbyt długo Pan nasz cierpiał obojętność twoją i dzisiaj chce, abyś Go poznał, choćby wbrew twej woli.

Nazwał cię ów głos posłyszany bardziej, niźli drewno gorzkim, albowiem nie masz miejsca dla słodyczy, gdzie grzech się panoszy, a więc drzewu staremu i spróchniałemu jesteś podobny. Bardziej niźli kamień jesteś twardy, gdyż nie odstąpiłeś grzechu swojego, chociaż Bóg cię łaskami swymi darzył, przeto gorszy niż kamień jesteś i nie zmiękczy cię woda ani ogień, to znaczy, że nie przeniknie ciebie żar Ducha Świętego.

A teraz wyłożę ci, czemuś jest bardziej niźli drzewo figowe nagi i jałowy. Zdarzyło się, że gdy Pan nasz Jezus Chrystus w Niedzielę Palmową w Jerozolimie nauczał, ujrzał On, że pełne zatwardziałości są serca ludzi

 i nie było

i nie było nikogo w mieście całym, kto by Go przygarnął. Tedy z miasta wyszedł i pośród drogi drzewo figowe rosnące zobaczył, które piękne było i w listowie bogate, ale owoców nie miało wcale. Natenczas przeklął Pan drzewo, które owoców nie niosło. A to drzewo bezowocne i w liście strojne wyobrażało Jeruzalem. Tak i ty, Panie Lancelocie, gdy Święty Graal przed tobą się pojawił, owocu, ani dobrej myśli, ani dobrej woli w tobie nie znalazł, sam grzech tylko.

— Prawdziwie — Pan Lancelot rzecze — wszystko jest tak, jak powiadasz. Od dziś też postanawiam z łaską Bożą więcej nie grzeszyć, tylko czynić, jako Zakon nasz rycerski każe i czynów rycerskich dokonywać.

Naówczas zalecił pustelnik Panu Lancelotowi skruchę jak największą w sobie wzbudzić i na przyszłość przykazań rycerskich przestrzegać. Potem pobłogosławił go i prosił, aby ten dzień cały w pustelni rycerz przepędził.

— Chętnie to uczynię — Pan Lancelot odpowie — tym bardziej, że hełmu nie mam, ani konia, ani miecza.

— Co się tej sprawy tyczy — świątobliwy człek rzeknie — jutro dopomogę ci konia i wszystko, co do ciebie należy, odzyskać.

Tak w skrusze serdecznej Pan Lancelot za grzech swój się kajał.

KONIEC ROZDZIAŁU DWUDZIESTEGO DRUGIEGO
O SKRUSZE PANA LANCELOTA

ROZDZIAŁ XXIII O KUSZENIU PANA PARCYWALA

Kiedy Pan Parcywal pustelnię opuścił, ażeby Pana Galahada szukać, jechał, aż południe nadeszło. Wtedy w dolinie dwudziestu zbrojnych ludzi zobaczył. Ujrzawszy go zapytali, skąd by był; odpowiedział: z dworu króla Artura. Wówczas zakrzyknęli wszyscy: Zabić go! Na to Pan Parcywal pierwszego z brzega na ziemię z koniem obalił. Zaraz siedmiu innych w tarczę jego uderzyli, a wszyscy jednocześnie, reszta konia mu ubiła i tak na ziemię runął.

Byliby go zabili, albo do niewoli zabrali, gdyby w ten czas dobry rycerz, Pan Galahad, w szkarłatnej zbroi był nie nadjechał. A ujrzawszy jak tylu rycerzy na jednego naciera, zawołał:

— Rozkazuję wam, rycerza tego oszczędźcie! — i runął na nich z pochyloną włócznią, ile w koniu mocy.

Zaraz też jednego z koniem razem obalił, a że mu włócznia przy tym pękła, za miecz chwycił i razić nim zaczął na prawo i na lewo, aż dziw brał patrzeć na to. A za każdym razem to rycerza jakiego z konia strącił, to do cofnięcia się przymusił, tak że mu pola nie dotrzymali, ale do lasu uciekli, zasię on za nimi pognał.

A kiedy Pan Parcywal zobaczył, jak Pan Galahad rycerzy owych ściga, zasmucił się wielce, że konia nie miał, poznał bowiem, kto jego wybawcą był. I zawołał głośno:

— O miły rycerzu, nie oddalaj się, abym ci mógł podziękować, gdyż wiele uczyniłeś dla mnie.

Ale Pan Galahad odjeżdżał tak szybko, że wkrótce z oczu mu znikł. Ruszył Pan Parcywal pieszo za nim, jak mógł najprędzej. Niedługo tak szedł, gdy wieśniaka spotkał. A jechał ten wieśniak na szkapie, zasię rumaka czarnego za uzdę ze sobą prowadził i miał ten rumak sierść czarniejszą, niż futro niedźwiedzie.

— Miły przyjacielu — Pan Parcywal rzeknie — wszystko, co zechcesz, uczynię, jako rycerz prawdziwy na każde twoje zawołanie stanę, tylko mi tego czarnego rumaka pożycz, abym mógł rycerza dopędzić, który przede mną jedzie.

— Panie rycerzu — wieśniak odpowie — wybacz mi, proszę, ale tego nie mogę uczynić. Wiedz bowiem, że należy ten koń do człowieka, który zabije mnie, jeślibym rumaka tego tobie, albo komu innemu pożyczył.

— Biada mi! — Pan Parcywal zawoła. — Nie mógłbym już większego doznać strapienia, jak to, że tamtego rycerza z oczu stracę.

— Panie — mówi wieśniak — żal mi cię bardzo. Pasowałby ci koń taki zacny, ale nie śmiem ci go dać, chyba, że mi go siłą zabierzesz.

— Tego nie uczynię — Pan Parcywal odpowie.

I tak się rozstali. Pan Parcywal pod drzewem usiadł i żałość go chwyciła nad miarę wielka. A tu wieśniak powraca co sił szkapę do biegu przynaglając i Pana Parcywala pyta:

— Czy nie widziałeś, panie, rycerza, który na czarnym moim rumaku jechał? Siłą mi go odebrał, a teraz zabije mnie mój pan, gdziekolwiek mnie znajdzie.

— Cóż tedy chcesz, abym uczynił? — Pan Parcywal odpowie — Widzisz przecie, że pieszo jestem, ale gdy-

bym konia dobrego dostał, wnet bym rabusia do powrotu zmusił.

— Panie — wieśniak mu rzeknie — weź oto szkapę moją, skoro innej rady nie ma, a ja pieszo za tobą podążę, ażeby ujrzeć, jak ci się powiedzie.

Siadł tedy Pan Parcywal na ową szkapę i pognał, co było w niej siły. Wreszcie zobaczył rycerza na rumaku czarnym jadącego i zawołał nań, aby się wrócił. Zawrócił ów rycerz z włócznią nastawioną i szkapę biedną w sam środek piersi ugodził. Zaraz też martwa na ziemię padła. Runął Pan Parcywal z nią razem, zasię tamten dalej pojechał. Natenczas Pan Parcywal w wielkim gniewie zawoła:

— Nie umykaj, podły rycerzu, tchórzu z sercem nieszczerym! Zawróć i pieszo ze mną walcz!

Ale tamten nic nie odpowiedział i dalej jechał. Widząc że wrócić nie zamierza, Pan Parcywal hełm i miecz na ziemię rzucił i pomyślał w strapieniu wielkim, że najnieszczęśliwszym jest chyba spośród wszystkich rycerzy.

Przez dzień cały w żałości tak trwał, aż wieczór przyszedł. Wtedy strudzony na ziemi legł i spał do północy. A wówczas zbudził się i ujrzał przed sobą niewiastę jakowąś, a ta nie pozdrowiwszy go nawet ostrym głosem mu rzeknie:

— Panie Parcywalu, zaczekaj tu na mnie, a przyprowadzę ci konia, który zaniesie cię, dokąd tylko zapragniesz.

Wkrótce też powróciła konia za sobą wiodąc jak noc czarnego. Kiedy go pan Parcywal zobaczył, zdziwił się, że tak wielki był ten rumak i rząd tak piękny miał na sobie. Nie rozmyślając wiele śmiało na siodło wskoczył i rumaka ostrogami ubódł. Pognał drogą pod las, a księżyc jasno świecił.

Nie minęła godzina a już go czarny rumak tak daleko poniósł, że na innym koniu i w cztery dni tamtędy by nie zajechał. Nad wodę go przyniósł, co pieniła się i huczała w dole głębokim. I byłby razem z Panem Parcywalem w tę wodę burzliwą skoczył, ale lęk zdjął rycerza i krzyżem się świętym przeżegnał. Wówczas rumak Pana Parcywala z siebie zrzucił, zasię sam w wodę wpadł jęki i ryki straszne z siebie wydając a woda zagotowała się w koło, jakbyś w nią żaru nasypał.

Pojął wtedy Pan Parcywal, że ów rumak diabłem był, który go na zatratę niósł. Tedy Bogu się polecił Pana naszego prosząc, ażeby go od pokus szatańskich strzegł.

Tak przez noc całą aż do świtu się modlił. A kiedy rozwidniło się, zobaczył, że jest na szczycie góry dzikiej, morzem dokoła zamkniętej. Ani śladu ziemi nie dojrzał, której widok byłby go pocieszył. Rozglądając się po morzu okręt dostrzegł, który ku niemu wprost żeglował. A był to okręt po wierzchu i od środka cały białą tkaniną jedwabną pokryty. Na pokładzie okrętu starzec stał, a jakby ksiądz w komżę był on odziany.

— Panie — Pan Parcywal rzeknie — witaj!

— Niech Bóg czuwa nad tobą — starzec mu odpowie — skąd też jesteś?

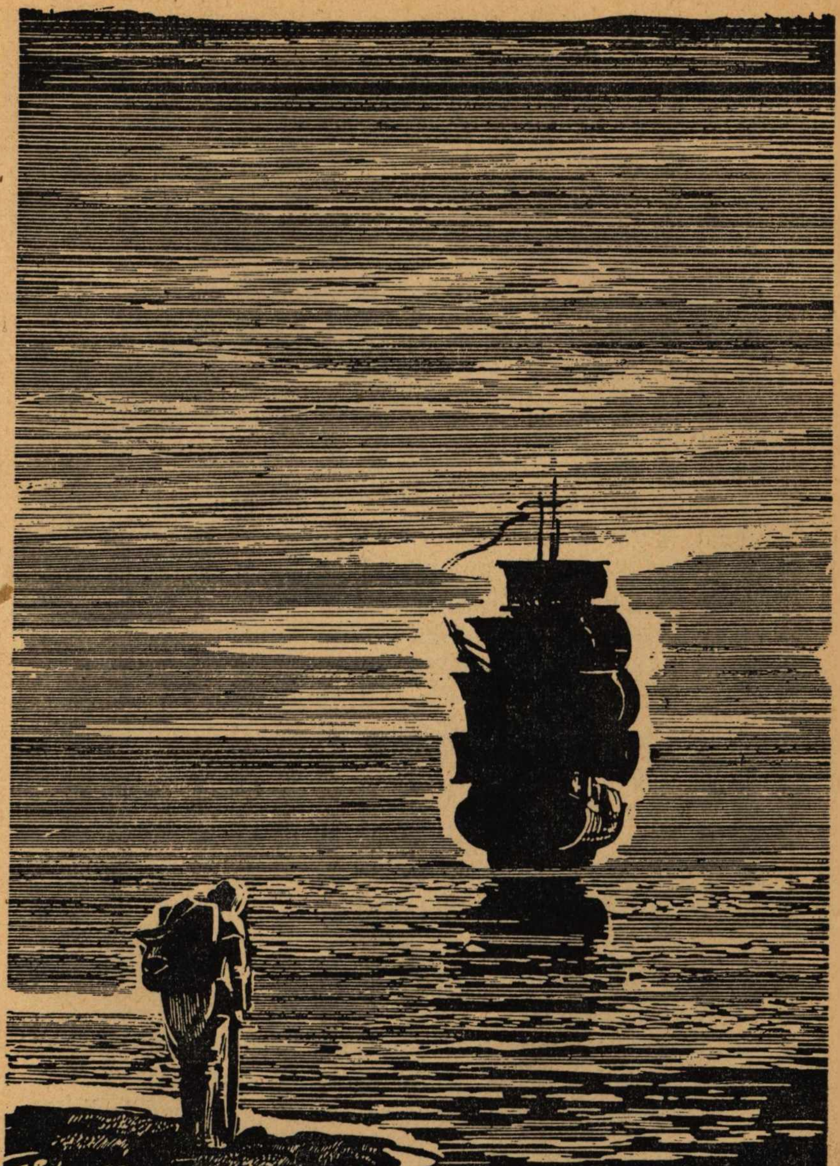
— Panie — mówi rycerz — jam z króla Artura dworu rycerz Okrągłego Stołu Świętego Graala po świecie szukający. W srogich się oto znalazłem opałach i nigdy już chyba z tej pustyni się nie wydobędę.

—Nie wątpij — starzec mu rzeknie — a jeśliś tylko rycerzem szczerym, jako Zakon wasz rycerski przykazuje i serce masz czyste, możesz nie lękać się wroga.

— Ktoś ty? — Pan Parcywal zapyta.

— Panie — starzec odpowie — z obcego jam kraju,

a przybyłem


MB

a przybyłem tu, ażeby cię pocieszyć i przed wielką walką, która cię czeka, ostrzec.

— Z kimże to — Pan Parcywal zapyta — mam walczyć?

— Z najpotężniejszym szermierzem świata — starzec odrzeknie. — Ale, jeśli mu dostoisz, włos ci z głowy nie spadnie, choćbyś zwyciężonym na pozór był i wstydem w oczach ludzkich okrytym się sądził.

Potem starzec na pokład wszedł i zaraz z całym okrętem sprzed oczu Pana Parcywala zniknął. I nie wiedział rycerz, gdzie by się podział.

Aż do południa Pan Parcywal na górze dzikiej zostawał, a o południu znowu okręt zobaczył, który tak szybko po morzu płynął, jakby go wszystkie wiatry świata pędziły. Popod skałę on przypłynął, na której Pan Parcywal siedział. A gdy zbiegł rycerz na brzeg, wówczas zobaczył, że był ten okręt jedwabiem cały pokryty tak czarnym, że i na marach czarniejszego nie znajdziesz. A na okręcie panią ujrzał, piękna była ona bardzo i odziana wspaniale, jak nikt chyba na świecie. Zasię Pana Parcywala ujrzawszy rzekła:

— Któż to cię na tę pustynię przywiódł, skąd nigdy już chyba nie wyjdziesz? Z głodu tutaj zginiesz albo cię zła przygoda spotka.

— Panno — Pan Parcywal jej odpowie — największemu ja Panu na ziemi służę i tak myślę, że do śmierci mojej On nie dopuści. Albowiem otworzone będzie temu, kto kołata i otrzyma ten, kto prosić będzie, a nie skryje się Pan przed człowiekiem, który Go poszukuje.

A na to panna:

— Z głębokiego lasu przybywam. A spotkałam tam rycerza w zbroi szkarłatnej, który białą tarczę miał.

— O panno — Pan Parcywal zawoła — rad byłbym wielce rycerza tego spotkać.

 — Panie

— Panie — panna powiada — jeśli mi na wiarę rycerską przyrzekniesz, że spełnisz moją wolę, kiedy tego od ciebie zażądam, do rycerza tego cię zawiozę.

— Zgoda — Pan Parcywal odpowie — obiecam ci, że wolę twoją spełnię. Ale ktoś jest, że mi tak wielką uprzejmość świadczysz?

— Jestem — mówi ona — niewiastą szlachetnego rodu z dziedzictwa swego wyzutą. A byłam kiedyś najbogatszą panią na świecie.

— Panno — Pan Parcywal zapyta — kto ci dziedzictwo wydarł? Pytam, bo żal mi cię bardzo.

— Panie — ona odpowie — przebywałam ja niegdyś z Kimś najpotężniejszym na świecie całym. Piękną On mnie uczynił i świetlistą, tak żem ponad wszystkie inne jaśniała. A taka byłam pyszna z tej mojej wielkiej piękności, bardziej pyszna, niż należało, żem mu słowo jedno rzekła, które Go rozgniewało i nie chciał ścierpieć mnie dłużej przy Sobie. Z dziedzictwa mego mnie wygnał i wywłaszczył i nigdy już nie miał dla mnie litości, ani dla tych, co do mojej rady i do dworu mojego należą. A ponieważ tak mi się zdarzyło, panie rycerzu, za to ja i moi dworzanie odebraliśmy Mu wielu jego ludzi, aby naszymi ludźmi byli. A o nic mnie oni nigdy prosić nie potrzebują, sama daję im czego żądają i więcej jeszcze. I dlatego też ja i ci, co mnie służą, wojnę z Nim prowadzimy w nocy i we dnie. A kiedy tylko o rycerzu jakim dobrym i człeku poczciwym zasłyszę, zaraz na swoją stronę przyciągnąć go się staram. A że wiem, iż dobrym rycerzem jesteś, o pomoc cię proszę, a że do Bractwa Okrągłego Stołu należysz, nie powinieneś odmówić niewieście szlachetnej z dziedzictwa swego wyzutej, która o pomoc cię błaga.

Wówczas przyrzekł jej Pan Parcywal pomoc wszelką w miarę sił swoich. Podziękowała mu za to mile, ponie-

 waż zaś

waż zaś skwar się o tej porze dnia uczynił, rozkazała jednej z dwórek swoich namiot przynieść. Przyniosła go tedy dwórka i nad żwirem nadbrzeżnym rozpięła. Tam to Pan Parcywal upał dnia przespał, a kiedy się przebudził, znalazł przed sobą stół pięknie nakryty i potrawami mnogimi zastawiony, a nie brakło tam niczego, o czym by tylko zamarzyć mógł. Tedy jadł i wino pił i zdawało mu się, że nigdy jeszcze tak mocnego wina nie pił. Do głowy mu ono uderzyło warem gorącym i podochocił był sobie rycerz więcej, niż to człekowi obyczajnemu przystało. A co na niewiastę ową spojrzał, to widziała mu się najcudniejszą z istot, jakie kiedykolwiek był oglądał.

A ona widząc że się rycerz snem i jadłem pokrzepił, rzeknie mu:

— Panie Parcywalu, wiedz o tym, iż żądania twego nie spełnię wcześniej, nim nie przysiężesz mi, że od tej chwili służką moim wiernym zostaniesz i tylko to czynić będziesz, co ci rozkażę. Czy zaręczasz mi to, jako rycerz prawy?

Już miał jej Pan Parcywal wszystko obiecać, kiedy przypadkiem (łaska widać Boża to sprawiła) na miecz swój spojrzał, który obnażony na ziemi leżał. A miał ten miecz krzyż czerwony na rękojeści. Wówczas wspomniał Pan Parcywal na rycerską godność wysoką i na przestrogę, którą niedawno od świątobliwego starca był otrzymał, i znak krzyża świętego na czole swoim nakreślił. Wówczas runął namiot na ziemię i w dym i w czarną chmurę się zamienił.

Przeraził się Pan Parcywal i wielkim głosem krzyknął:

— O miły, słodki Ojcze, Jezu Chryste, od hańby mnie chroń! Byłbym zginął, gdyby nie łaska Twoja.

Potem na okręt spojrzał i ujrzał, jak panna tam wchodziła. Ona zaś rzekła:

 — Panie

— Panie Parcywalu, zdradziłeś mnie.

I odpłynęła z wiatrem, który wył i skowytał i zdawało się, że woda wokół okrętu się gotuje.

Wówczas wielka żałość Pana Parcywala chwyciła, miecz swój do piersi przycisnął mówiąc:

— Ponieważ sługą jestem swego ciała, ukarzę ciało moje.

I w udo głęboko się zaciął, aż krew trysnęła.

— O dobry Boże — rycerz rzeknie — weź moją krew, niech okupem będzie za to, żem przeciw Tobie wykroczył, Panie mój.

Potem zbroję na siebie wdział i nędznikiem siebie nazywając mówił:

— Jakże bliski zguby byłem, a gdybym diabłu dał się skusić, godność rycerza i prawego człeka na zawsze bym utracił, bo kto raz te rzeczy utraci, nigdy ich już nie odzyska.

A gdy tak biadał, ujrzał jako od wschodu ten sam, co rankiem, okręt nadpływa, a na nim starzec świątobliwy. Wówczas rycerz szlachetny taki wstyd poczuł, że zemdlony na ziemię upadł. A kiedy się ocknął, nieśmiało do starca podszedł i pozdrowił go. I zapyta go starzec:

— Coś uczynił, odkąd cię opuściłem?

— Panie — Pan Parcywal mu odpowie — była tu niewiasta jedna wysokiego rodu, która mnie do grzechu śmiertelnego przywiodła. I opowiedział starcowi, jak kuszony przez nią był.

— Nie znałeśże tej dziewicy? — starzec zapyta.

— Nie, panie — rycerz odrzeknie — ale wiem dobrze, że diabeł ją tu przysłał na hańbę moją.

A na to starzec: — O dobry rycerzu, niewiasta ta wysokiego rodu panem piekieł była, najpotężniejszym szermierzem, z którym do walki stanąć musiałeś, tym który by cię zwyciężył, gdyby nie łaska Boga nad tobą.

 A teraz

A teraz na baczności się miej, Panie Parcywalu. Niech ci to zdarzenie jako nauka w pamięci zostanie.

To powiedziawszy znikł starzec, zasię Pan Parcywal broń swoją wziął, na okręt wszedł i tak z miejsca tego się oddalił.

KONIEC ROZDZIAŁU DWUDZIESTEGO TRZECIEGO
O KUSZENIU PANA PARCYWALA

ROZDZIAŁ XXIV O PANA BORSA NAD SOBĄ SAMYM ZWYCIĘSTWIE

Kiedy Pan Bors miasto Vagon był opuścił, spotkał na drodze zakonnika wierzchem na ośle jadącego. Tedy go pozdrowił. Ów zaś poznał odrazu, że rycerza błędnego ma przed sobą, jednego z tych, co Świętego Graala szukać po świecie wyruszyli. I zapytał:

— Kim jesteś?

— Panie — Pan Bors odpowiedział — jestem rycerzem, który chętnie radę dobrą by posłyszał, jak Świętego Graala znaleźć, ten bowiem, co go znajdzie, sławą się wielką okryje na ziemi.

— W istocie — zakonnik rzecze — tak będzie, gdyż największym rycerzem świata on zostanie i najgodniejszym z braci rycerskiej. Ale wiedz też o tym, że ten tylko cel ów osiągnie, kto serce ma czyste i żyje poczciwie.

I tak razem dalej jechali, aż do pustelni jednej. Wówczas poprosił pustelnik Borsa, ażeby tam z nim razem noc całą spędził. Tedy Pan Bors z konia zsiadł i zbroję zdjąwszy prosił świątobliwego starca, aby go wyspowiadać zechciał. Poszli więc obaj do kaplicy i Pan Bors duszę swoją z grzechów oczyścił. Potem razem chleb i wodę spożywali.

— A teraz proszę cię — zakonnik powiada — abyś już innego chleba nie jadł, dopóki za stołem nie zasiądziesz, na którym Święty Graal znajdować się będzie.

— Zgadzam się na to, panie — Pan Bors odpowie — ale skąd wiesz, że tam zasiądę?

— Wiem

— Wiem to — starzec rzeknie — ale niewielu z twoich towarzyszy z tobą za onym stołem się znajdzie.

A Pan Bors na to: — Wszystko, co Bóg mi ześle, wdzięcznym sercem przyjmę.

Zasię na znak pokuty starzec z Pana Borsa koszulę zdjął i przyoblekł go w kaftan szkarłatny. A czyniąc to ujrzał z podziwem, jak krzepkim i zdrowym było ciało rycerza, przeto pomyślał sobie, że napewno zdrowym też i twardym było także jego życie.

Potem Pan Bors zbroję wdział i pożegnawszy zakonnika dalej ruszył. Dzień, czy dwa przed siebie tak jechał, wreszcie koło południa na rozstaju dróg dwóch rycerzy zobaczył. A prowadzili oni ze sobą pojmanego brata Pana Borsa, Lionela, ręce mu na piersiach skrępowawszy i nieszczęsnego do końskiego grzbietu przytroczywszy. A każdy z nich więź gałęzi cierniowych w ręku trzymał i cierniami tymi jeńca swego raz po raz uderzali tak silnie, że krew z jego ciała więcej niż stu strumykami broczyła. Ten zasię mężem odważnego serca będąc ani słowa nie przemówił i cierpiał zadawane sobie męki, jakby bólu żadnego nie czuł.

Ujrzawszy to Pan Bors już gotował się na odsiecz bratu skoczyć, aliści w drugą stronę spojrzawszy zobaczył, jako rycerz jakiś pannę piękną w leśną gęstwinę uwozi, gdzie by go nie łatwo pogoń odnaleźć mogła.

A już dostrzegła ta panna, że Pan Bors nadjeżdżał, poznała, że rycerzem jest Okrągłego Stołu i wraz nadzieję powzięła ratunku. To też zaklinać go zaczęła na wierność, którą był panu swemu przyrzekł w służby się jego zaciągając, na powinność zakonowi rycerskiemu należną i na rycerską jego dla króla Artura miłość, aby jej w niedoli srogiej dopomógł.

A słysząc jej szlochanie Pan Bors zatroskał się wielce nie wiedząc co począć. — Gdyż — mówił sobie — jeśli

brata mego w tej przygodzie opuszczę, zabiją go, a do tego za nic na świecie dopuścić bym nie chciał. Jeśli zaś dziewicy tej w biedzie nie dopomogę, hańbą się na zawsze okryję. I podniósłszy oczy do nieba płacząc zawołał:

— Miły Panie, Jezu Chryste, którego lennikiem jestem, strzeż brata mojego, Lionela, aby go tamci rycerze nie zabili, a ja dla miłości Świętej Panienki dziewicy tej z pomocą pośpieszę.

I na rycerza uwożącego pannę ruszył wołając:

— Panie rycerzu, puść tę panienkę, inaczej trupem legniesz.

Na to ów rycerz pannę z konia zsadził i miecza dobył. Ale Pan Bors taki mu cios zadał, że go wnet na ziemi rozciągnął. A tu i rycerzy dwunastu nadjeżdża, którzy na odsiecz pannie śpieszyli, a ta zaraz im opowiada, jak ją Pan Bors od napastnika uwolnił. Tedy wielce radzi mu byli i prosili, ażeby razem z nimi do ojca tej panny, pana możnego, jechał. Ale Pan Bors pilniejszą sprawę przed sobą miał i zwłóczyć nie mógł, przeto Bogu ich poleciwszy odjechał brata swego ratować.

Po śladach kopyt w trop za prześladowcami Lionela ruszył. Długo ich tak szukał. Wreszcie, kiedy człeka jakowegoś w szatach zakonnych po drodze mijał, ten mu powiedział, że Lionel już nie żyje. I pokazał mu trupa w gęstwinie leżącego, który się Panu Borsowi całkiem trupem Lionela widział. Wówczas taka żałość chwyciła rycerza, że zemdlony na ziemię upadł i przez długi czas tak leżał. A gdy przyszedł do siebie, powiedział:

— Miły bracie, ponieważ już nigdy z tobą na tej ziemi nie będę obcował, nigdy już radości moje serce nie zazna. Niech Ten, któregom sobie za Pana obrał, pomocą mi będzie.

To powiedziawszy zwłoki w ramionach lekko uniósł

 i na łęku

i na łęku siodła złożył i tak do starej kapliczki je zawiózł, a tam w grobie marmurowym pochował. Potem kapliczkę opuściwszy, przed siebie aż do wieczora jechał. Wieczorem do pustelni jednej pod lasem leżącej przybył. A tam znalazł niespodziewanie brata swojego, Lionela, który w pełnej zbroi przed drzwiami kaplicy siedział. Albowiem był ten Lionel wcale życia nie postradał, diabeł to tylko Pana Borsa oszukał trupa mu rzekomo bratowego w gęstwinie ukazując, gdyż chciał on w błąd rycerza wprowadzić i myśl jego odwieść od błogosławionej przygody — Świętego Graala szukania.

Ujrzawszy że brat jego żyje, Pan Bors tak mu się uradował, że aż dziw brał na samo radości tej opisanie. Potem z konia zsiadł i powiedział:

— O miły, słodki mój bracie, kiedyś tu przybył?

Zasię Lionel na Borsa spoglądając mówi:

— Ach, Borsie, nie masz się co tak miłością braterską chwalić. O mało, a byłbyś do śmierci mojej dopuścił. Kiedyś widział, jak dwóch rycerzy ze sobą mnie wlekło, jak mnie bili, tyś mnie w niebezpieczeństwie śmiertelnym zostawił, ażeby pannie z pomocą śpieszyć. Nigdy jeszcze dotąd brat bratu takiej nieszczerości nie okazał. A nie inna też odpłata za ten czyn twój niegodny, tylko śmierć z mojej ręki ciebie czeka, dobrześ sobie bowiem na nią zasłużył. Odtąd też na baczności się miej, a wrychle ci to będzie potrzebne skoro tylko za broń pochwycę.

Kiedy pojął Pan Bors, że brat jego naprawdę takim gniewem przeciw niemu zapłonął, na ziemi ukląkł i o litość zawołał. Obie ręce do Lionela wyciągnął i prosił go, aby mu jego winę darował. Ale Lionel litości mu nie okazał i Bogiem się klął, że brata swego zabije. Zaraz też po konia swego poszedł a dosiadłszy go do Borsa podjechał i mówi:

 — Strzeż się

— Strzeż się mnie, Borsie, albowiem tak z tobą postąpię, jakbym ze zdrajcą wiarołomnym postąpił, ty, rycerzu najbardziej nieszczery, jaki kiedykolwiek z zacnego domu ojca naszego, króla Borsa z Ganisu, wyszedł.

Widząc że musi śmierć ponieść albo z bratem swoim walczyć, Pan Bors nie wiedział, co począć. Wówczas poradziło mu serce, ażeby walki nie przyjmował, tym bardziej, że Lionel starszym bratem mu przypadał, tedy winien mu był Pan Bors poważanie. Ukląkł więc znowu u nóg Lionowego konia i powiedział:

— Miły, słodki bracie, miej litość nade mną i nie zabijaj mnie. Wspomnij na wielką miłość, która nas obu łączyć powinna.

Ale Lionel nie zważał na to, co Pan Bors mówił, bowiem diabeł wolę jego opętał i do bratobójstwa go pchał. To też kiedy zobaczył, że Pan Bors pojednania tylko pragnie i do walki nie stanie, na klęczącego koniem ruszył. A tak silnie koń Pana Borsa kopytami stratował, że rycerz z bólu omdlał.

Ujrzawszy to Lionel z siodła zeskoczył, ażeby głowę Panu Borsowi uciąć. Za hełm leżącego chwycił i byłby mu go z głowy zdarł, gdyby w tejże chwili pustelnik nie nadbiegł, świątobliwy i stary wielce. A słyszał on był każde słowo, które między braćmi padło i Pana Borsa ciałem swoim zasłonił. Potem do Lionela powiada:

— O miły rycerzu, miej ty litość nade mną i nad bratem swoim. Zabijając go śmiertelny grzech popełnisz, czego tym bardziej żałować by wypadło, że jednym z najzacniejszych na świecie rycerzy on jest i jednym z najbardziej krzepkich.

— Tak mi dopomóż Bóg — Lionel zawoła — jeśli stąd, panie księże, nie uciekniesz, ciebie zamiast niego zabiję.

— Prawdziwie — starzec odpowie — wolej byś mnie

zabił, albowiem życie tego rycerza dwa razy więcej niż moje jest warte.

— A więc zgoda — Lionel powiada i miecz chwyciwszy tak nim pustelnika uderzył, aż zwisła do tyłu odcięta głowa.

Ale i to nawet nie powstrzymało Lionela od chęci zbrodniczej. Znów za hełm Pana Borsa ujął i sprzączki jego odpinał, aby głowę bratu odrąbać. I niechybnie byłby go zabił, ale Bóg to zrządził, że Pan Kolgrewans, rycerz Okrągłego Stołu, tamtędy nadjechał. I zobaczył przybyły najpierw starca zabitego, potem, jak Lionel brata swojego zabija. A znał Pan Kolgrewans i miłował wielce Pana Borsa. Tedy z konia zeskoczył i Lionela za ramiona chwyciwszy od Pana Borsa odciągnął mówiąc:

— Lionelu, chcesz brata swojego zabić, jednego z najzacniejszych na świecie rycerzy? Na to żaden ludzki człek nie pozwoli.

— Co? — Pan Lionel zawoła — chcesz mi w tym przeszkodzić? Jeśli się do naszej zwady mieszać będziesz, zabiję i ciebie, a jego potem.

I znów z mieczem wzniesionym do Pana Borsa skoczył i byłby mu głowę rozpłatał, ale Pan Kolgrewans pomiędzy nimi stanie i powiada:

— Jeśli raz jeszcze ośmielisz się to uczynić, ze mną będziesz miał sprawę.

Wówczas Pan Lionel do walki stanął i potężnym ciosem Pana Kolgrewansa po hełmie uderzył. Zasię Pan Kolgrewans miecz z pochwy wyrwał, a że tęgim był rycerzem, bronił się mężnie. Tak długo trwała ich walka, że wreszcie Pan Bors z omdlenia się ocknąwszy z trudem głowy uniósł. I zobaczył, jak dobry rycerz, Pan Kolgrewans, z bratem jego o jego sprawę walczy. Wówczas zasmucił się wielce i zatrwożył i chciał wstać, ażeby ich rozdzielić. Ale sił tyle w sobie nie znalazł, żeby się na

 nogach

nogach utrzymać i z ziemi patrzeć musiał, jak Panu Kolgrewansowi coraz to gorzej się wiodło, gdyż Pan Lionel nader zręcznym był szermierzem i do tego zuchwałym wielce. Niczego się też już nie mógł Kolgrewans spodziewać, prócz śmierci, kiedy ujrzał, jak Pan Bors powstać usiłuje. Tedy zawoła:

— Ach, Borsie, chodź i z niebezpieczeństwa śmiertelnego mnie wybaw, w którym się znalazłem, ażeby ciebie ratować, kiedyś bliski już śmierci był.

Usłyszawszy to Bors tyle był dokonał, że powstał i hełm nałożył, zasię widząc zwłoki zakonnika srogi lament czynił. A tu Lionel tak potężnie Kolgrewansa raził, że go na ziemi rozciągnął. Kolgrewansa zabiwszy na brata swojego, jak człek przez diabła opętany się rzucił. Zaraz też cios mu tak silny wymierzył, że pochylił się Pan Bors i pokory pełen na miłość Boską go zaklinał, aby walki tej poniechał. Ale nie chciał Lionel na to przystać. Wtedy Pan Bors płacząc miecz swój z pochwy wyjął i powiedział:

— Miły bracie, Bóg widzi moje chęci! Ach, bracie, dość już złego dziś uczyniłeś świętego księdza zabijając, któŕy nigdy grzechu nie popełnił. Także i rycerza poczciwego, jednego z towarzyszy naszych, zabiłeś. Wiedz i to, że niewiele ja się ciebie lękam, ale gniewu Bożego się boję. Niegodziwa to jest walka, oby przeto Bóg cud nad nami obydwoma uczynić zechciał. A teraz, Boże, zmiłowanie nade mną miej, chociaż przeciw własnemu bratu życia bronić muszę.

To powiedziawszy Bors rękę podniósł i byłby Lionela uderzył, ale w tej samej chwili głos usłyszał:

— Nie dotykaj go, Borsie, i uciekaj.

Zaraz też obłok w postaci ognia między obu nich spłynął, tak że tarcze obu rycerzy wraz spłonęły. Wówczas przerazili się bardzo i na ziemię upadli i przez długi

czas w omdleniu leżeli. A kiedy do siebie przyszli, ujrzał Bors, że brat jego żadnego szwanku nie poniósł, a więc Bogu zaczął dziękować, gdyż obawiał się był, że pomsta Boża Lionela dosięże. Natenczas znowu głos posłyszał:

— Borsie, oddal się stąd i z bratem twoim więcej nie przestawaj, ale prosto nad morze jedź, gdzie Pana Parcywala znajdziesz.

I tak, Pan Bors z Lionelem się rozstał i najbliższą drogą nad morze pojechał. Tam przy brzegu okręt znalazł, cały białym brokatem obity. Z konia zsiadłszy na ów okręt wstąpił, zasię ten na morze zaraz wypłynął, a tak prędko po fali się niósł, jakby powietrzem fruwał. Na pokładzie Pan Bors rycerza leżącego spostrzegł. W pełnej zbroi ten rycerz był, bez hełmu tylko na głowie. Wówczas Pana Parcywala w nim poznał. Uradowali się wielce z tego spotkania obaj rycerze, aż dziw brał na ich radość patrzeć. Potem Pan Bors Panu Parcywalowi opowiedział, jak się na okręt ten dostał i na czyje zlecenie to się stało.

I tak, morzem płynęli, czasem w tył, czasem w przód fale ich niosły, a oni pocieszali się wzajem, a często razem się modlili. Pewnego razu powiedział Pan Parcywal:

— Oto niczego nam tu nie brak, jedno tylko — Galahada, dobrego rycerza, nam niedostaje.

KO[illegible] DZIAŁU DWUDZIESTEGO CZWARTEGO

O[illegible] SA NAD SOB[illegible] SAMYM ZWYCIĘSTWIE

ROZDZIAŁ XXV O TYM JAK PAN LANCELOT ŚWIĘTEGO GRAALA ZNALAZŁ

Trzy dni pustelnik Pana Lancelota w pustelni trzymał, potem konia mu dał i hełm i miecz. Odjechał tedy rycerz po przygodę dążąc, którą mu Bóg zesłać chciał. Jednej nocy, kiedy spał, widzenie go naszło i głos usłyszał: „Powstań, Lancelocie, i zbroję wdziej i na pierwszy okręt, jaki znajdziesz, siadaj".

A kiedy te słowa posłyszał, ocknął się i światłość wielką dokoła siebie zobaczył. Wówczas w uwielbieniu rękę podniósł i zbroję wdział, aby gotowym być. I zrządził przypadek, że od razu na brzeg morza trafił. Okręt tam znalazł bez żagli i bez wiosła. A skoro tylko na okręt ów wstąpił, słodycz bezmierną poczuł, jakiej nigdy jeszcze nie był zaznał i spokój taki, jakiego nigdy przedtem nie odczuwał. W onej szczęśliwości na pokładzie okrętu legł i zasnął i do rana spał.

I tak przez miesiąc i dłużej Pan Lancelot na tym okręcie przebywał. A jeśli zapytacie, czym tam żył, powiem, że jako Bóg lud Izraela manną żywił, tak i Pan Lancelot żywiony był. Pewnej nocy podobało mu się na brzeg wysiąść, gdyż znużony był nieco tym pływaniem. A wtedy nadsłuchując tętent kopyt usłyszał, zasię potem ujrzał, jak ktoś na koniu nadjeżdża. A gdy bliżej podszedł, zdało mu się, że rycerza widzi, i wnet poznał, że Galahad to był. Wielkie też między nimi zapanowało wesele, nie masz jednak języka, który by wypowiedzieć zdołał tę radość,

jaką jeden drugiemu okazywał. Wiele też słów przyjaznych, miłych, wzajem sobie wówczas powiedzieli, ale tych wam nie powtórzę. Niech między nimi tylko zostaną.

A potem jeden rycerz drugiemu opowiedział o przygodach i cudach, jakie się im wydarzyły w tylu podróżach, odkąd z dworu królewskiego wyjechali.

I tak Lancelot z Galahadem przez pół roku na tym okręcie zostawali, a ze wszystkich sił swoich dniem i nocą Bogu służyli. Często też okręt ich do wysp dalekich przybijał, gdzie ludzka nie stanęła stopa, gdzie zwierz tylko dziki miał legowisko. Wielu tam dziwnych i niebezpiecznych przygód doznali, z których zwycięsko zawsze wychodzili. Ale że w przygodach tych z bestiami dzikimi tylko mieli sprawę, a nic to szukania Świętego Graala nie dotyczyło, pominiemy je w opowieści naszej, zbyt bowiem długo byłoby mówić o tym wszystkim, co się rycerzom tym wydarzyło.

A potem zdarzyło się, że raz pod skraj lasu podpłynęli, niedaleko krzyża, co tam stał. Pod krzyżem rycerza ujrzeli w białej zbroi, na koniu wspaniale odzianym, a w prawej ręce za uzdę białego rumaka on wiódł. Z rumakiem tym do okrętu podjechał i obu rycerzy w imię Pana Wysokiego pozdrowiwszy powiedział:

— Galahadzie, dość już długo z Lancelotem, panie, przebywałeś. Z okrętu wynijdź i na konia tego siadaj i jedź, dokąd cię przygody w szukaniu Świętego Graala zaprowadzą.

Tedy Galahad, smutny, z Panem Lancelotem się pożegnał, obaj bowiem wiedzieli, że nie zobaczą się już, aż w straszliwym dniu Sądu Ostatecznego. Potem Galahad konia dosiadł i w las wjechał. Wtedy wiatr wielki się zerwał i okręt z Panem Lancelotem dalej popędził i przez miesiąc cały po morzu go gnał. A przez ten czas Pan Lan-

celot spał niewiele, ale do Boga się modlił, ażeby mu zechciał jaką wieść o Świętym Graalu zesłać.

I zdarzyło się, że raz, o północy, okręt do zamku podpłynął, który piękny i bogaty nad brzegiem stał, tyłem do morza zwrócony. Zasię tylna brama tego zamku ku morzu wiodąca otwarta była i strażyś przy niej ludzkiej nie dojrzał, dwa tylko lwy wejścia strzegły, i księżyc jasno świecił. Wtedy Pan Lancelot głos posłyszał: „Lancelocie, z okrętu zstąp i do zamku wejdź, a ujrzysz tam wiele z tego, co oglądać pragniesz".

Zaraz też Lancelot broń chwycił i do bramy podszedł i lwy ujrzał, a ujrzawszy je miecz obnażył. A na to nagle karzeł się przed nim pojawił i po mieczu go uderzył tak silnie, że wypadła rycerzowi broń z ręki. I posłyszał głos: „O człowiecze małej myśli i małej wiary, dlaczego w mieczu swoim większą, niźli w Twórcy twoim, ufność pokładasz? Ten, w któregoś służby się zaciągnął, lepiej cię, niż zbroja twoja, osłoni".

Tedy rzeknie Lancelot:

— Miły Ojcze, Jezu Chryste, dziękuję Ci za wielką łaskę Twoją, żeś mnie za czyn mój niegodny zganił. Teraz widzę, że mnie za sługę Swojego masz.

Potem miecz podniósł i do pochwy go schował. A kiedy do lwów się przybliżył, nasrożyły się, jakby pożreć go chciały. Nie zważając na to, dalej szedł i żadnej nie doznał obrazy. Przez bramę na podwórzec zamkowy się dostał, a stamtąd do głównego skrzydła, gdzie cisza panowała zupełna. I tak uzbrojony do środka wszedł a wszystkie bramy i drzwi otwarte znalazł. Wreszcie komnatę jedną napotkał o drzwiach zamkniętych. Rękę na zaworze położył i z całych sił na nią naparł, ale tych drzwi otworzyć nie mógł.

Wówczas nadsłuchiwać zaczął i głos posłyszał tak słodko śpiewający, że nieziemskim głosem się zdawał.

 Ukląkł

Ukląkł Lancelot przed drzwiami komnaty, gdyż dobrze wiedział, że Święty Graal tam przebywa. Potem rzekł:

— O miły, słodki Ojcze, Jezu Chryste, jeślim tylko zdołał kiedy uczynić cośkolwiek, co Ci miłym było, przez miłosierdzie Twoje nie pogardź mną za grzechy dawne i ukaż mi coś z tego, czego szukam.

Na to otworzyły się drzwi komnaty i światłość przez nie wyszła tak wielka, że w całym zamku jasno się uczyniło, jakby w nim zapłonęły wszystkie świata pochodnie. Pan Lancelot na progu stanął i byłby wszedł, gdyby mu był znowu ów głos nie powiedział: „Cofnij się, Lancelocie i nie wchodź, albowiem to ci się nie należy. A gdybyś wszedł, odpokutujesz za to".

Cofnął się tedy rycerz z ciężkim sercem i do środka komnaty spojrzał. Stół srebrny tam zobaczył i naczynie święte purpurowym brokatem przykryte i aniołów mnóstwo dokoła. Wtedy wielkim krokiem próg przestąpił i do komnaty wszedł i ku stołowi srebrnemu zmierzał.

A kiedy podszedł już blisko, poczuł na sobie jakby oddech z ogniem zmieszany, który go w twarz tak silnie uderzył, iż zdawało się rycerzowi, że twarz mu spłonie. Wówczas na ziemię runął i sił nie miał, ażeby powstać. Potem poczuł dotknięcie wielu rąk, które go z ziemi podjęły i poza próg komnaty wyniosły i tam jak martwego złożyły.

Nazajutrz rano, gdy dzień wstał jasny, zbudzili się ci, co w zamku tym przebywali i Pana Lancelota przed drzwiami komnaty leżącego znaleźli i dziwowali się wszyscy, skąd się tam wziął. Przyglądali mu się i tętna u dłoni jego szukali, ażeby przekonać się, czy życie z niego nie wyszło. Znaleźli wreszcie, że żyje, ale powstać nie mógł, ani też członkiem żadnym poruszyć. Tedy wzięli go i do komnaty ustronnej zanieśli i na łożu bogatym położyli. Tam, z dala od ludzi, jak martwy przez dni dwa-

 dzieścia

dzieścia i cztery leżał, za karę, jak sobie potem pomyślał, za to, że przez dwadzieścia cztery lata grzesznikiem był. Zasię dwudziestego piątego dnia oczy otworzył i spytali go ludzie, co wtedy przy nim byli, jako się miewa. Odpowiedział, że zdrowym na ciele się czuje i wiedzieć by chciał, gdzie też jest. Odpowiedzieli mu, że w zamku, który Carboneck się zowie, i że w szukaniu Świętego Graala cel swój osiągnął, albowiem nigdy świętego naczynia w większej bliskości nie będzie już oglądał.

Wkrótce pożegnał Pan Lancelot wszystkich, którzy w zamku tym byli i podziękował im za staranie, jakie nad nim mieli. Potem zbroję przywdział i odjechał mówiąc, że z powrotem do królestwa Logris jedzie.

KONIEC ROZDZIAŁU DWUDZIESTEGO PIĄTEGO
O TYM JAK PAN LANCELOT ŚWIĘTEGO GRAALA ZNALAZŁ

ROZDZIAŁ XXVI O KOŃCU POSZUKIWAŃ ŚWIĘTEGO GRAALA

Owóż Pan Galahad — opowieść mówi — w las wielki wjechał. Wiele po nim odbył podróży i wielu przygód doświadczył, które wszystkie zwycięsko zakończył, ale o nich opowieść nie wspomina.

Pewnego razu zdarzyło się, że w pustelni jednej noc spędzał. Mieszkaniec jej, człek świątobliwy, ucieszył się bardzo błędnego rycerza u siebie widząc, to też podejmował Pana Galahada jak mógł najgodniej. A gdy na spoczynek się ułożyli, nadjechała niewiasta jedna szlachetnego rodu i do drzwi pustelni zapukała. A wzywała ona Pana Galahada. Podszedł pustelnik do drzwi, ażeby dowiedzieć się, czego niewiasta ta żąda. Powiedziała mu wtedy, że z rycerzem, który u niego przebywa, mówić chce. Zbudził tedy pustelnik Galahada i polecił mu wstać i do niewiasty owej wyjść, która jak się zdawało, pilnie rycerza ujrzeć pragnęła.

Wówczas wyszedł do niej Galahad i zapytał, czego by żądała. Zasię ona rzeknie:

— Galahadzie, chcę, abyś zbroję wdział i na konia siadł i za mną jechał, gdyż w ciągu trzech dni ukażę ci największą przygodę, jaka tylko rycerzowi zdarzyć się może.

Zaraz też Galahad zbroję na się włożył i konia dosiadł. I prosił niewiastę ową, aby przodem jechała, a on za nią w ślad podążać będzie.

Do najszybszego biegu rumaka swego przynagliła i nie-

zadługo nad brzeg morza przybyli, a tam i okręt znaleźli. Zasię na pokładzie okrętu Bors z Parcywalem stali i nadjeżdżających widząc zakrzyknęli:

— Panie Galahadzie, radzi cię witamy. Długośmy na ciebie czekali.

I tak, Pan Galahad konia zostawiając na okręt wszedł, gdzie go tamci radośnie przyjęli. A wiatr się zerwał i na morze okręt popędził.

Owóż, mówi opowieść, że płynęli tak przez czas długi, aż wreszcie do zamku Carboneck przybyli, tego samego, gdzie Pan Lancelot przedtem był się pojawił. Weszli oni do zamku i radość w nim zapanowała wielka, albowiem wiedziano, że dopełnić mają ci rycerze Świętego Graala sprawy.

A kiedy samotrzeć tylko w sali, gdzie Święty Graal przebywał, zostali, widziało im się, że człek jakiś do niej wszedł. A na biskupa on wyglądał i towarzyszyło mu czterech aniołów niebieskich. Przy stole srebrnym, na którym Graal spoczywał, Mszę Świętą ów przybyły odprawił. Zasię rycerze w widzeniu ujrzeli w Hostii do góry wznoszonej postać jakoby dziecięcą o twarzy nad wszelki płomień świątlejszej.

I powiedział im biskup:

— Słudzy Chrystusowi, pożywicie się przy tym stole strawą najsłodszą, jakiej tylko kiedykolwiek zakosztować było dane rycerzom.

To powiedziawszy zniknął, a oni za stołem ze czcią zasiedli i pacierze odmawiali. Potem oczy podniósłszy Człowieka ujrzeli, który wszystkie znamiona Męki Chrystusowej miał na sobie. Ów zasię rzekł im:

— Rycerze moi i słudzy i dzieci moje prawdziwe, którzy z życia śmiertelnego wyszedłszy w życie duchowe weszli, nie będę się ja przed wami ukrywał dłużej, ale część moich tajemnic i rzeczy dla ludzi zamknię-

tych przed wami dzisiaj odsłonię. A teraz otrzymacie i spożyjecie pożywienie niebiańskie, któregoście tak bardzo pożądali.

Potem Sam On święte naczynie wziął i do Galahada podszedł, który na kolana padł i tak Sakrament Przenajświętszy przyjął, a za nim obaj jego towarzysze. A tak słodki im się wydał ów chleb nieziemski, że opowiedzieć o tym niesposób.

A On do Galahada przemówi:

— Synu, czy wiesz ty, co w dłoniach swoich trzymam?

— Nie — rycerz odpowie — nie wiem tego, póki mi nie powiesz.

Tedy rzeknie On: — Jest to naczynie święte, z któregom baranka w czas Ostatniej Wieczerzy spożywał. A teraz ujrzałeś, coś najwięcej pragnął oglądać. Aleś nie wszystko jeszcze widział i więcej ujrzeć ci będzie danem w mieście Sarras, miejscu duchowym. Tam przeto udać się musisz i naczynie to święte ze sobą zabierzesz. Albowiem tej nocy opuści ono królestwo Logris, aby go tu oczy niczyje nie oglądały. A wiesz ty, dlaczego tak się stanie? Dlatego, że popsował się żywot mieszkańców tej ziemi, przeto odejmę im zaszczyt, którym ich obdarzyłem był niegdyś. Powstańcie i we trzech nad morze się udajcie, gdzie okręt do drogi gotowy na was czeka.

Wnet potem Galahad z Parcywalem i Borsem zamek Carboneck opuścili. Trzy dni jechali, aż na brzeg morza przybyli. A tam okręt znaleźli, o którym powyżej opowieść wspomina. A gdy na pokład wstąpili, ujrzeli, że stół srebrny na nim stał, ten sam, który odjeżdżając na zamku byli zostawili. Na stole Święty Graal się znajdował, chustą z brokatu purpurowego przykryty. Tedy uradowali się, że rzeczy te wśród siebie mieć będą.

Czas jakiś na okręcie tym przebyli, aż wreszcie jednego dnia rano zbudziwszy się miasto Sarras przed sobą

 ujrzeli.

ujrzeli. Tu na brzeg wyszli stół srebrny ze sobą z okrętu zabierając. A nieśli go Pan Parcywal i Pan Bors przodem postępując, zasię Pan Galahad z tyłu go trzymał. Tak do miasta się skierowali, a w bramie miasta starca ujrzeli, który skurczony siedział. Zawołał nań Galahad prosząc, ażeby im ten ciężki stół nieść dopomógł.

— Prawdziwie — starzec odrzecze — nie łatwo to będzie, gdyż lat już dziesięć minęło, odkąd o kulach chodzę.

— Nie zważaj na to — Galahad mu powie — wstań i dobrą swoją wolę okaż.

Spróbował powstać starzec i zdrowym całkiem się poczuł. Tedy do stołu podbiegł i naprzeciw Pana Galahada stanąwszy za wolny róg ujął.

Zaraz też wrzawa w mieście całym powstała, że kaleka przez rycerzy cudownych, którzy do miasta weszli, uzdrowionym został. A kiedy król tego miasta — Estorauzem się on zwał — rycerzy zobaczył, zapytał ich, skąd przybyli i co za rzecz taką na srebrnym stole ze sobą przynieśli. Powiedzieli mu wówczas prawdę o Świętym Graalu i o mocy, którą Bóg w nim umieścił.

Owóż król Estorauz tyranem był i z pogan pochodził. Kazał też wszystkich trzech rycerzy pojmać i do dołu głębokiego wrzucić. Ale skoro tylko tam się znaleźli, zaraz im Bóg Świętego Graala posłał, a ten łaską swoją ich żywił i niczego im nie zbrakło przez cały czas, co w więzieniu siedzieli.

Rok tak prawie minął i zdarzyło się, że ciężko ów król zachorzał i poczuł, że umierać musi. Wówczas po trzech rycerzy posłał. Kiedy stanęli przed nim, o litość ich nad sobą prosił, ażeby mu darowali, co im złego był wyrządził. A oni przebaczyli mu chętnie i zaraz potem zmarł Estorauz.

Po śmierci króla całe miasto zatrwożyło się i nie wie-

dziano kogo by królem obrać. Zasię, kiedy nad tem radzono, głos dał się słyszeć, który im nakazywał najmłodszego z trzech przybyłych rycerzy królem uczynić, albowiem pomyślnością wielką ludzi tego miasta i rodziny ich on obdarzy. Tedy za zgodą całego miasta Galahad królem obrany został.

A kiedy wyjeżdżał ziemie swoje oglądać, kazał skrzynię złotą, klejnotami wysadzaną, wokół srebrnego stołu sporządzić, ażeby naczynie święte chroniła. Każdego też dnia wczesnym rankiem chodzili trzej towarzysze modlić się przed Świętym Graalem.

Zasię w wigilię Nowego Roku, kiedy jak zwykle w czas rano do Świętego Graala przyszli, ujrzeli, że przed naczyniem cudownym człek jakiś w szatach biskupich klęczy. Roje aniołów go otaczały. A on na Galahada po imieniu zawołał i rzekł mu:

— Wystąp, sługo Chrystusowy, a ujrzysz, coś pragnął był bardzo oglądać.

Wówczas dygotać począł Galahad, jako bywa, kiedy ciało śmiertelne ma ujrzeć rzeczy, które ducha są. Potem obie ręce ku niebu podnosząc powiedział:

— Dzięki Ci, Panie, albowiem teraz wiem, czegom przez dni wiele pożądał. Obym też, Święty Boże, nie żył dłużej, jeśli Ci się tak, Panie, spodoba.

Natenczas biskup Sakrament Przenajświętszy wziął i Galahadowi dał spożyć. Z radością i pokorą przyjął Go rycerz.

— Wiesz że teraz, kim jestem? — starzec zapyta — Jam jest Józef z Arymatei, którego Pan nasz posłał tutaj, aby ci towarzystwa dotrzymał. A wiesz ty, dlaczego mnie właśnie nad innych On przełożył? Albowiem w dwóch rzeczach byłeś mi podobien: żeś cuda Świętego Graala oglądał i żeś rycerzem czystym i cnotliwym był, jakim i ja byłem i jestem.

 A gdy

A gdy starzec słowa te wypowiedział, podszedł Galahad do Parcywala i do Borsa, i ucałował ich i Bogu polecił. Powiedział też:

— Panu mojemu, Lancelotowi, pozdrowienie ode mnie zanieście i powiedzcie mu, aby niestałość tego świata miał w pamięci.

Potem przed stołem ukląkł i modlitwy odmawiać zaczął. Wówczas nagle dusza z niego wyszła, do Chrystusa idąc. Tłum ją wielki aniołów do nieba poniósł. A wszystko to towarzysze jego dobrze widzieli. Ujrzeli także rękę, jak się z nieba opuściła, ale nie widzieli ciała. Zasię ta ręka wprost ku naczyniu świętemu zdążając ujęła je i do nieba poniosła. Odtąd żaden już człek tak zuchwały się nie znalazł, który by mówił, że Świętego Graala oglądał.

Kiedy Bors z Parcywalem ujrzeli, że nie żyje Galahad, tak bardzo się zasmucili, jak tylko człowiek smucić się może. A gdyby mniej dobrymi ludźmi byli, w rozpacz by pewno popadli. A cały lud tego miasta i całej tej krainy płakał po Galahadzie. Potem pogrzebano go.

Zaraz po pogrzebie Pan Parcywal do pustelni poza miastem leżącej się udał, gdzie przez rok i dwa miesiące świętym życiem żył, potem ze świata tego odszedł.

Zasię Pan Bors, gdy tak samotnym w krajach dalekich się ujrzał, Sarras opuścił i nad morze pojechał. Tam na okręt wsiadł i zdarzyło się, że szczęśliwie do królestwa Logris powrócił. Do Kamelotu, do króla Artura się udał. Tam powitał rycerza z radością dwór cały, gdyż mniemano, że już życie postradał, skoro przez czas tak długi do kraju nie wracał.

A gdy posiłek razem spożyto, król najuczeńszych pisarzy do siebie zawołał, ażeby zapisali wspaniałe przygody dobrych rycerzy. A gdy opowiedział Bors o przy-

 godach,

godach, jakich Świętego Graala szukając z towarzyszami swymi Galahadem i Parcywalem doświadczył, mówił Lancelot o tym, co mu się wydarzyło, kiedy Świętego Graala szukał. A spisano to wszystko w wielkich księgach, które potem do skrzyń złożono — w Salisbury.

KONIEC ROZDZIAŁU DWUDZIESTEGO SZÓSTEGO
O KOŃCU POSZUKIWAŃ ŚWIĘTEGO GRAALA

ROZDZIAŁ XXVII O PANU LANCELOCIE I PIĘKNEJ PANIENCE Z ASTOLATU

Kiedy skończyło się szukanie Świętego Graala i wszyscy rycerze, ci co żywi zostali, do Stołu Okrągłego znów powrócili, wielkie na dworze zapanowało wesele. Zwłaszcza król i królowa Ginewra radowali się wielce powrotem rycerzy do domu, a najwięcej cieszyli się oni z powrotu pana Lancelota i Pana Borsa, albowiem dawno już obu ich nie widzieli.

Wówczas to, jak opowieść nam mówi, Pan Lancelot zapomniał o obietnicy, jaką był pustelnikowi w czasie wyprawy do Świętego Graala złożył, i chętnie królowę widywać zaczął. Chociaż bowiem o Bogu zdawał się tylko myśleć Świętego Graala szukając, przecie najskrytsze jego myśli i serce wciąż się ku Ginewrze zwracały. Gdyby nie to, najwięcej by ze wszystkich rycerzy w tej wyprawie dokonał. A tak, teraz, kiedy Ginewrę na dworze blisko miał, nie schodziła mu już ona całkiem z myśli. Wielu też na dworze mówić o tym między sobą zaczęło, a już najwięcej Pan Agrawen, Pana Gawena brat, gdyż ten, co w sercu, to i na języku miał.

I tak trwało to czas jakiś. Jednego dnia król wielki turniej i gonitwy obwołać heroldom kazał. A miały się one odbyć w Kamelocie, czyli Winchester. Gotował się król Artur na ów turniej jechać i królowę ze sobą chciał zabrać. Ale ona wymówiła się od tego chorobę udając. Zmartwiło to króla, gdyż nigdy jeszcze od owej niedzieli

Zielonych Świątek, kiedy to Galahad dwór królewski opuszczał, nie było się tylu świetnych rycerzy razem zjechało. Wielu zaś mniemało, że to z powodu Pana Lancelota nie chciała królowa turnieju oglądać, wymówił się był bowiem i Lancelot, że z królem nie pojedzie, gdyż mu dawna rana doskwiera.

I tak, kiedy król odjechał, przywołała królowa do siebie Pana Lancelota i rzekła mu, iż na naganę prawdziwie sobie zasłużył pana swojego opuszczając. I radziła mu też, żeby na turniej do Winchester pojechał. Tedy na drugi dzień rankiem królowę pożegnał i w drogę ruszył. Przez cały dzień jechał, zasię pod wieczór do Astolatu przybył. (Dziś Astolat Gilford się zowie). A tam na zamku stary baron, Pan Bernard z Astolatu, mieszkał. On też Panu Lancelotowi gościny udzielił. A chociaż wielce uprzejmie go powitał, nie wiedział wcale, że Pana Lancelota u siebie gości.

— Miły panie — Pan Lancelot gospodarzowi swemu rzecze — chciałbym cię prosić, abyś mi tarczy jakiej o barwach mało znanych pożyczył, moją bowiem wnet każdy pozna, a radbym na turniej w przebraniu jechać.

— Panie — stary rycerz mu odpowie — z chęcią życzenie twoje spełnię, gdyż zdajesz mi się być jednym z najbardziej udałych rycerzy na świecie, przeto pragnę przyjaźń ci okazać. Wiedz też, panie, że dwóch synów mam, którzy przed niedawnym czasem dopiero na rycerzy pasowani zostali. Starszy z nich Panem Tyrre się zowie, a tego samego dnia, co i godność rycerza, ranę ciężką on otrzymał, przeto na turniej jechać nie może. Jego tarczę ci dam, gdyż nie znają jej jeszcze ludzie, chyba tu, w okolicy. Zasię młodszego syna mojego Panem Lawenem zwą, a jeśli się zgodzisz, z tobą razem on pojedzie, gdyż nad wiek swój mocny jest i odważny. Mówi mi też

serce moje, że szlachetnym rycerzem być musisz, dlatego proszę cię, powiedz mi, jak się zowiesz.

— Co się miana mojego tyczy — Pan Lancelot rzeknie — wybacz mi, że ci go dziś nie wyjawię. Ale, jeśli Bóg łaski mi swojej użyczy i dobrze na turnieju stanąć pozwoli, przyjadę tu znowu, aby ci je powiedzieć. W każdym jednak razie, proszę cię, ażebym mógł syna twojego, Pana Lawena, ze sobą wziąć i tarczę jego brata.

— Niech tak będzie — Pan Bernard odpowie.

A miał ten stary baron córkę. Zwała się ona Elaine le Blank, ale nazywano ją w tym czasie Piękną Panienką z Astolatu. Z podziwem ona na Pana Lancelota spoglądała i, jak mówi opowieść, serce mu swoje na nic się nie oglądając odrazu oddała. A raz oddawszy, już go nie mogła odebrać z powrotem. I poprosiła ona rycerza, ażeby na turniej jadąc pod jej znakiem walczyć chciał.

— Piękna panno — Pan Lancelot jej powie — jeśli na to przystanę, będziesz mogła sobie powiedzieć, żeś za miłość twoją więcej ode mnie otrzymała, niż jakakolwiek inna pani, albo też panienka.

Ale wnet przyszło mu na myśl, że w przebraniu na turniej ma jechać. A że nigdy jeszcze ze znakiem panny żadnej na hełmie nie walczył, pomyślał sobie, iż jeśli tym razem znak przez Elaine mu dany przywdzieje, nikt z krewniaków jego nawet go nie pozna. Przeto powiedział:

— Panienko, zgadzam się twoim znakiem hełm swój przyozdobić, pokaż mi tedy, co mi dasz.

— Panie — ona odrzeknie — jest to rękaw mojej szaty, szkarłatny cały i dużymi perłami naszywany.

I przyniosła mu ów rękaw. Wziął go rycerz mówiąc że dla żadnej jeszcze niewiasty tyle nie uczynił. A potem jej tarczę swoją zostawił prosząc, aby jej strzegła, dopokąd po nią nie wróci. I wieczora tego wesoło mu czas

upłynął, albowiem Elaine w bliskości jego być się starała, ilekroć tego zapragnął.

Rankiem dnia następnego Pan Lancelot z Panem Lawenem pożegnali starego barona, Pana Bernarda i córkę jego, Piękną Panienkę z Astolatu. I jechali długo, aż do Kamelotu przybyli. A zebrała się tam już była ciżba wielka królów, diuków, grabiów i baronów i rycerzy szlachetnych. Ale Pan Lancelot na zamek nie pojechał, tylko za staraniem Pana Lawena razem z nim u bogatego mieszczanina gospodą staną. I tak nikt w mieście całym, kim byli, nie wiedział.

W oznaczonym czasie rozpoczęły się gonitwy. Pan Lancelot do walki, jak mógł najlepiej, się przysposobił i szkarłatny rękaw Elaine na hełmie swoim umocował. Potem, razem z Panem Lawenem tam, gdzie tłok był najgęstszy, skoczył i wspaniałych czynów rycerskich wnet dokonał. Dziwowano się też dookoła co to za rycerz taki się zjawił. Mówił Pan Gawen, że zarówno z jazdy jak i z ciosów, którymi wokół razil, wielce Pana Lancelota on przypomina, ale nie mógł to przecie Pan Lancelot być, gdyż szkarłatny rękaw niewieści na hełmie miał, a wiedział Pan Gawen dobrze, że nigdy, na żadnym turnieju, Pan Lancelot znaku, jaki dama rycerzowi swemu daje, nie nosił.

W końcu, trafem nieszczęśliwym, Pan Bors konia pod Panem Lancelotem zabił. A pchnął go przy tym włócznią popod tarczę w bok, tak że złamała się włócznia, zasię odłamek w boku Pana Lancelota pozostał. Ale Pan Lawen siłą wielką konia królowi Szkotów zabrał i panu swojemu Lancelotowi go przywiódł i, choć nacierali zewsząd rycerze, pomógł mu rumaka tego dosiąść. Wówczas Pan Lancelot włócznię chwycił i Pana Borsa razem z koniem na ziemię obalił. Podobnie też z innymi rycerzami sobie poczynał. Byłby ich łatwo mógł pozabijać,

 ale jak

ale jak opowieść powiada, w sercu chęci do tego nie miał i tak życie im darował.

Potem znowu w gąszcz, co się był z rycerzy walczących uczynił, runął i czynów dokonał tak wspaniałych, że podobnych nikt był jeszcze dotychczas nie oglądał, ani też słyszał nawet, że być mogą. A zawsze Pan Lawen, rycerz dobry, był z nim razem. Tam to Pan Lancelot, jak francuska książka mówi, więcej niż trzydziestu rycerzy swoim mieczem pobił i obalił, a większość z nich do Bractwa Okrągłego Stołu należała. Także i Pan Lawen dnia tego całkiem dobrze stawał.

Wreszcie król graniem rogu rycerzy z pola odwołał. I otrąbili heroldowie że nagroda przypada rycerzowi z białą tarczą, który rękaw szkarłatny miał na hełmie. Ale Pan Lancelot ciężko był ranny i o zaszczyty nie stał. Tedy jęcząc boleśnie wielkim galopem co najdalej od wszystkich odjechał. Aż kiedy na skraju lasu się znalazł, o milę prawie od pola, gdzie pewnym mógł być, że go nikt nie zobaczy, jął Pana Lawena prosić, ażeby, jeśli go prawdziwie miłuje, ów ułamek włóczni z boku jego wyciągnął. Bał się Pan Lawen to uczynić, gdyż nie wiedział, czy też wówczas Pan Lancelot z krwi upływu nie zemrze. Postąpił przecie tak, jak mu pan jego był zlecił. Wrzasnął z bólu Pan Lancelot i śmiertelnie pobladłszy zemdlał.

Wówczas Pan Lawen do pustelni go zawiózł o dwie mile stamtąd odległej, gdzie pustelnik jeden dobry mieszkał, który niegdyś rycerzem szlachetnym wielce był i panem rozległych włości. Z dobroci to wielkiej majętności swoje był porzucił i z własnej woli ubóstwo na siebie wziął. Lekarzem umiejętnym będąc zaraz on krew Panu Lancelotowi zatamował i dobrym winem rycerza napoił, tak iż, pokrzepiony, do siebie przyszedł.

A tymczasem król Artur rycerza kazał szukać ze

szkarłatnym rękawem na hełmie, ażeby mógł ten rycerz należną sobie nagrodę i cześć i pochwałę otrzymać. Ale nie znaleziono go nigdzie, przeto lękać się zaczęli król i rycerze wszyscy, czy czasem ciężkiej rany w walce nie otrzymał. Tedy Pan Gawen giermka ze sobą wziąwszy całą okolicę na sześć czy siedem mil dokoła Kamelotu zjeździł, ale nigdzie ani słowa nawet o tajemniczym rycerzu nie usłyszał.

Zasię w dwa dni potem król Artur i wszystko rycerstwo do Londynu znowu wracali. I zdarzyło się, gdy powrotną drogą jechali, że Pan Gawen u Pana Bernarda z Astolatu się zatrzymał. A tam tarczę, którą Elaine w swojej pieczy miała, ujrzawszy poznał, że ów rycerz, który taką sławą na turnieju się okrył, nie kim innym, tylko Panem Lancelotem był. Zasię Piękna Panienka z Astolatu dowiedziała się wówczas, jak walecznego rycerza pokochała. A usłyszawszy, że Pan Lancelot ciężko raniony został i że nie wiedzą rycerze, gdzieby leżał, do ojca swego, Pana Bernarda, powiada:

— A teraz, proszę cię, ażebyś mi go szukać jechać pozwolił, bo inaczej rozum chyba postradam. A nie spocznę ja, dopóki Pana Lancelota i brata mojego, Pana Lawena, nie odnajdę.

— Jako chcesz, uczyń — ojciec jej powie — gdyż i ja smucę się wielce tym, że tak szlachetny rycerz ranę ciężką otrzymał.

Zaraz więc przysposobiła się panienka do drogi, zasię Pan Gawen do Londynu powrócił. Tam całemu dworowi otwarcie wyjawił, że to Pan Lancelot z rękawem szkarłatnym na hełmie walczył i ze wszystkich rycerzy najlepiej stawał. A wiedzcie też, że gdy to Pan Bors usłyszał, ciężko mu się na sercu uczyniło, albowiem on to właśnie Panu Lancelotowi, co mu bliskim krewniakiem był, tę ciężką ranę w czasie turnieju zadał. A z Panem Borsem

smucili się wszyscy co jednej krwi z nim byli. Ale królowa Ginewra, gdy dowiedziała się, że Pan Lancelot szkarłatny rękaw Pięknej Panienki z Astolatu na hełmie swoim miał, z wielkiego gniewu całkiem była prawie rozsądek utraciła. I zdrajcą nieszczerym rycerza nazwała za to, że znak przez inną mu dany na siebie przywdział.

Zasię piękna Elaine do Winchester przybyła. Tam po okolicy czyniła poszukiwania. I zdarzyło się trafem szczęśliwym, że Pan Lawen z lasu wyjechał, ażeby się przejażdżką pokrzepić i koniowi swemu dać ruchu zażyć. Ledwo go była dojrzała Elaine, wnet brata swego poznała i krzyknęła. A on głos jej posłyszawszy zaraz do niej podjechał. Wtedy zapytała go, jako się Pan Lancelot miewa.

— Kto ci powiedział, siostro — Pan Lawen rzeknie — że pan mój Panem Lancelotem się zowie?

Wówczas opowiedziała mu, jak Pan Gawen po tarczy rycerza poznał i razem dalej jechali aż do pustelni. Tam Elaine z konia zsiadła, a brat ją do Pana Lancelota zaprowadził.

I tak, już ta panienka od łoża rannego nie odeszła, ale czuwała nad nim we dnie i w nocy i takie miała nad nim staranie, że, jak francuska książka mówi, nigdy niewiasta żadna mężowi żadnemu więcej serca okazać nie mogła, niż ona Panu Lancelotowi okazywała.

Wreszcie, po długim czasie, wyleczył się Pan Lancelot z ran swoich. Wtedy jednego ranka razem z Panem Lawenem i Elaine na konie siedli i pustelnię opuścili. Do Astolatu wprost się udali. A tam stary baron, Pan Bernard, z synem swoim, Panem Tyrre, wielce ich przybyciem uradowani, jak najlepsze przyjęcie im zgotowali.

A kiedy przyszedł czas, że miał Pan Lancelot Astolat

opuścić i na dwór królewski jechać, zdawało się, że piękna Elaine umrze z wielkiej miłości i żalu. Ale Pan Lancelot tylko królowę Ginewrę miłował i zamierzał nigdy żadnej niewiasty nie zaślubić, przeto niczym panienki pocieszyć nie mogąc ze szczerym smutkiem na jej straszliwą żałość patrzył. Zasię wdzięczny za jej serce i dobroć, jaką mu była świadczyła, przyrzekał, że jeśli tylko kiedy rycerza jakiego dobrego pokocha i zaślubi, on przyjacielem i opiekunem im będzie i że do końca życia prawdziwym rycerzem Elaine pozostanie.

Potem mieszkańców zamku Astolat pożegnał i z Panem Lawenem do Winchester pojechał. A kiedy dowiedział się król Artur, że Pan Lancelot cały i zdrów powrócił, wielce się tym ucieszył, a z nim razem cieszyli się wszyscy rycerze Okrągłego Stołu. Jeden tylko Pan Agrawen i Pan Mordred drugi radości tej nie dzielili.

A teraz do Pięknej Panienki z Astolatu wracajmy, która po wyjeździe Pana Lancelota z wielkiej żałości całkiem spać, ani jeść, ani pić nie mogła, tylko dniem i nocą za rycerzem umiłowanym płakała. Wreszcie po dniach dziesięciu tak z sił opadła, iż poczuła, że umrzeć jej przyjdzie. Przeto na śmierć się gotowała ciągle Pana Lancelota opłakując.

Wówczas rzekł jej spowiednik, aby owe myśli ziemskie porzuciła. Ale ona mu odpowie:

— A dlaczegoż bym ich zaniechać miała? Przecie na ziemskim tu świecie żyję i póki się jeszcze oddech w ciele moim kołacze, mogę swego miłego płakać dowoli, gdyż żadnej mi to ujmy nie czyni, że śmiertelnego, jako i ja, człeka miłuję. Boga też na świadka biorę, żem jednego tylko Pana Lancelota z Jeziora w życiu moim kochała, a jakom jest dziewczką czystą, nigdy innego nie będę miłować. A ponieważ Bóg dopuścił, ażebym z miłości do tak szlachetnego rycerza ginęła, przeto błagam Cię, Ojcze

Wysoki na niebie, abyś nad duszą moją miał zmiłowanie. A i to widziałeś przecie, słodki Panie Jezu, żem mało Cię obrażała przykazań Twoich nie zachowując — jedno tylko — żem szlachetnego rycerza, Pana Lancelota nad miarę wszelką i nad własną duszę umiłowała, ale to dlatego, dobry Panie, żem się sile tej miłości oprzeć nie mogła, za co teraz i umrzeć mam.

Potem przywołała ojca swego, Pana Bernarda i brata swego, Pana Tyrre, i serdecznie ojca prosiła, aby dozwolił bratu jej list napisać, słowo w słowo, jak mu dyktować będzie. I zgodził się na to jej ojciec. A kiedy Pan Tyrre list całkiem według jej woli napisał, znów do ojca prośbę zaniosła. Zasię chciała, aby po śmierci jej ciało w szaty najbogatsze przyodziane w barce złożono, całej czarnym brokatem okrytej. Do prawej dłoni, prosiła, aby jej ów list przed śmiercią napisany włożono. I tak, żądała, aby jeden tylko wioślarz ową barką wzdłuż Tamizy sterując do Westminster ją zawiózł.

A kiedy zmarła, uczyniono wszystko, jak sobie była życzyła. Owóż zdarzyło się, że król Artur z królową Ginewrą w oknie pałacu stojąc rozmawiali, a na rzekę spojrzawszy barkę żałobną ujrzeli. Zadziwili się też, co by to znaczyć mogło. Zaraz król trzech rycerzy nad rzekę posłał, aby mu wiadomość o tym przynieśli. Tedy owi trzej rycerze do barki podeszli i ujrzeli w niej zwłoki pięknej dziewicy na bogatym posłaniu leżące oraz wioślarza samotnego, który ni słowa przemówić nie chciał. To i doniesiono królowi. Wówczas król królowej rękę podał i oboje nad rzekę zeszli i ujrzeli piękną dziewicę w stroju bogatym, która leżąc uśmiechać się zdawała. Wtedy też królowa list w prawym ręku panienki dostrzegła. W obecności wielu zebranych rycerzy pisarz uczony list ten odczytał. A słowo po słowie tak ten list powiadał:

„Panie Lancelocie, rycerzu wielce szlachetny! Oto

śmierć kazała teraz nam dwojgu o twoją miłość się spierać. Kochałam cię, Piękną Panienką z Astolatu zwana, przeto do pań wszystkich się zwracam o westchnienie nad sobą prosząc. Pomódlcie się nade mną i pogrzebem mnie uczcijcie i grosz żałobny na Mszę Świętą za duszę moją dajcie. Bóg mi świadkiem, że dzieweczką czystą ja umarłam. Módl się za moją duszę, Panie Lancelocie, ty, który rycerzem niezrównanym jesteś".

A kiedy list odczytano, zapłakali król, królowa i rycerze wszyscy z żalu nad skargą panienki. Potem po Pana Lancelota posłano. A kiedy rycerz całego listu, słowo po słowie, wysłuchał, wówczas tak do króla powiada:

— Panie mój, królu Arturze. Wielce ja nad śmiercią tej pięknej panienki boleję, ale, Bóg widzi, że jeśli przeze mnie ona umarła, tom tego nie chciał. Nie powiem ja o niej nic innego, tylko że piękna i dobra zarówno była, wielem też od niej serca doznał, ale nie moja to wina, że bez żadnego pomiarkowania mnie ona kochała.

A wtedy rzeknie mu król:

— Tobie powierzam, abyś nad jej pogrzebem pieczę miał. Niech pochowana będzie godnie.

— Panie — Pan Lancelot odpowie — uczynię wszystko, aby piękny miała pogrzeb.

Na drugi dzień pochowano Elaine ze wspaniałością wielką. Pan Lancelot grosz żałobny za jej duszę dał, a z nim razem grosze żałobne ofiarowali wszyscy rycerze Okrągłego Stołu, którzy podówczas w Kamelocie się znajdowali. Zasię królowa po Pana Lancelota posłała i prosiła rycerza, aby jej to przebaczył, że się nań gniewała niesłusznie. Tedy chętnie jej to darował.

A potem, przez całą zimę, na dworze króla Artura różnymi sposobami się zabawiano łowy urządzając wsze-

lakie i z sokołami gonitwy i harce i turnieje i spotkania zbrojne panów. A wszędzie i zawsze Pan Lawen zaszczytne miejsce brał i w sławę wielką u rycerzy Okrągłego Stołu on urósł.

KONIEC ROZDZIAŁU DWUDZIESTEGO SIÓDMEGO
O PANU LANCELOCIE I PIĘKNEJ PANIENCE Z ASTOLATU

ROZDZIAŁ XXVIII O WIELKIM TURNIEJU W DNIU PANNY MARII GROMNICZNEJ

W czasie godów, obchodzonych na pamiątkę Narodzenia Chrystusa Pana, wielu na dworze królewskim zebrało się rycerzy. Co dzień też gry rycerskie urządzano. Zasię Pan Lawen tak dzielnie wówczas w szrankach się potykał, że mało kto zręcznością mógł mu dorównać. To też raz po raz pierwszym go obwoływano i mówili powszechnie rycerze, że w najbliższą niedzielę Zielonych Świąt do Bractwa Okrągłego Stołu przyjętym będzie.

Ale Pan Lancelot w pomniejszych gonitwach udziału nie brał obiecując na wielkim turnieju dopiero wystąpić. Tedy po Bożym Narodzeniu król Artur zwołał do siebie rycerzy i uradzono wielką zabawę rycerską z turniejem wspaniałym wpodle Westminsteru w dniu Panny Marii Gromnicznej urządzić. Uradowało się tym szczerze wielu rycerzy i zaraz pilnie sposobić się zaczęli, aby w jak najlepszym stanie móc w owym dniu w szrankach wystąpić. Zasię królowa Ginewra Pana Lancelota do siebie przywoławszy rzekła mu:

— Na tym turnieju, co się odbyć ma, z moim znakiem na hełmie wystąpisz. A dam ci od mojej szaty rękaw złocisty. Przeto, proszę cię, panie, jeślim ci miła, do walki pilnie się sposób, aby o sławie twojej głośno potem mówiono.

— Pani — Pan Lancelot jej odpowie — uczynię tak.

A kiedy przyszła pora, powiedział rycerz Panu Borsowi, że pojedzie Pana Lawena tylko ze sobą biorąc do pustelni jednej w windsorskim lesie, gdzie dobry pustelnik, Pan Brastias, mieszkał, tam bowiem zamierza czas jakiś w spokoju przepędzić, ażeby potem do turnieju wypoczętym stanąć.

Zasię wymknęli się oni z Panem Lawenem ze dworu tak cicho, że nikt, prócz najbliższych Pana Lancelota krewnych, nie wiedział, co się z rycerzem stało. A bądźcie pewni, że jak najlepszego u pustelnika doznał Pan Lancelot przyjęcia. Co dnia nad źródełko, co tam w pobliżu tryskało, chodził i w trawie leżąc patrzył, jak się bąbelki lekuchne na wodzie pluskającej wzdymają. Nieraz i sen go tam chwycił.

Zasię w owym czasie pani jedna w lesie tym przebywała. A łowczyni z niej była nie lada. Co dnia na łowy się wyprawiała, a nigdy mężczyzn zawsze niewiasty tylko ze sobą biorąc. A władały one niewiasty łukami nader sprawnie i łanię, czy to w kniei czy w polu, umiały ustrzelić. A wyjeżdżały one w las w łuki i strzały zbrojne, i rogi miały ze sobą i noże myśliwskie, także i psy zacne.

Owóż zdarzyło się, że ta pani, łowczyni wielka, łanię ścigała za głosem psów swoich zdążając. Łania, utrudzona już wielce, źródełka dopadła, gdzie Pan Lancelot śpiący spoczywał i przez dłuższą chwilę jak bez ducha tam leżała. Wreszcie psy ku niej nadbiegły hałas okropny z radości czyniąc, całkiem już były bowiem z tropu wypadły. Na to i łowczyni nadjeżdża poznawszy po radosnym psów ujadaniu, że łanię nad źródełkiem znalazły. Tedy chyżo łuk swój napina i strzałę mocną wypuszcza. Ale, że za wysoko mierzyła, miast łani Pana Lancelota głęboko w udo ugodziła. Ból czując jak szalony rycerz z ziemi się porwał i panią, która go podstrzeliła, ujrzał. A widząc, że z niewiastą ma sprawę, tak jej powiedział:

 — Pani,

— Pani, albo też panno, kimkolwiek jesteś, w złej chwili łuk swój napięłaś. Diabeł cię chyba strzelać uczył.

— Daruj mi, miły panie — ona odpowie — niewiastą jestem szlachetnego rodu, w tej kniei nawykłą polować, prawdziwie też nie dostrzegłam ciebie. Łania tu nad źródełkiem była, którą chciałam ustrzelić, ale mi ramię drgnęło.

— Niestety — Pan Lancelot na to rzeknie — wielkąś mi uczyniła krzywdę.

I tak odjechała ta pani, zasię pan Lancelot, jak potrafił najlepiej, strzałę z rany wyjął, ale ułamał się grot i w ciele pozostał. Tedy krwawiąc ledwo do pustelni rycerz się dowlókł. Słusznie też mniemać możecie, że się wielce złą przygodą Pana Lancelota Pan Lawen z pustelnikiem zasmucili. Nic im jednak rycerz nie rzekł, jak i kto go zranił. Z wielką biedą pustelnik grot z uda rannego wydobył, ale wiele przy tym krwi Pan Lancelot utracił i rana dolegała mu srodze. Przeto jęknie:

— Ach, litości! spośród wszystkich ludzi jam najnieszczęśliwszy. Kiedy tylko o sławie zamyślam, zawsze zła mnie jakaś przygoda spotyka. Ale, tak mi dopomóż Bóg, niech się co chce dzieje, a na turnieju w dniu Panny Marii Gromnicznej w polu stanę.

Uczyniono tedy wszystko, aby rycerza uleczyć. A kiedy nadszedł dzień wyznaczony, Pan Lancelot z Panem Lawenem siebie i konie swoje pięknie przystroiwszy pod Westminster pojechali i w polu w czas stanęli. A wielu rycerzy zacnych, każdy ze swymi ludźmi, tam ściągnęło. Sam król Artur w pole z dwustu rycerzami wystąpił, a większość z nich do Bractwa Okrągłego Stołu należała. Zasię na wzniesieniu starzy rycerze z królową zasiedli, aby osądzić, komu pierwszeństwo się należy.

A kiedy otrąbiono turnieju otwarcie, ruszyli rycerze do walki mieczami się i włóczniami zawzięcie w zgiełku turniejowym rażąc. Sam król Artur w szranki skoczył stu rycerzy za sobą mając. Zaraz też czterech szermierzy jednego po drugim na ziemię obalił. A nawet, kiedy włócznię złamał, pięknie bardzo sobie poczynał.

I tak, rycerz za rycerzem w szranki wyjeżdżał: Pan Gawen, i Pan Gaheris, i Pan Agrawen i Pan Mordred i wielu innych. Każdy z zapałem na przeciwnika nacierał — jedni niepowodzenia doznając, inni wielką się sławą z powodu dzielności swojej okrywając.

Pan Lancelot wszystko to, co się na polu działo, widział. I odrazu jako piorun na pole z Panem Lawenem runął. Z Panem Gawenem się spotkał i z wielką siłą z koniem razem go obalił, potem jednego rycerza po drugim na ziemię strącał, a wszystko to jedną włócznią zdziałał. Tymczasem Pan Lawen z Panem Palamidesem się starł, a z takim rozpędem i taką siłą się zwarli, że obaj razem z końmi na ziemię runęli. Ale wnet znowu koni dosiedli. Wówczas Pan Lancelot z Panem Palamidesem się spotkawszy na dobre go obalił.

I tak Pan Lancelot tyle tylko czasu tracąc ile go trzeba, aby włócznię zmienić, trzydziestu rycerzy w mgnieniu oka prawie pokonał, a większość z nich rycerzami Okrągłego Stołu była.

Gniew zdjął króla Artura, gdy na takie żniwo Pana Lancelota patrzył i dziewięciu co najlepszych rycerzy zebrawszy gotował się z nimi na Pana Lancelota i Pana Lawena uderzyć.

Dostrzegł to Pan Garet i do Pana Borsa powiedział:

— Cokolwiek by z tego wyniknąć miało, podjadę ja do pana swego, Lancelota, ażeby go pomocą swoją wesprzeć. On to przecie rycerzem mnie uczynił.

A na to Pan Bors:

— Tego ci czynić nie radzę, chyba żebyś w przebraniu był.

— Tedy wnet mnie w przebraniu ujrzysz — Pan Garet mu odrzeknie.

I do rycerza jednego rodem z Walii skoczył, który na ziemi legł, aby się skrzepić, albowiem ciężką ranę od Pana Gawena był otrzymał. Na braterstwo rycerskie go zaklinając prosił Pan Garet rycerza, ażeby mu swojej zielonej tarczy użyczył.

— Chętnie to uczynię — ów odpowie.

Tedy tarczę jego chwyciwszy ile tylko w koniu mocy, Pan Garet ku Panu Lancelotowi skoczył i, jak towarzysz wierny, u boku jego stanął. A dla miłości dawnej to czynił, którą mu Pan Lancelot swego czasu był okazał.

Tak więc król Artur, a z nim dziewięciu rycerzy, Pana Lancelota z Panem Lawenem i Panem Garetem przeciw sobie teraz mieli. Zasię Pan Garet takich czynów rycerskich dokonywał, że dziwowali się wszyscy, co to za rycerz taki z tarczą zieloną się zjawił. Także i Pan Lancelot Pana Gareta nie poznał i wraz z innymi się zdumiewał na rycerza walczącego spoglądając. A przeciągał się długo ów turniej i do wieczora prawie potykali się rycerze. Coraz to bowiem któryś z rycerzy Okrągłego Stołu wesprzeć swojego króla skoczył, gdyż nie na żarty gniewny był król Artur, iż wespół z rycerzami swoimi rady Panu Lancelotowi i jego towarzyszom dać nie mogą. Tak więc, kiedy wiele ciosów wspaniałych z jednej i drugiej strony padło, zasię zwycięstwo na żadną z nich przychylić się nie chciało, król do Pana Gawena powiada:

— Poradź mi, siostrzeńcze, co mam uczynić?

— Panie — Pan Gawen odpowie — dam ci ja dobrą radę. Każ koniec turnieju otrąbić, gdyż, wierzaj mi, nie

przyda się to na nic z Panem Lancelotem z Jeziora i z bratem moim, Panem Garetem, walczyć; a Pan Garet to jest ów z zieloną tarczą rycerz. Tym ci więcej, że ich ten dobry młody rycerz, Pan Lawen, wspomaga. Chyba, żebyśmy w dziesięciu, albo też i dwunastu rycerzy na jednego natarli, ale to by nam nie sławę tylko hańbę przyniosło.

— Prawdę mówisz — król mu rzeknie — wstydem by to dla nas było większą gromadą uderzyć, skoro i tak tylu nas przeciw nim trzem stanęło.

Tedy trąbieniem rycerzy z pola odwołano. Podjechał król Artur do Pana Lancelota i na wieczerzę go do siebie poprosił, a z nim i innych rycerzy. Zebrali się przeto u króla wszyscy i ucztowano, a weselono się szczerze, zasię Pan Lancelot nagrodę otrzymał. Wówczas też opowiedział on królowi i królowej, jak w lesie windsorskim od pani, co łowami się bawiła, postrzał w udo był otrzymał. Podczas uczty też król Artur Panu Garetowi przyganiał, że towarzyszy swoich opuściwszy przy Panu Lancelocie przeciw nim stanął.

— Panie mój — Pan Garet odpowie — on mnie rycerzem uczynił, a kiedym go w tak srogich opałach ujrzał, tom pomyślał sobie, że mi honor mój rycerski dopomóc mu nakazuje. Widziałem ja, jak dzielnie stawał i wstyd mnie chwycił, kiedym tylu szlachetnych rycerzy na jednego Pana Lancelota nacierających zobaczył.

— Prawdziwie — król Artur na to mu powie — dobrze mówisz. Zgodnieś też z honorem postąpił. A za ten zaszczyt, jaki sam sobie czynisz, póki mego życia miłować ciebie i ufać tobie będę. Albowiem powinnością to jest rycerza, na cześć rycerską dbałego, towarzyszowi swojemu w niebezpieczeństwie będącemu na pomoc śpieszyć. Tylko ten, kto szlachetny, nie ścierpi, aby

szlachetnych niesława dotknęła. Ale taki, co bez honoru jest i z tchórzostwem za pan brat żyje, ten ci innego człeka w niebezpieczeństwie widząc uprzejmości, ani też dobroci w żadnym sposobie w sobie nie dopuści. Tchórze bowiem bezlitośni są, zasię człek poczciwy tak innym czyni, jako by pragnął, aby i jemu czyniono.

Tak oto odbywały się w owych czasach uczty wspaniałe, przy których króle i książęta zasiadali, i biesiady, i gry rycerskie, i zabawy przeróżne i wszelkie rozrywki szlachetne. Zasię ten, kto rycerskim, szczerym i wiernym druhom swoim był, w onych dniach w miłości ludzkiej chadzał.

KONIEC ROZDZIAŁU DWUDZIESTEGO ÓSMEGO
O WIELKIM TURNIEJU W DNIU PANNY MARII GROMNICZNEJ

ROZDZIAŁ XXIX O KRÓLOWEJ GINEWRY PRZEJAŻDŻCE MAJOWEJ I O TYM CO Z TEGO WYNIKŁO

I tak zbieżał czas od dnia Panny Marii Gromnicznej do Wielkiejnocy, a gdy i ta przeminęła, miesiąc nadszedł maj, w którym każde mężne serce rozkwita, aby owoc wydało. Gdyż podobnie jak drzewa i zioła kwieciem wystrzelają w maju, tak i każde żywe serce wiosenną ochotą wzbiera, ażeby w żywych czynach zakwitnąć. Więcej bowiem, niż każdy inny miesiąc, ma to ów maj w sobie, że odwagę ludzi na nowo krzepi i przywołuje im na pamięć wspomnienie dobroci doznanej i usług oddanych i wielu uczynków serdecznych, o których przez niedbałość swoją byli zapomnieli. A jako miesiąc maj po ogrodach rozlicznych kwitnie i rozkwita, tak niech i serce szlachetne owoc wyda, najpierw Bogu na chwałę, potem na radość tym, którym wierność swoją przyrzekło.

A wydarzyło się w miesiącu maju, że królowa Ginewra przywołała do siebie dziesięciu rycerzy Okrągłego Stołu i oznajmiła im, iż na przejażdżkę z nią rankiem majowym pojadą w pola i lasy wokół Westminsteru się rozciągające.

— A nakazuję wam — mówiła — abyście rumaki piękne wzięli i strój wszyscy przywdzieli na się zielony z sukna, albo i jedwabiu. Ja zasię dziesięć pań z dworu mego ze sobą wezmę, każdy przeto rycerz damę powie-

dzie. I każdy giermka niech ze sobą zabierze i dwóch rękodajnych.

Tedy przystroili się co najpiękniej i wszystko do tej przejażdżki przygotowali i na drugi dzień rano z królową pojechali. I tak sobie w wesołości wielkiej i rozradowaniu po lasach i po błoniach, kędy im się podobało, jeździli.

Owóż, o siedem mil od Westminsteru rycerz jeden, Meliagransem zwany, mieszkał na zamku, co go w darze od króla Artura był otrzymał. A zdawna już pragnął ten rycerz królowę porwać, ale nie odważył się nigdy na ten niecny czyn, póki Pan Lancelot królowej towarzyszył. A miała wówczas królowa we zwyczaju nie wyjeżdżać inaczej, jak ze świtą całą zbrojnych rycerzy, po większej części młodzików na zaszczyty łasych, których też i rycerzami królowej nazywano. Ale teraz ów rycerz, Pan Meliagrans, królowę z dawna śledząc wiedział był, że ten zamiar przejażdżki powzięła, że Pan Lancelot towarzyszyć jej nie będzie i że tym razem dziesięciu tylko rycerzy jechać z nią miało, bez zbroi, w zielonych jeno szatach majowych. Pomyślał też sobie, że oto dobra mu się sposobność nadarza, ażeby królowę pochwycić. I zaraz dwudziestu ludzi zbrojnych zgromadził i stu łuczników, którzy mieli na rycerzy królowej uderzyć.

I tak, kiedy królowa i jej rycerze wesoło i godnie się zabawiali zioła przeróżne, mchy zielone i kwiaty zbierając, Pan Meliagrans z lasu ze stu dwudziestu zbrojnymi ludźmi wypadł i zakrzyknął, ażeby nikt z miejsca się nie ruszał.

— Zdradziecki rycerzu! — królowa zawoła — co czynić zamierzasz? Czy ci nie wstyd? Pomyśl, że sam synem królewskim będąc i rycerzem Okrągłego Stołu chcesz niesławę na pana swojego, najszlachetniejszego

z królów, który cię rycerzem uczynił, ściągnąć. Siebie i rycerstwo całe hańbą okryjesz. Ale wiedz to, że znieważyć ci się nie dam i prędzej gardło sobie poderznę, niżbyś mi ubliżyć miał.

— Całkiem mnie wymowa twoja nie wzrusza — Pan Meliagrans jej odpowie. — Niech się, co chce, dzieje, nigdy mi się też jeszcze lepsza sposobność nie nadarzyła, abym cię porwać mógł, przeto już cię nie wypuszczę.

Wówczas dziesięciu szlachetnych rycerzy, co z królową byli, wszyscy perswadować Panu Meliagransowi zaczęli, ażeby wstydu na siebie nie ściągał, królowej poniechał i nie zmuszał ich do tego, aby na pewną śmierć się wydali, jako byli bez zbroi, królowej broniąc.

Przecież Pan Meliagrans ustąpić nie chciał, przeto owych dziesięciu rycerzy Okrągłego Stołu mieczów dobyło i stanęło mężnie przeciw napastnikom w miecze i włócznie zbrojnym. Ale Pan Meliagrans wielką nad nimi przewagę miał, zaraz też sześciu z nich ciężko rannych na ziemię padło. Pozostali czterej długo walczyli, ale w końcu rany srogie otrzymali.

Kiedy zobaczyła królowa, że już śmierć tylko niechybna jej rycerzy czeka, z litości i żalu nad nimi zgodziła się z Panem Meliagransem na zamek jego jechać, pod tym jednakowoż warunkiem, że ludziom swoim odstąpić rannych każe oraz że tam jej rycerzy powiozą, kędy i ona jechać ma. — Gdyż — mówiła — wolej mi śmierć sobie zadać, niż z tobą iść, jeśli ci oto moi szlachetni rycerze ze mną nie będą.

Przystał na to Meliagrans i na rozkaz królowej walki dalszej zaprzestano. Potem rannych rycerzy na konie wsadzono; jedni z nich na siodle usiedzieć mogli, inni wpoprzek grzbietów końskich żałośnie zwisali — i w wielkim pośpiechu na zamek Meliagransa pojechano. Tam wymógł Meliagrans na królowej i jej rycerzach, iż za-

den od pani swej nie odjedzie, wielce się bowiem był lękał, ażeby wieść o porwaniu Ginewry do Pana Lancelota nie dotarła. Ale królowa potajemnie przyzwała do siebie pazia, co koniem sprawnie władał, i pierścień mu swój dała przykazując, aby go przy sobie miał, zasię przy pierwszej sposobności do Pana Lancelota z Jeziora się wymknął i o pomoc go prosił. — A konia — mówiła — nie oszczędzaj i czy po ziemi, czy też przez wodę, co siły gnaj.

Doczekał pazik sposobnej chwili, chyłkiem na konia wskoczył, ostrogą go wspiął i, jak mógł najchyżej, precz od zamku popędził. Dojrzał go jednakże Pan Meliagrans i pojął, że do Pana Lancelota ów paź śpieszy. Zaraz też pogoń za nim na dobrych koniach posłał, ale chociaż z łuków za paziem strzelano, przecie im się umknął, a niezadługo i przed Panem Lancelotem stanął. Wówczas mu zlecenie królowej powtórzył i jej pierścień dał, zasię Pan Lancelot wykrzyknie:

— O biada! Hańbą się na zawsze okryję, jeśli tej pani szlachetnej z rąk napastnika nie wyrwę.

Zaraz też o zbroję zawołał, a podczas kiedy ją wdziewał, opowiadał mu paź, jak dziesięciu rycerzy nad podziw dzielnie w obronie królowej walczyło, jak wreszcie, ażeby im życie ocalić, zgodziła się z Panem Meliagransem jechać.

— Biada! — Pan Lancelot zawoła — że też ta pani najszlachetniejsza zniewagę taką ścierpieć musiała. Francję całą za to bym dał, żeby się tam wówczas przy niej w dobrej zbroi znaleźć!

Kiedy się Pan Lancelot uzbroił i konia dosiadł, wtenczas pazia królowej do Pana Lawena posłał, aby mu powiedział, w jakiej sprawie tak nagle rycerz wyjechał, a także prosił go o to, ażeby pod zamek Pana Meliagransa przybył.

 Powiadają,

Powiadają, że Pan Lancelot z koniem do rzeki wpodle westminsterskiego mostu skoczył i tak Tamizą aż do Lambeth popłynął. Potem do brzegu dobiwszy przed siebie pognał i niezadługo na tym miejscu się znalazł, gdzie dziesięciu rycerzy z Panem Meliagransem walczyło. Stamtąd ścieżyną prosto aż do drogi przez las wiodącej pojechał. A tam trzydziestu łuczników przez Pana Meliagransa posłanych go czekało, ażeby mu konia ustrzelić. Bowiem był im Pan Meliagrans nakazał, aby na samego Pana Lancelota się nie porywali, — gdyż zbyt trudno — mówił on — byłoby rycerza tego pokonać.

I zaczęli wykrzykiwać ci łucznicy, ażeby Pan Lancelot nazad wracał i dalej drogą tą nie jechał. A kiedy na nich nie zważając przed siebie ruszył, konia jego za cel sobie wzięli, zasię gęsto strzały ich trafiały i wiele ciężkich ran koń Pana Lancelota był otrzymał. Nie mogąc więc dalej na nim jechać stanął rycerz na ziemi, a tyle dołów i krzewów gęstych od łuczników Meliagransowych go oddzielało, że i ścigać ich nie próbował.

Pieszo drogą przed siebie ruszył, niesporo mu jednak iść było w ciężkiej zbroi do tego tarczę i włócznię niosąc. Słusznie też mniemać możecie, że go złość brała wielka na tę mitręgę. Przecież nie chciał nic ze swego rycerskiego ekwipunku porzucić słusznie zdrady Pana Meliagransa się obawiając.

A właśnie zdarzyło się, że wóz jeden do lasu po drzewo był przyjechał. Tedy Pan Lancelot do woźnicy powiada:

— Rzeknij, człecze, co ci mam dać za to, żebyś mnie do zamku o dwie mile stąd odległego zawiózł?

— Noga twoja na wozie tym nie stanie — woźnica mu odpowie — gdyż pan mój, Pan Meliagrans, po drzewo mnie tu przysłał.

Na to rzucił się na niego Pan Lancelot i takim go razem zdzielił, że woźnica martwy padł. Towarzysz jego lękając się, ażeby go taki sam los nie spotkał, wnet krzyknie:

— Miły panie, tylko mnie oszczędź, a, dokąd chcesz, cię zawiozę.

Wówczas Pan Lancelot na wóz skoczył, zasię woźnica konie do galopu zaciął. Z tyłu za wozem rumak Pana Lancelota podążał, a więcej niż czterdzieści strzał w nim tkwiło.

Półtorej godziny od tej chwili ledwo minęło, a królowa Ginewra w zamku Meliagransa z paniami swymi we wnęce okiennej siedząc zbrojnego rycerza ujrzała, jak na wozie stojąc nadjeżdżał.

— Spójrz, pani — jedna z dwórek jej rzeknie — oto rycerz w pełnej zbroi na wozie jedzie, tak myślę, że wieszać chyba go będą.

Ale królowa po tarczy poznała, że to Pan Lancelot przybywa i powiada:

— Widzę ja teraz, że nie zginie, kto przyjaciół ma wiernych. Ach, niestety, wielce szlachetny rycerzu, w srogich się snać znalazłeś opałach, skoro na wozie jedziesz.

Tymczasem Pan Lancelot do bram zamku przybył i z wozu zeskoczywszy zakrzyknął wielkim głosem, aż się cały zamek zatrzęsie:

— Gdzie jesteś zdrajco nieszczery, Panie Meliagransie, rycerzu Okrągłego Stołu? Wystąp, rycerzu zdradziecki, z towarzyszami swymi, albowiem przybyłem tu, Pan Lancelot z Jeziora, ażeby walczyć z tobą.

To powiedziawszy rycerz bramę wywalił odźwiernemu taki cios rękawicą swoją za uchem wymierzywszy, że ów zamroczony na ziemię padł.

Zasię Pan Meliagrans usłyszawszy, że Pan Lancelot

 przybył,

przybył, do królowej Ginewry przybieżał i na kolana przed nią padł na jej łaskę całkowicie się zdając i prosząc, ażeby gniew Pana Lancelota pohamować chciała.

— Zawszeć lepszy pokój, niźli wojna — królowa rzecze — a im mniej wrzawy, tym i dla dobrej mojej sławy lepiej.

Tedy z dwórkami swymi na dół do Pana Lancelota zeszła i podziękowała mu za trudy, jakie sobie dla niej był zadał. Powiedziała mu też o Pana Meliagransa skrusze i prosiła, aby do zamku Pan Lancelot wszedł pokój z Meliagransem uczynić.

— O pani — Pan Lancelot jej powie — jeśliś zgodę z nim zawarła, to i ja zwady z Panem Meliagransem nie chcę, chociaż niecnie i tchórzliwie on ze mną postąpił. Ale gdybym był wiedział, że tak rychło do porozumienia z nim dojdziesz, nie śpieszyłbym tu do ciebie, jak szalony.

— Jakto! — królowa zawoła — dobrych czynów swoich będziesz żałował? Wiedz, że miłością swoją, ani zachodami żadnymi do zgody by mnie on nie nakłonił, gdyby nie to, że rozgłos wszelki mógłby dobrej mojej sławie zaszkodzić.

— Pani — Pan Lancelot na to jej powie — wszak dobrze wiesz, że nigdy bym się z gadek ludzkich, ani też złych języków mielenia nie cieszył. Nie masz też na świecie poza panem moim, królem Arturem, i tobą, pani, — króla, królowej ani też nikogo innego, kto by to sprawił, że odjadę stąd Pana Meliagransa między żywymi zostawiając.

Potem razem z królową do zamku wszedł i na jej rozkaz zbroję zdjął. A potem o rycerzy jej rannych zapytał. Zawiodła go, gdzie rycerze spoczywali. A uradowali się oni wielce jego przybyciem, zasię on z żalem rany ich ciężkie oglądał. Potem o przygodach im swo-

ich opowiedział, jak przymuszony był na wozie jechać. Użalali się nad sobą wzajem i gdyby nie zakaz królowej, chętnie by się byli na Panu Meliagransie pomścili.

Przez długi czas jeszcze potem Pana Lancelota „Rycerzem z Wozu“ nazywano. Niejednego czynu w tym czasie on dokonał i nie byle jakich przygód doświadczył. Ale teraz opowieść o „Rycerzu z Wozu“ zostawimy i do innych przejdziemy.

KONIEC ROZDZIAŁU DWUDZIESTEGO DZIEWIĄTEGO
O KRÓLOWEJ GINEWRY PRZEJAŻDŻCE MAJOWEJ I O TYM CO Z TEGO WYNIKŁO

ROZDZIAŁ XXX O SPISKU PRZECIW PANU LANCELOTOWI

W tym samym miesiącu maju, kiedy to każde żywe serce rozkwita i owocu zawiązek w sobie niesie, zdarzyło się, że złość wielka i nieszczęście po państwie całym króla Artura się rozlały. A nie ustały one, aż wszystek kwiat rycerstwa całego świata zniszczyły. Zasię całe to nieszczęście sprawiło dwóch rycerzy niegodnych, z których jeden Pan Agrawen, drugi — Pan Mordred się zwał, obaj króla Artura siostrzeńcy i Pana Gawena bracia. Ten to Pan Agrawen z Panem Mordredem skrytą nienawiść ku królowej, Damie Ginewrze i ku Panu Lancelotowi z Jeziora w sercach swoich żywili i, czy dniem, czy nocą, na rycerza tego oko mieli.

I oto przyszedł taki dzień nieszczęśliwy, kiedy Pan Agrawen na głos w obecności wielu rycerzy powiedział, że ta przyjaźń, co między królową i Panem Lancelotem trwa, ujmę rycerstwu całemu czyni i niesławę na tak szlachetnego króla, jakim Artur jest, ściąga. Ale Pan Gawen nie chciał żadnych takich gadek słuchać, ani też Pana Agrawena strony nie trzymał. Owszem, surowo bratu swojemu zapowiedział, żeby z nim o tych sprawach nie mówił, wiedział bowiem dobrze Pan Gawen, do jakiego nieszczęścia mogłaby zwada króla z Panem Lancelotem doprowadzić. A i to pamiętał, że wiele razy szlachetnymi czynami Pan Lancelot dobroci swojej

 i wierności

i wierności dowody dawał. Także dwaj inni bracia, Pan Gaheris i Pan Garet, o niecnym oszczerstwie Pana Agrawena nic wiedzieć nie chcieli.

Ale piąty z braci, synów królowej z Orkney, Pan Mordred, ten sam, który z dobrego Pana Parcywala się naśmiewał, kiedy ów był dopiero na dwór królewski przybył, chętnie z Panem Agrawenem się stowarzyszył. Albowiem serce on miał zazdrosne i zawsze gotów był źle o innych sądzić. Wówczas tamci trzej — Pan Gawen, Pan Gaheris i Pan Garet odeszli smutni biadając, że złość ludzka państwo całe na szwank narazić może i zgodę szlachetnego Bractwa Okrągłego Stołu zniszczyć.

Zasię Pan Agrawen z Panem Mordredem do króla się udali i powiedzieli mu, że nie ścierpią dłużej Pana Lancelota niecnych postępków, albowiem króla samego on zdradza. Ale nie uwierzył im król i dowodów na to zażądał, gdyż, jak francuska książka o nim powiada, niechętnie był czego złego słuchał o rycerzu, który tyle dobrego i tak często jemu i królowej wyświadczał. A wiedziano też powszechnie, jak bardzo Pana Lancelota miłował.

Tedy owi dwaj bracia spisek uknuli, jakby to Pana Lancelota u królowej przychwycić i żywego, czy martwego do króla zawlec. I tak, na drugi dzień dwunastu jeszcze innych rycerzy zebrawszy wszyscy w komnacie jednej na zamku Carlisle, gdzie królowa przebywała, się ukryli. Takim sposobem Pana Lancelota osaczyć zamierzali, gdyby go królowa do siebie przywołać zechciała. Pan Lancelot tchórzem nie był, zasię dobrej woli i wierności pełne serce mając niewiele sobie czynił z kłamliwych języków gadania. To też, gdy królowa znać mu dała, że pomówić z nim pragnie, jak szczeremu rycerzowi przystało, na zamek do niej pośpieszył. I tak w pułapkę wpadł. A w walce, co się wywiązała, nie lada

 miał robotę

miał robotę tylu naraz nieprzyjaciół przeciw sobie widząc. Przecie Pana Agrawena od pierwszego ciosu zaraz zabił, potem i tamtych dwunastu rycerzy martwych na ziemi rozciągnął. Także i Pana Mordreda ranił, ten jednakowoż umknąć zdołał, na konia wskoczył i krwią cały ociekając do króla pognał.

Wtenczas opowiedział Arturowi, co i jak było i jak wszyscy rycerze, oprócz niego jednego, życie postradali. Tedy uwierzył król Pana Mordreda oskarżeniom i wykrzyknie:

— O biada mi! Że też mógł kiedy taki rycerz, jak Pan Lancelot, przeciw mnie stanąć! Wiem ja teraz, że już nadszedł kres szlachetnemu Bractwu Okrągłego Stołu, bowiem za Panem Lancelotem wielu innych rycerzy mnie porzuci. Takoż wydarzyło się, że i honor mój splamiony został i nie oczyszczę go inaczej — jedno tylko: królowa umrzeć musi.

Tedy sąd zwołano i spisano wyrok, że królowa karę śmierci ma ponieść, albowiem takie w owych czasach prawo było, iż kogo winnym zdrady przeciw królowi uznano, choćby i z najwyższego stanu i rodu pochodził, gardło dać musiał. Owóż i królowę śmierć czekała, a skazano ją na spalenie na stosie.

Prosił król Pana Gawena, aby najlepszą zbroję na siebie wdziawszy z braćmi swoimi, Panem Gaherisem i Panem Garetem, królowę na miejsce stracenia powiózł, gdzie wyroku miała wysłuchać i śmierć w ogniu ponieść. Ale Pan Gawen przekonanym będąc że niewinną jest królowa zdrady, o którą ją oskarżano, nie chciał, aby kiedykolwiek powiedziano o nim, że w jej sromotnym straceniu udział jaki brał. Także Pan Gaheris i Pan Garet nieradzi byli z królową jechać, ale młodszymi będąc nie śmieli się królowi przeciwić. — Jeśli na twój wyraźny, panie, rozkaz — mówili — udać się tam mamy,

to już nam to wybacz, że bez zbroi pojedziemy i broni żadnej ze sobą nie biorąc.

I tak, wyprowadzono królowę z jej zamku i na śmierć się gotowała. A zaczęło się też wtedy powszechne płakanie, a zawodzenie, a rąk załamywanie — tak panowie możni i damy królowę żegnali. Niewiele też wówczas o porządku myślano i mało kto z rycerzy zbroję na siebie wdział.

A kiedy nadeszła chwila, że ogień pod stos miano podłożyć, konie ostrogami bodąc i do skoku je zrywając zbrojną gromadą Pan Lancelot ze swoimi towarzyszami nadjechał, a kto im na drodze stanął, wszystkich ścinali. I tak, w tym zgiełku i zamieszaniu, kiedy to Pan Lancelot to tu, to tam się rzucał, zdarzyło mu się dwóch szlachetnych rycerzy, Pana Gaherisa i Pana Gareta, zabić. Bez zbroi bowiem obaj byli i całkiem na tę napaść nie przygotowani. Prawdę rzekłszy, nie dostrzegł ich Pan Lancelot, i tak martwych w gęstwie trupów potem znaleziono.

A gdy tego Pan Lancelot dokonał, że jednych zabił, drugich do ucieczki przymusił, wprost do Damy Ginewry podjechał i na koniu swoim za sobą ją posadził i prosił, aby się niczego nie lękała i dobrej była myśli. A słusznie to mniemać możecie, że rada była królowa śmierci uniknąć, to też gorąco Bogu i Panu Lancelotowi dziękowała.

Tak to Pan Lancelot z królową w drogę się puścił i do zamku swego, zwanego Strażnicą Radosną, ją zawiózł. Tam, jak szlachetnemu rycerzowi przystało, cześć wielką jej okazywał. Wielu zaś panów możnych i niektórzy królowie rycerzy swoich dobrych do zamku Pana Lancelota przysyłali; wielu też szlachetnych rycerzy sami z siebie do niego się udali.

A kiedy jawnym powszechnie się stało, że król Artur

z Panem Lancelotem są w zwadzie, wiele serc smutkiem się ścisnęło. Zasię sam król, gdy się dowiedział, jak Pan Lancelot królowę ze stosu porwał, i gdy o śmierci szlachetnych swoich rycerzy usłyszał, a zwłaszcza o Pana Gaherisa i Pana Gareta zgonie — z żałości wielkiej omdlał. A kiedy z omdlenia się ocknął, powiedział:

— O biada mi, żem kiedykolwiek koronę na głowę włożył! Dziś bowiem utraciłem towarzyszy szlachetnych, najlepsze rycerstwo, jakie tylko król chrześcijański zdolen był kiedy przy sobie zgromadzić. O biada, że się ta zwada okropna była zaczęła. Śmierć dwóch tych braci większą, niż jakakolwiek kiedy była, wojnę na nas ściągnie, bowiem z pewnością, skoro tylko Pan Gawen się dowie, iż Pan Garet zabitym został, już mi spokoju nie da, dopóki Pana Lancelota i całego rodu jego do zguby nie przywiodę, albo sam przez niego nie zginę. O Agrawenie, Agrawenie, niech się Jezus nad duszą twoją zlituje, gdyż twoja to i Pana Mordreda złość przeciw Panu Lancelotowi całą tę biedę sprawiła.

KONIEC ROZDZIAŁU TRZYDZIESTEGO
O SPISKU PRZECIW PANU LANCELOTOWI

ROZDZIAŁ XXXI O TYM JAK PAN LANCELOT OD KRÓLA I OD STRAŻNICY RADOSNEJ ODJECHAŁ

Przyszedł do Pana Gawena jeden taki, który mu powiedział, że Pan Lancelot królowę uprowadził i że blisko dwudziestu czterech rycerzy Arturowych poległo.

— Dobrzem to wiedział — Pan Gawen wówczas powie — że Pan Lancelot królowę odbije, albo też w walce o nią polegnie. A jeśli prawdę mam rzec, to, gdyby jej z pomocą nie pośpieszył, rycerzem bez honoru by się okazał, tym bardziej, że przez niego miała być na stosie spalona. Po rycersku on postąpił, jako i ja na jego miejscu bym uczynił. Ale gdzie są bracia moi? Dziwno mi, że o nich nie słyszę.

Tedy powiedział mu ów człek, że Pan Gaheris i Pan Garet obaj z ręki Pana Lancelota polegli.

— Temu nie uwierzę — Pan Gawen rzeknie — żeby Pan Lancelot brata mojego, Pana Gareta, zabił. Miłował ci go Pan Garet więcej niż mnie, więcej niż samego króla nawet. Pan Lancelot go rycerzem uczynił, a gdyby był tylko zechciał, poszedłby za nim Pan Garet i przeciwko królowi i nam wszystkim stanął. Dlatego nigdy w to nie uwierzę, żeby Pan Lancelot miał brata mojego zabić.

Ale kiedy w końcu dowiedział się, że naprawdę Pan Gaheris i Pan Garet z ręki Pana Lancelota zginęli, wszelka radość go opuściła. Na ziemię zemdlony upadł

 i przez

i przez długi czas, jak martwy, tam leżał. A kiedy wreszcie z omdlenia powstał, do króla z płaczem i krzykiem pobiegł i powiedział mu:

— O królu Arturze, panie mój i wuju, wiedz to, że od dziś walki z Panem Lancelotem szukać będę i nie spocznę, dopóki jeden z nas drugiego nie zabije. Przeto do wojny się gotuj, ażebym mógł krzywdę swoją pomścić.

A ściągnęło do króla Artura wielu rycerzy, grabiów i diuków, tak że wielkie wojsko miał przy sobie. Poczyniono tedy przygotowania, ażeby Pana Lancelota w jego zamku, Strażnicy Radosnej, oblec. Usłyszawszy o tym, Pan Lancelot towarzyszy swoich zgromadził, a trzymało z nim wielu rycerzy dobrych. Jedni z miłości dla niego, inni dla królowej to czynili. I tak, obie strony do walki, jak należy, się przysposobiły i nie brakło im nic z rzeczy na wojnie przydatnych.

Ale całkiem niechętnie Pan Lancelot do tej walki z królem się zbierał, przeto w zamku swoim warownym się zamknął, zaopatrzywszy go w zapasów dostatek i w ludzi siłę znaczną. Przez długi też czas, chociaż król z Panem Gawenem nadszedłszy całą Strażnicę Radosną i zamek i miasto wojskiem otoczyli, sam z zamku się nie wychylał i rycerzom swoim poza mury wyjeżdżać zakazał.

Aż zdarzyło się pewnego dnia — latem, w czas żniwa to było — że Pan Lancelot z muru w dół spojrzał i głośno do króla Artura i Pana Gawena przemówił:

— Dostojni panowie, do was obu się zwracam. Próżno mnie w tym zamku oblegacie. Sławy tym sobie nie zdobędziecie żadnej, bowiem, gdybym tylko zechciał, wnet bym z rycerzami moimi w pole wyjechał i rychły kres całej tej wojnie położył. Ale niech mnie Bóg od tego strzeże, abym kiedykolwiek miał wal-

 czyć z królem

czyć z królem najszlachetniejszym, który mnie rycerzem uczynił.

— Fe, mierzą mnie twoje słówka gładkie — król mu odpowie. — Wystąp, jeśli się tylko ośmielisz. A i to wiedz, żem ci wrogiem śmiertelnym i póki mego życia z tobą się nie pojednam. Tyś to rycerzy moich dobrych i krewniaków szlachetnych pozabijał i, jak zdrajca, królowę moją przemocą ode mnie porwałeś.

— Najszlachetniejszy panie mój i królu — Pan Lancelot odpowie. — Przyznaję to, żem rycerzy twoich dobrych uśmiercił i wielce tego ja żałuję. Alem walczyć z nimi był przymuszony życia swojego broniąc, gdyż inaczej oni by mnie zabili. A co się pani mojej, królowej Ginewry, tyczy, to ci powiem, że krom ciebie, panie, i Pana Gawena, nie masz na tej ziemi rycerza, który by się twierdzić ośmielił, żem kiedykolwiek zdrajcą się wobec ciebie okazał. I każdemu innemu rycerzowi — prócz ciebie, panie i Pana Gawena — gotów jestem stanąć, aby tego dowieść jako pani moja, królowa Ginewra, wierną ci jest i oddaną tak, jak każda istota ludzka panu swemu być powinna. Atoli podobało się tej pani w wielkiej łaskawości swojej względy mi okazywać i nad innych rycerzy mnie przekładać — tedy i ja ze swej strony wszystkom, co w mocy mojej było, czynił, ażeby sobie na jej miłość zasłużyć. Wiele też razy, panie mój, zdarzało mi się za nią walczyć i sameś mi dziękował, kiedym życie jej ocalił. Myślę ja teraz, że źle całkiem za moje dobre służby mi się odpłacasz, a i to także myślę, że cześć moja rycerska wielkiego by uszczerbku doznała, gdybym dopuścił, aby pani moja, królewska małżonka, sromotną śmiercią na stosie zginęła. Tym ci więcej, że z mojego tak powodu stać się miało. Tedy wydaje mi się, że skorom wiele razy dla niej walczył, kiedy o cudze sprawy szło, tym większe

miałem teraz prawo w słusznej sprawie dla niej za broń chwycić. Przeto, dobry i łaskawy panie mój, przywróć do łaski swojej królowę Ginewrę, gdyż, zarówno jak piękna, dobra jest i wierna.

— Przepadnij z dumną mową taką — Pan Gawen zawoła. — Co się pani mojej królowej tyczy, nigdy złego słowa o niej nie rzeknę. Ale ty, rycerzu przewrotny i nieszczery, coś miał w tym, żeby dobrego brata mojego zabić, Pana Gareta, który więcej ciebie, niż rodzonych swoich, miłował. Biada ci, swymi własnymi rękoma rycerzem go wszak uczyniłeś! Powiedz, czemuś zabił tego, który cię miłował tak bardzo?

— Nie wieleć mi to pomoże — Pan Lancelot na to rzeknie — ale jedno tylko ci powiem. Na wierność, com ją wysokiej godności rycerskiej winien, klnę się, że nie byłoby mi ciężej, gdybym swojego siostrzeńca, Pana Borsa z Ganisu, zabił. Niestety, że też takie nieszczęście na mnie spadło, żem Pana Gareta i Pana Gaherisa wcale nie dojrzał!

Ale Pan Gawen w zapamiętałości swojej trwał i nic przez to Pan Lancelot nie uzyskał, że zgody szukał. A z powodu wielkiego Pana Gawena gniewu i wuj jego, król Artur, wojnę tę prowadzić musiał. Tedy na drugi dzień z trzema wielkimi hufcami do walki wystąpił. Wówczas i Pana Lancelota towarzysze, dostatnio uzbrojeni i w porządku wielkim, jak szlachetnym rycerzom przystało, trzema naraz bramami z zamku wyjechali. Zasię przykazał im był Pan Lancelot, aby w bitwie, co nastąpi, króla i Pana Gawena za wszelką cenę oszczędzali.

I rozpoczęła się bitwa wielka, w której mnogo rycerzy padło. A zawsze Pan Lancelot, co tylko mógł, czynił, aby ludzi królewskich oszczędzać i zawsze król Artur Pana Lancelota na polu szukał, ażeby go zabić. Znosił

to Pan Lancelot i ciosów nie oddawał. Aż wreszcie Pan Bors z królem się spotkawszy włócznią z konia go zwalił. Poczem na ziemię skoczywszy miecza dobył, a do cięcia go wznosząc Pana Lancelota zapyta:

— Mamże tej wojnie kres położyć?

— Nie tak śmiało — pan Lancelot odpowie — jeśli ci głowa miła, odstąp, bowiem nie ścierpię nigdy, aby najszlachetniejszego króla, który mnie rycerzem uczynił, w moich oczach śmierć lub hańba spotkać miała.

Potem z konia zsiadłszy króla z ziemi podniósł i na siodle znowu go posadził. Wówczas też powiedział:

— Panie mój, królu Arturze, dla miłości Boga to uczyń i dalszej zwady zaniechaj. Sławy w wojnie tej nie zyszczesz, jeśli bowiem z całą siłą wystąpię, wnet was pokonam. Hamowałem się ja dzisiaj, chociażeś ty, ani nikt z twoich, oszczędzać mnie nie chciał. Panie mój, wspomnij, czegom dla ciebie na niejednym miejscu dokonał. Źle mi się za to odpłacasz.

A król Artur, kiedy na koniu już się znalazł, na Pana Lancelota popatrzył i łzy mu z oczu trysnęły. Pomyślał też, że tak wielkiej rycerskości, jaką Pan Lancelot w sobie miał, żaden inny rycerz w duszy swojej nie nosił. I nie mogąc dłużej na Pana Lancelota patrzeć koniem zawrócił mówiąc:

— O biada, że się ta cała wojna rozpoczęła.

Potem z jednej i drugiej strony rycerze z pola zjechali, ażeby wytchnąć, zabitych pogrzebać i rannym leki kojące do ran przyłożyć. I tak, w spokoju noc zeszła, ale rankiem znowu ci i tamci w pogotowiu do bitwy stanęli. A gdy wieczór się zbliżał, znowu Pan Lancelot ze swoimi towarzyszami górą nad przeciwnikiem był, wszelako z litości rycerzy swoich on powstrzymywał i pozwolił królewskiemu wojsku z pola zjechać, zasię sam z towarzyszami do zamku wrócił.

 I tak dzień

I tak dzień po dniu toczyła się ta wojna. Na cały świat chrześcijański wrzawa o niej poszła, aż wreszcie do papieża dotarła. Ten o królu Arturze i o Panu Lancelocie wiedząc, że ich obu najszlachetniejszymi na świecie rycerzami nazywają, umyślił owej wojnie dwóch tak wspaniałych mężów kres położyć. Tedy księdza uczonego do siebie przywołał — a mówi francuska książka, że to biskup Rochesteru był — i bullę mu swoją dał, ażeby ją ów ksiądz Arturowi, królowi Anglii, zawiózł. A w tej bulli pod grozą klątwy, którą by całą Anglię obłożył, nakazywał, ażeby król królowę swoją, Damę Ginewrę, do siebie z powrotem wziął i z Panem Lancelotem się pojednał.

Tak tedy, kiedy biskup do Carliste przyjechał, królowi ową bullę pokazał i za sprawą tej bulli zgoda między królem a Panem Lancelotem stanęła. Z wielką tedy wspaniałością i paradą Pan Lancelot z królową ze Strażnicy Radosnej do Carlisle pojechał. Tam oboje przed królem Arturem uklękli, a on z radością z nimi się pojednał. Ale Pan Gawen nie chciał za nic przystać na zgodę z rycerzem, który braci jego zabił. I do Pana Lancelota on powiedział:

— Może sobie król królowę swoją z powrotem brać, jeśli taka jego wola, może on też i z tobą się pojednać, ale między nami dwoma nie masz pojednania. A jakeś tu do Carlisle bezpiecznie przybył, tak i cało stąd odjedziesz, ale dłużej niż dni piętnaście na tej ziemi zostawać nie będziesz. Taki na ciebie wyrok zapadł i takeśmy się z królem ugodzili, nimeś tu jeszcze przyjechał, a wiedz, że gdyby nie to, inaczej byś się tu jak trupem nie pojawił. Gdyby też nie papieża rozkaz, piersią w pierś z tobą bym się zmierzył, ażeby tego na tobie dowieść, żeś zdrajcą nieszczerym zarówno wobec wuja mego, jak i mnie się okazał. A i dowiodę tego na ciele

twoim, gdziekolwiek cię odnajdę, kiedy już stąd się oddalisz.

Westchnął Pan Lancelot i łzy mu po policzkach pociekły, i powiada:

— Niestety! O najszlachetniejsze królestwo chrześcijańskie, którem bardziej, niż inne, miłował, w tobie to większą część sławy zdobyłem, a dziś w taki oto sposób mam cię opuścić. Prawdziwie, żałuję ja teraz, żem tu był się osiedlił, skąd mnie sromotnie bez winy i bez powodu wypędzają. Lecz tak zmienną jest fortuna i tak chyże jej koło, że nie masz na tym świecie stałego siedliska. Wiedz też, Panie Gawenie, że na ziemi swojej dostatnio, jako każdy tu z was, żyć mogę. Zasię, jeśli ty, groźny królu i Pan Gawen ziemie moje najedziecie, wojny ze mną szukając i to znieść się postaram. O jedno tylko ciebie, Panie Gawenie, proszę: jeśli tam do mnie przybędziesz, zdrady ani wiarołomstwa mi więcej nie zarzucaj, bo do tego mnie zmusisz, że ci odpowiedź swoją na to dam.

A potem do Ginewry Pan Lancelot się zwrócił na głos mówiąc, ażeby go król i wszyscy inni słyszeć mogli:

— Dostojna pani, oto już na zawsze od ciebie i od tego bractwa szlachetnych rycerzy odjeżdżam. A skoro już tak się dzieje, proszę się, módl się za mnie i dobrze mnie wspominaj. A jeżeli kiedy krzywdy jakiej od złych języków ludzkich doznasz, to mi wtedy, pani moja, słóweczko jedno poślij, a jeśli tylko dłoń rycerza walką obronić ciebie będzie mogła, moja to dłoń uczyni.

— To powiedziawszy królowę ucałował i po wszystkich patrząc rzeknie:

— A teraz niech wystąpi, kto by twierdzić śmiał, że królowa panu memu Arturowi nie jest wierną. Niech wystąpi, jeśli się taki znajdzie.

Potem do króla Ginewrę przywiódł i pożegnał się

 i wyszedł

i wyszedł z sali. A nie było wówczas króla, ani diuka, ani grabi, ani barona, ani rycerza, ani niewiasty szlachetnej, kto by się od łez powstrzymać mógł. I płakali wszyscy, jak ludzie, którzy od zmysłów odchodzą, jeden tylko Pan Gawen oczy suche miał.

A kiedy szlachetny Pan Lancelot konia dosiadł i z Carlisle wyjeżdżał, płacz i szlochanie za nim szły i żal wielki.

A on ku Strażnicy Radosnej konia skierował, którą był odtąd Strażnicą Bolesną zawsze nazywał. I tak dwór Arturowy na zawsze opuścił.

KONIEC ROZDZIAŁU TRZYDZIESTEGO PIERWSZEGO

O TYM JAK PAN LANCELOT OD KRÓLA I OD STRAŻNICY RADOSNEJ ODJECHAŁ

ROZDZIAŁ XXXII O TYM JAK KRÓL ARTUR Z PANEM GAWENEM KRÓLESTWO PANA LANCELOTA NAJECHALI

Kiedy Pan Lancelot z Carlisle do Strażnicy Radosnej przybył, towarzyszy swoich on zwołał i zapytał ich, co też czynić dalej zamierzają. Wówczas wszyscy, jak byli, jednym głosem mu odrzekli, że to samo, co i on, uczynią.

Tedy powie im:

— Towarzysze mili! Ja to królestwo szlachetne opuścić muszę. A ta mnie żałość trapi, że bez honoru stąd jadę, nigdy bowiem człek wygnany z kraju jakiego czci zeń swojej cało nie wyniesie. Przeto się troskam, bo lęk mnie zdejmuje, czy też, gdy mnie już nie stanie, nie będą kroniki mówiły o mnie, żem z tej ziemi wygnany był.

Wówczas wielu szlachetnych rycerzy przemówią:

— Panie, nie zawiedziemy ciebie. Z własnej woli trudy i troski twoje w tym państwie z tobąśmy dzielili, wiedz, że równie chętnie za tobą do innych krajów pociągniemy los twój, jaki ci przypadnie, dzielić.

— Panowie moi mili — Pan Lancelot im odpowie — pojmuję ja chęć waszą i z serca, jako potrafię, za nią wam dziękuję. Wiedzcie też, że co dobytku i ziemi w dziedzictwie mi przypada, tym się z wami zarówno podzielę, gdyż nie pragnę ja bogactw żadnych i małym się zadowolić umiem. Bogu też dowierzam, że mi pozwoli na ziemi mojej utrzymanie dostatnie wam dać, jakie rycerzom przystoi.

A wówczas wszyscy naraz wyrzekną:

— Hańba temu, kto cię opuści. Pojmujemy to wszyscy, że teraz kiedy Bractwo Okrągłego Stołu się rozpadło, nie zazna już to królestwo spokoju, swary tylko a waśnie w nim będą. Na Zakonie Okrągłego Stołu Arturowa potęga się opierała. Przez długie lata szlachetność jego członków najlepszą rękojmią była pokoju i porządku, którymi ten król z królestwem swoim się cieszył. A najwięcej — mówili — tyś się do tego przyczyniał.

I tak, powiem wam krótko, że co dobytku mieli, to spakowali, a popłaciwszy co który komu był winien we stu ludzi z Panem Lancelotem pojechali przyrzekając w złej i dobrej doli przy nim wiernie do końca stać. W porcie Cardiff na okręt siedli i do Benwicku popłynęli.

Aby jednak całą prawdę wam rzec, powiedzieć muszę, że w istocie Pan Lancelot i jego siostrzeńcy panami całej Francji wówczas byli i wszystkich ziem Francji podległych, które Pan Lancelot męstwem swoim zdobył. Tedy, przybywszy tam teraz, porządek on na ziemiach tych ustanowił, parlament zwołał i ludzi na urzędy wyznaczył. Rycerzom swoim szlachetnym ziemie dał i wielu innych rzeczy dokonał, o których zbyt długo byłoby mówić.

A teraz Pana Lancelota ze szlachetnymi jego rycerzami we Francji zostawiwszy do króla Artura i Pana Gawena powróćmy, którzy tymczasem wielkie wojsko w sile sześćdziesięciu tysięcy luda zebrali. A przygotowano też i okręty, ażeby to wojsko przez morze przewieźć. W porcie Cardiff na okręty się załadowali. A wyjeżdżając król Artur Panu Mordredowi władzę nad całą Anglią i opiekę nad królową Ginewrą powierzył.

Owóż Król Artur i Pan Gawen z wojskiem swoim

morze przepłynąwszy na ziemiach Pana Lancelota wylądowali, a posuwając się naprzód ogniem i mieczem je niszczyli, ażeby złości Pana Gawena zadość się stało.

A gdy doszła do Pana Lancelota wieść, że król Artur z Panem Gawenem na ziemiach jego wylądowawszy spustoszenie na nich szerzą, powiedział mu jeden z rycerzy, Pan Lionel, człek mądry i świadomy:

— Panie Lancelocie, dostojny panie mój, dam ci ja radę jedną. W miastach warownych się zamknijmy i czekajmy, aż głód i chłód napastników znęka. A kiedy pięści własne z głodu gryźć będą, napadniemy na nich z całą siłą i precz, jak stado owiec, gnać będziemy z kraju. A taką im nauczkę damy, że raz na zawsze odechce się wrogom ziemie nasze najeżdżać.

Na to odezwie się inny, Pan Galihud, do Pana Lancelota się zwracając:

— Panie, są tu między nami rycerze, którym w żyłach krew królewska płynie. Nie zechcą oni długo w twierdzach gnuśnieć. Pozwól nam tedy, jako rycerzom przystoi, przeciw wrogowi w pole wyjechać, a tak najeźdźców pobijemy, że przeklinać będą godzinę, w której do tej krainy weszli.

A potem siedmiu braci z Walii Północnej głos zabierze (a w siedmiu chyba królestwach musiałbyś szukać drugich takich siedmiu jak oni zacnych rycerzy) — a wszyscy naraz przemówią:

— Pozwól nam, Panie Lancelocie, z Panem Galihudem na wroga ruszyć, nie chcemy po zamkach, ani też w miastach warownych się kryć.

Ale na to Pan Lancelot, pan i wódz ich wszystkich, odpowie:

— Mili panowie moi, nie chcę ja z rycerzami moimi w pole jechać, bowiem rozlewu krwi chrześcijańskiej uniknąć pragnę. A wiem i to, że ziemie moje, wyniszczone

 wielkimi

wielkimi wojnami, które tu król Klaudas przeciw ojcu mojemu, królowi Banowi i wujowi, królowi Borsowi, był prowadził, dłużej niż przez czas jakiś większego wojska nie wyżywią. Tedy w twierdzach się tymczasem zamkniemy, ja zasię wysłańca do pana mego, króla Artura, poślę zgodę mu proponując, albowiem zawsze lepszy pokój, niźli wojna.

I pannę jedną, a z nią karła, do króla posłał z żądaniem, aby wojny Artur zaniechał. A kiedy stanęła ta panna przed namiotem króla Artura, spotkał ją rycerz jeden poczciwy, Pan Lukan, królewski podczaszy. A kiedy się dowiedział, że w poselstwie ona od Pana Lancelota do króla przebywa, rzeknie jej:

— Boga ja proszę, panno, żeby ci się poselstwo twoje powiodło. Kocha pan mój, król Artur, Pana Lancelota i zgody z nim pragnie, ale Pan Gawen do tego nie dopuści.

I tak, pannę przed króla zaprowadził, a gdy ta powiedziała, z czym przybywa, uradowali się wielce wszyscy rycerze i radzili królowi, ażeby się z Panem Lancelotem pojednał. Jeden Pan Gawen mówił, że nie chce się cofać, kiedy już tak daleko zajechali.

A wówczas król mu powie:

— Panie Gawenie, posłucham ja twojej rady, przecie wydaje mi się, że źle czynię propozycję uczciwą Pana Lancelota odrzucając.

Tedy odesłał Pan Gawen pannę odpowiedź jej dawszy, że na pokój już za późno. I tak rozpoczęła się wojna.

Nigdy jeszcze był Pan Lancelot mniej, niż teraz, walki nie pragnął, ale bronić się musiał. A kiedy wojska królewskie cały Benwick obległy i rycerze drabiny do murów przystawiwszy na wały piąć się zaczęli, srogi im odpór z góry dawano.

Aż zdarzyło się jednego dnia, że Pan Gawen w pełnej zbroi, na dobrym koniu i z włóczną potężną w dłoni, przed bramę zamku wyjechał i wielkim głosem zakrzyknął:

— Gdzie jesteś, zdrajco nieszczery, Lancelocie? Dlaczego w norach, za murami, jak tchórz się ukrywasz? Wyjrzyjno tu, rycerzu zdradziecki, abym pomścił na tobie śmierć trzech braci moich.

Słyszał tę przemowę Pan Lancelot i wiedział, że tym razem wystąpić musi, inaczej na miano nikczemnego sobie zasłuży. Tedy uzbroiwszy się, jak należy, konia dosiadł, włócznię wielką wziął do ręki i za bramę wyjechał. Wtedy i oba wojska, oblegający i oblężeni, w porządku wielkim wystąpiwszy, naprzeciw siebie stanęły. A oba zarówno rozkaz były otrzymały, żeby w spokoju zupełnym na walkę tych dwóch szlachetnych rycerzy patrzeć.

A oni włócznie pochylili i, jako piorun, na siebie natarli. Pan Gawen włócznię swoją na drobne cząsteczki na zbroi Pana Lancelota połamał, ale sam nierównie silniejszy cios otrzymał. Z taką bowiem mocą Pan Lancelot uderzył, że konia Gawenowego z ziemi poderwał i padł rumak z rycerzem na ziemię. Wtedy obaj tarcze nastawili i pieszo walczyli na miecze tak straszliwe ciosy sobie zadając, że aż patrzących po jednej i po drugiej stronie dziw zdejmował.

Ale Pan Lancelot zarówno odwagę swoją, jak i zapał swój, powściągał i całej siły na obronę tylko zużywał. Tarczą się to tu, to tam przed przeciwnikiem zastawiając ciosy jego odparowywał, zasię Pan Gawen ze wszystkich sił Pana Lancelota zabić się starał. A razem z tym, jak złość i zawziętość w nim rosły, także i siła jego natarcia wzrastała. To też przez czas jakiś nie lada robotę miał Pan Lancelot, ażeby mu się nie dać powalić. Ale

kiedy trzy godziny tak upłynęły i poczuł, że Pan Gawen największą siłę swoją osiągnął, wówczas powiedział:

— Widzę, żeś potężnie walczył, ale teraz czas, żebym i ja pokazał, co potrafię.

I siłę uderzeń swoich podwoił, wkrótce też taki cios Panu Gawenowi po hełmie wymierzył, że upadł rycerz bokiem na ziemię zemdlony. Zasię skoro tylko się ocknął, ręką na Pana Lancelota skinął i powie:

— Widzisz przecie, rycerzu zdradziecki, żem ducha nie wyzionął. Podejdź tu do mnie i do ostatka ze mną walcz.

— Nie uczynię ja więcej nad to, com uczynił — Pan Lancelot mu odpowie. — Kiedy cię znowu zdrowym zobaczę, walczyć z tobą będę, dopóki się na nogach utrzymasz, ale niech mnie Bóg od takiego wstydu uchroni, żebym miał w rannego uderzać, który powstać nawet nie ma siły.

To powiedziawszy zawrócił i ku miastu odjechał. Zasię Pan Gawen wciąż zdrajco! i zdrajco! za nim wołając powiada:

— Wiedz to, Panie Lancelocie, że skoro tylko do sił wrócę, znów spotkania z tobą szukać będę, a nie zostawię cię w spokoju nigdy, póki jeden z nas nie zginie.

I tak ciągnęło się dalej oblężenie. Pan Gawen blisko miesiąc chory leżał, a kiedy wreszcie zdrowie odzyskał i gotował się za trzy dni do walki z Panem Lancelotem stanąć, przyszły z Anglii do króla Artura wieści, które sprawiły, że dalszej wojny zaniechał i z wojskiem całym ziemie Pana Lancelota opuścił.

KONIEC ROZDZIAŁU TRZYDZIESTEGO DRUGIEGO

O TYM JAK KRÓL ARTUR Z PANEM GAWENEM KRÓLESTWO PANA LANCELOTA NAJECHALI

ROZDZIAŁ XXXIII O ZDRADZIE PANA MORDREDA

Kiedy Pan Mordred zarządcą całej Anglii był, kazał on listy podrobić jakoby zza morza nadeszłe. Zasię głosiły te listy, że król Artur w walce z Panem Lancelotem poległ.

Wówczas Pan Mordred parlament zwołał, wszystkich możnych panów zgromadził i tak nimi pokierował, że go królem obwołali. W Canterbury się ukoronował i ucztę tam wielką wyprawił, która dni piętnaście trwała. Potem do Winchester pociągnął, do królowej Ginewry i wręcz jej oświadczył, że ją za żonę pojmie. A przecie wuja jego małżonką była!

Nakazał do godów weselnych przygotowania wszelkie poczynić i dzień już wyznaczono, kiedy się te zaślubiny odbyć miały. Smuciła się wielce i trwożyła królowa Ginewra, ale nie śmiała otwarcie Panu Mordredowi się sprzeciwić, tedy postąpić zgodnie z jego wolą przyrzekła. A poprosiła go też o to, ażeby jej do Londynu jechać pozwolił, gdzie by wszystko, co jej do wesela było potrzebne, kupić sobie mogła. A przemawiała doń tak wdzięcznie, że uwierzył jej miłym słówkom Pan Mordred i na ten wyjazd pozwolenie jej swoje dał.

A kiedy do Londynu królowa przybyła, do twierdzy tamtejszej Wieżą nazywanej się schroniła, pośpiesznie w żywność ją zaopatrzywszy i siłę ludzi zbrojnych do niej ściągnąwszy. I tak w tej twierdzy się zamknęła.

Kiedy się o tym Pan Mordred dowiedział i pojął, jak go w pole wywiodła, złością niepomierną się uniósł. Ażeby w długie opowieści o tym się nie wdawać, powiem wam tyle, że zaraz do Londynu z wojskiem pociągnął i srogi szturm do onej twierdzy przypuścił. Machiny oblężnicze dokoła murów jej kazał ustawić i pociskami srogimi w nie miotać. Ale nie na wiele się to wszystko Panu Mordredowi zdało, albowiem królowej Ginewry, ani piękną mową, ani też groźbami, do poddania mu się skłonić nie mógł.

A wówczas przybył do Pana Mordreda Biskup Canterbury, człek uczony, wielce i świątobliwy, i w ten sposób do niego przemówi:

— Panie, co pragniesz uczynić? Chceszli po pierwsze Bogu się narazić, powtóre hańbę na siebie i na rycerstwo całe ściągnąć? Poniechaj tej sprawy, inaczej ewangelią, dzwonem i gromnicą klątwę nad tobą uczynię.

— Czyń choćby i najgorsze — Pan Mordred mu odpowie — ale wiedz, że płazem ci tego nie puszczę.

— A ty, panie, wiedz — Biskup mu rzeknie — iż nie lękam się powinności swojej uczynić. Głosisz oto, że pan mój, Artur, nie żyje, co nieprawdą jest. Wiele ty złego ziemi tej wyrządzisz.

— Zamilcz, księże przewrotny! — Pan Mordred zawoła. — Jeśli mnie dłużej gromić będziesz, głowę ci uciąć każę.

Tedy odjechał Biskup i, jak można najuroczyściej, klątwę nad Panem Mordredem uczynił. Ścigał go za to Pan Mordred, aby go zabić. Wówczas umknął Biskup z Canterbury i nie opodal w Glastonbury się schronił. Tam w ubóstwie, jako ksiądz pustelnik, przy kaplicy zamieszkał modlitwom się świątobliwym oddając, wiedział on bowiem, że groźba straszliwej wojny nad krajem zawisła.

Owóż otrzymał był Pan Mordred wiadomość, że król

Artur oblężenia Benwicku poniechawszy z wielkim wojskiem do domu wraca, ażeby za zdradę Pana Mordreda się pomścić. Tedy do wszystkich baronów tej ziemi Pan Mordred listy rozesłał, wielu też do niego ściągnęło, albowiem takie między nimi powszechne przekonanie było, że z Arturem innego życia, jak wojny ciągłe i zwady, nie zaznają, zasię przy Panu Mordredzie pomyślność wielka i radość ich czeka. Tak to Artura odstąpili i źle mówili o nim, chociaż wielu z nich ten król z niczego panami uczynił i ziemie im nadał. Tego mu teraz nie pamiętali i dobrego słowa o nim nie rzekli.

Patrzcież wszyscy Anglicy — czy nie widzicie, jaka krzywda Arturowi się stała? Najpierwszym królem i rycerzem na świecie był, zasię rycerzy szlachetnych nade wszystko miłował, on to w górę ich wydźwignął. Nie mogliż wówczas nim się kontentować! Ale stary to zwyczaj i nawyk na ziemi angielskiej niestałość taka. A mówią ludzie, że i dziś jeszcze zwyczaju onego i nawyku nie straciliśmy, ani też wyrzuciliśmy go z pamięci. Niestety, taka to jest wielka wszystkich nas, Anglików, przywara, że nic nas zadowolić nie może. Tak też i wtedy było. Mniemali ludzie, że lepiej im przy Panu Mordredzie niż przy królu Arturze będzie. Tedy ściągali do Pana Mordreda mówiąc, że w powodzeniu, czy w klęsce przy nim będą stali.

I tak, Pan Mordred wielkie wojsko zebrawszy do portu Dover z nim pociągnął, bowiem słyszał był, że tędy król Artur do Anglii wracać będzie. Tedy myślał własnego wuja do ziemi jego nie dopuścić. A cała prawie Anglia z Panem Mordredem trzymała, tak to za nowinkami ludzie gonili.

A kiedy Pan Mordred z wojskiem swoim Dover zalegał, król Artur tam nadpłynął z wielką flotą z okrętów różnych, galer i galeon złożoną. Zaraz Pan Mordred cały

brzeg morski obsadził, ażeby wujowi swemu nie dać stanąć na ziemi, której królem był. Wówczas spuszczono z okrętów na morze wiele łodzi wielkich i małych, a każda pełna rycerzy dzielnych była. I bój srogi się zaczął. Wielu zacnych rycerzy śmierć swoją wówczas znalazło, wielu też śmiałych baronów po obu stronach padło.

Ale tak odważny był król Artur, iż nie było dlań wojsk dość groźnych, które by mu wylądować nie dały. A wszyscy jego rycerze z wielkim zapałem za przykładem króla podążali.

Tedy, pomimo Pana Mordreda i całej jego zbrojnej siły, na ląd się dostali i przeciwników swoich do cofnięcia się przymusili. Uciekać musiał Pan Mordred i wszyscy jego stronnicy.

A kiedy skończyła się bitwa, kazał król swoich poległych pogrzebać. Wówczas w jednej z wielkich łodzi Pana Gawena wpółmartwego znaleziono. Gdy dowiedział się król, że z Panem Gawenem tak źle było, zaraz do niego poszedł, żałość nad wszelką miarę okazując, gdyż droższy był mu ten syn jego siostry nad wszystkich ludzi na świecie.

Czuł to Pan Gawen, że umierać musi, bowiem w to samo miejsce cios otrzymał, gdzie raz już pod Benwickem ranę od Pana Lancelota był odebrał. Wiedział też, że on sam tej wojny nieszczęsnej był przyczyną, gdyby był bowiem Pan Lancelot przy królu pozostał, nie byłoby nigdy do niej przyszło, zasię teraz srodze królowi jego dzielnych rycerzy Okrągłego Stołu brakować będzie.

Tedy wuja swojego poprosił, aby mu kazał papier podać i atrament i pióro. A kiedy mu to wszystko przyniesiono, własną swoją ręką, jak francuska książka wspomina, tak napisał:

„Do Pana Lancelota, który kwiatem rycerstwa jest wśród wszystkich rycerzy szlachetnych, o jakich tyl-

kom kiedy słyszał, lub których za dni moich mogłem był oglądać.

Ja, Pan Gawen, króla Lota z Orkney syn, takoż syn siostry szlachetnego króla Artura, pozdrowienie moje ci posyłam i do wiadomości twojej donoszę, że dziś, w dniu dziesiątym maja, przez tę samą ranę, którąś mi był zadał, umieram. I tego chcę, żeby cały świat się dowiedział, żem ja, Pan Gawen, Okrągłego Stołu rycerz, sam śmierci szukał. Nie twoja to bowiem zasługa, tylko moja własna wola sprawiła, że umrę dzisiaj. A przed śmiercią prośbę wielką do ciebie, Panie Lancelocie, zanoszę: z powrotem do królestwa tego wracaj i grób mój odwiedzić zechciej, a modlitwę jaką, czy dwie za duszę moją zmów. Na miłość, jaka zawsze między nami dwoma była, zaklinam cię, ażebyś nie zwlekając przez morze się przeprawił i ze szlachetnymi rycerzami swoimi królowi, który cię rycerzem uczynił, na pomoc śpieszył. A znalazł się ten król, to jest pan mój, Artur, w biedzie wielkiej, w którą go zdrajca nieszczery, Pan Mordred, brat mój przyrodni pogrążył. W Dover się on na nas zasadził i wylądować nam nie dawał, aleśmy go pobili i uciekł. Wtedy i wydarzyło się, żem trafem nieszczęśliwym w tę samą ranę cios otrzymał, którąm miał z twojej, Panie Lancelocie, ręki. A nie mogła mnie śmierć z rąk bardziej szlachetnego rycerza spotkać.

Pisałem ten list na dwie tylko i pół godzin przed śmiercią moją. Własną swoją ręką go pisałem i tak częścią krwi mojej serdecznej go podpisuję."

Potem zapłakał Pan Gawen i król Artur zapłakał, a potem obydwaj zemdleli. A kiedy się z omdlenia ocknęli, zarządził król, aby Sakramentu Świętego Panu Gawenowi udzielono. Potem umierający króla prosił, ażeby po Pana Lancelota posłał i nad innych rycerzy zawsze go miłował.

 W samo

W samo południe Pan Gawen Bogu ducha oddał. Kazał go król w kaplicy zamkowej w Dover pogrzebać.

Potem doniesiono Arturowi, że Pan Mordred z wojskiem swoim na wydmach koło Barham się rozłożył. Na drugi dzień król ze swoimi tam pociągnął i wielka się między nimi bitwa odbyła. Dużo też wtedy rycerzy po jednej i po drugiej stronie poległo. Ale w końcu król Artur górę nad przeciwnikiem wziął, więc Pan Mordred i jego stronnicy do Canterbury uciekli. A po tej Pana Mordreda porażce, wielu znów ludzi do króla Artura ściągnęło. Tedy król z wojskiem swoim wzdłuż wybrzeża na zachód ku Salisbury pomaszerował i znów dzień spotkania z Panem Mordredem sobie wyznaczyli. A miała się odbyć ta walka niedaleko morza, na wydmach pod Salisbury.

Nocą, w przeddzień bitwy miał król Artur sen dziwny. Jako na jawie Pana Gawena oglądał. A ten przyszedł do niego i powiedział:

— Bóg mi pozwolenie swoje na to dał, ażebym tu do ciebie przyszedł i ostrzegł cię, iż jeśli jutro z Panem Mordredem walczyć będziesz, jakeście to sobie wyznaczyli, z wszelką pewnością zginiesz i większość rycerzy waszych polegnie. W łaskawości wielkiej i dobroci, jaką ma dla ciebie Jezus Wszechmocny litując się nad tobą i wielu innymi. którzy jutro zginąć mają, Bóg tę łaskę szczególną okazał, że mi do ciebie przyjść pozwolił, ażebym ci taką przestrogę dał. Żadną miarą walki nie przyjmuj, ale umowę z Panem Mordredem zawrzyj, że za miesiąc dopiero się spotkacie. A nie szczędź mu obietnic żadnych, byle by na tę zwłokę się zgodził, bowiem za miesiąc Pan Lancelot ze wszystkimi swoimi szlachetnymi rycerzami na pomoc ci przybędzie. A z honorem on zwycięży i Pana Mordreda oraz wszystkich, co z nim będą trzymać, zabije.

Poczem znikł Pan Gawen, zasię król Pana Lukana i brata jego, Pana Bediwira, do siebie zawezwał i dwóch jeszcze biskupów z nimi i polecił im, aby od Pana Mordreda rozejm na miesiąc za wszelką cenę uzyskali.

Tedy pojechali wysłańcy i do Pana Mordreda przybyli, tam, gdzie z wojskiem swoim stał. A było tego wojska sto tysięcy. Przez długi czas z Panem Mordredem się układali, wreszcie zgodził się ów na rozejm pod warunkiem, że Kornwalię i Hrabstwo Kentu przy sobie teraz zatrzyma, zasię po śmierci króla Artura całą Anglią władać będzie.

KONIEC ROZDZIAŁU TRZYDZIESTEGO TRZECIEGO
O ZDRADZIE PANA MORDREDA

ROZDZIAŁ XXXIV O OSTATNIEJ WIELKIEJ BITWIE KRÓLA ARTURA NA ZACHODZIE

Ugodzili się tedy Pan Lukan i Pan Bediwir z Panem Mordredem, że z królem Arturem się spotka i umowę z nim zawrze. A zjechać się mieli król i Pan Mordred na środku pola między obu wojskami, każdy z orszakiem ludzi czternastu.

Kiedy tę wiadomość królowi Arturowi zawieźli, powiedział:

— Rad jestem, że tak się stało.

I gotował się naprzeciwko Pana Mordreda jechać. Ale przedtem, nim wyruszył, wszystkim swoim rycerzom nakazał, ażeby bacznie patrzyli, co się pośrodku pola dziać będzie. Jeśliby zaś ujrzeli, że któryś z jego, albo Mordredowych ludzi miecz obnażył, wówczas skoczyć mieli odrazu i zdrajcę, Pana Mordreda, zabić. Nie dowierzał bowiem całkiem Panu Mordredowi król Artur.

A podobnież i Pan Mordred swoich przestrzegał:

— Jeśli miecz obnażony ujrzycie, całą siłą naprzód ruszajcie, a kto wam na drodze stanie, tego bijcie. Żadną bowiem miarą umowie tej nie dowierzam i dobrze to wiem, że wuj mój pomsty na mnie szukać będzie.

I tak, spotkali się, jak umówione było, i do porozumienia doszli i umowę, jak należy, zawarli. Wówczas wina przyniesiono i razem pili. A wtedy właśnie zdarzyło się, że gadzina zza kępki wrzosu wypełzła i jednego z rycerzy w stopę żądłem ukłuła. Ból poczuwszy rycerz w dół

spojrzał i gadzinę zobaczył. Wówczas miecza dobył aby ją zabić. O niczym innym zgoła on nie myślał. Ale kiedy z jednej i drugiej strony ludzie miecz obnażony ujrzeli, w jednej chwili tu i tam trąby i rogi i okrzyki wojenne się odezwały i oba wojska pędem na siebie ruszyły.

Dosiadł król Artur konia wołając: — O biada ci, dniu nieszczęsny! — potem ku swoim skoczył. To samo i Pan Mordred uczynił.

A nigdy jeszcze w żadnym kraju chrześcijańskim tak żałosnej bitwy nie oglądano, jak ta, co się wówczas zaczęła. Nic — tylko zderzenia się wzajemne, a włócznią kłucie, a mieczem rąbanie. Wiele słów obelżywych między rycerzami wówczas padło i wiele ciosów śmiertelnych sobie zadano.

A walczono tak dzień cały nie ustając, póki szlachetni rycerze na chłodnej ziemi nie legli. I walczono jeszcze dłużej, aż, gdy wieczór zapadł, sto tysięcy trupów na wydmie leżało. Wówczas spojrzał król Artur dokoła i zobaczył, że z całego jego wojska, ze wszystkich dobrych jego rycerzy, dwóch tylko żywych zostało: Pan Lukan, podczaszy i Pan Bediwir, brat jego — a obaj ciężko ranni.

— Chryste, zmiłuj się — król powie. — Co się ze wszystkimi moimi rycerzami stało? O biada mi, żem też dnia tak bolesnego dożył. Teraz i mój koniec już blisko. Ale dałby Bóg, żebym wpierw tego zdrajcę, Pana Mordreda, odnalazł, który wszystko to zło sprawił.

A gdy to mówił, Pana Mordreda, wspartego na mieczu, za stosem trupów zobaczył.

— Podaj mi włócznię moją — Panu Lukanowi król rzeknie — gdyż oto tam zdrajcę dostrzegłem, który całego nieszczęścia jest przyczyną.

— Panie, zostaw go — Pan Lukan odpowie. — Jeśli ten zły dzień przeżyjesz, srogo jeszcze na zdrajcy się pomścisz. Panie mój, pamiętaj o śnie, któryś miał, i o tym,

co ci ostatniej nocy duch Pana Gawena powiedział. Bóg cię w swojej wielkiej dobroci dotychczas żywym zachował, przeto, na miłość Boską, zamysłu swego poniechaj. Bogu niech będą dzięki, myśmy tę bitwę wygrali, gdyż oto trzech nas żyje, zasię przy Panu Mordredzie ni jeden żywy nie został. Jeżeli się teraz powstrzymasz, dokona się wreszcie ten dzień okropny.

— Czy życie, czy też śmierć mi sądzona — król rzeknie — teraz, kiedy go tam samotnego widzę, już z rąk moich on nie ujdzie, lepszej bowiem sposobności, aby go zabić, nie znajdę.

I włócznię w obie dłonie ująwszy ku Panu Mordredowi podbiegł wołając:

— Zdrajco! Oto nadszedł dzień twojej śmierci!

A gdy Pan Mordred króla posłyszał, z dobytym mieczem ku niemu się rzucił. Dźgnął go król włócznią popod tarczę i na wylot pierś jego przeszywszy na włócznię go nadział. Natenczas Pan Mordred śmierć w sobie czując, ile tylko jeszcze mocy w nim było, naprzód naparł, aż wreszcie o ucho włóczni Arturowej przy samej jej nasadzie piersią uderzył. Wtedy obu rękami miecz trzymając na głowę swego wuja, króla Artura, go spuścił hełm królowi i czerep razem rozrąbując. Zaraz potem ducha wyzionął.

Zasię szlachetny Artur zemdlony na ziemię upadł, a ocknąwszy się mdlał znowu raz po raz. Za każdym razem Pan Lukan i Pan Bediwir z ziemi go podnosili i tak, sami z ran się słaniając między sobą go wiedli do kapliczki niedużej, co tam niedaleko brzegu morskiego się znajdowała.

KONIEC ROZDZIAŁU TRZYDZIESTEGO CZWARTEGO

O OSTATNIEJ WIELKIEJ BITWIE KRÓLA ARTURA NA ZACHODZIE

ROZDZIAŁ XXXV O ODEJŚCIU KRÓLA ARTURA

Gdy położono króla w kaplicy, lepiej się poczuł. Niezadługo potem usłyszeli rycerze krzyki ludzi na wydmach, gdzie się bitwa odbyła, poszedł więc Pan Lukan dowiedzieć się, co by hałas ten mógł oznaczać. A kiedy przed kaplicą stanął, ujrzał w świetle księżyca, że to rabusie i łotrzykowie na pobojowisko wyległszy trupy poległych z klejnotów i pierścieni drogich obdzierają. Zasię kto z rycerzy szlachetnych żył jeszcze, tego dobijali, ażeby mu zbroję i, co miał przy sobie kosztownego, odebrać.

Tedy widząc co się święci, Pan Lukan czym prędzej do króla powrócił i opowiedział mu wszystko, co był widział i słyszał. Zasię na końcu doradzi:

— To też lepiej będzie, kiedy cię stąd do miasta jakiego zabierzemy.

— Tego i ja bym sobie życzył — król odpowie — nie wiem tylko, czy się na nogach utrzymać zdołam, albowiem srodze w głowie mi się mąci. Ach, Panie Lancelocie, jakże mi bardzo ciebie dnia dzisiejszego niedostawało. O biada, żem też kiedyś przeciw tobie stanął. Za to i śmierć jest nade mną, o czym mnie Pan Gawen był ostrzegał.

Potem Pan Lukan z Panem Bediwirem króla z ziemi dźwignęli, przy czym omdlał król. Omdlał i Pan Lukan z wysiłkiem rannego dźwignąwszy, jako że i sam wiele

ciężkich ran był otrzymał. I tak nie ocknąwszy się z omdlenia życie zakończył. A kiedy król Artur do siebie przyszedł i Pana Lukana martwego zobaczył i Pana Bediwira nad trupem brata płaczącego, rzeknie wówczas:

— Bolesny to wielce dla mnie widok śmierć tego szlachetnego książęcia oglądać, który z miłości dla mnie zmarł, bowiem pomóc mi chciał sam bardziej niż ja po mocy potrzebując. Przecie, Panie Bediwirze, płacz i biadanie nie zdadzą mi się już na nic. Wiedz to, że gdybym żyć mógł dłużej, do końca życia śmiercią Pana Lukana bym się smucił, ale i mój czas szybko uchodzi. Przeto, Panie Bediwirze, weź miecz mój dobry Ekskalibur i nad brzeg morza z nim idź. A kiedy nad wodą staniesz, to ci nakazuję, abyś ten mój miecz w wodę rzucił i tu z powrotem do mnie przyszedł i powiedział mi, coś na morzu wówczas widział.

— Panie mój — Pan Bediwir odpowie — rozkaz twój spełnię i wnet z wieścią do ciebie wrócę.

I poszedł uczynić, co mu król był nakazał. Zasię po drodze miecz ów szlachetny obejrzał, który głowicę i rękojeść całą z najdroższych klejnotów miał zdziałane. I powiedział sobie: — Jeśli ten miecz drogocenny do wody wrzucę, nic dobrego z tego nie wyniknie, nieszczęście tylko i strata. I pod drzewem miecz ukrył. Potem chwilę przeczekawszy do króla powrócił i powiedział mu, że nad wodą był i miecz do wody wrzucił.

— Coś też wówczas na morzu widział? — król zapyta.

— Panie — Pan Bediwir odrzeknie — nic krom fali wiatrem targanej.

— Nieprawdę mówisz — król mu na to powie — Idź tedy nie zwlekając, a, jakoś mi miły, rozkaz mój wypełnij, nie oszczędzaj miecza i w wodę go wrzuć.

Tedy poszedł Pan Bediwir i miecz wziął do ręki i po-

 myślał

myślał znowu, że to wstyd i grzech tak szlachetny miecz precz wyrzucić. I miecz ukrywszy do króla powrócił i powiedział mu, że nad wodą był i rozkaz królewski wypełnił.

— Coś też wówczas na morzu widział? — król zapyta.

— Panie — Pan Bediwir odpowie — tylko wody, które wiatr wzdymał, tylko fale o brzeg pluszczące.

— Ach, zdrajco kłamliwy! — król Artur zawoła — oto po raz drugi mnie już zwodzisz. I kto by to przypuścić mógł, że ty, któregom cenił i miłował, ty, który szlachetnego rycerza miano nosisz, dla bogactw miecza mnie zdradzisz. A teraz ruszaj znowu co prędzej, gdyż zwlekając na wielkie niebezpieczeństwo życie moje narażasz, albowiem przemarzłem. A jeśli i tym razem żądania mojego nie spełnisz, a żywym mnie tu jeszcze zastaniesz, własnymi swymi rękoma cię zabiję, za to, że miecz mój bogaty bardziej, niżli życie moje, sobie cenisz.

Tedy poszedł Pan Bediwir, gdzie miecz spoczywał, i wziął go i nad brzeg morza zaniósł. Tam pas dokoła rękojeści okręciwszy, jak mógł najdalej, miecz na wodę rzucił. A wówczas na spotkanie miecza ramię z wody się wynurzyło. Zasię miecz w dłoń pochwyciwszy i potrząsnąwszy nim trzy razy kilkakroć powietrze jasnym ostrzem przecięło, poczem, z mieczem razem, znowu pod wodą się skryło.

Tedy wrócił Pan Bediwir do króla i opowiedział mu, co był na morzu widział.

— Niestety — rzeknie król — na to miejsce mnie zaprowadź, albowiem lękam się, żem zbyt już długo zwlekał.

Wówczas wziął Pan Bediwir króla na plecy i nad morze go zaniósł. A tam, przy brzegu barkę niedużą ujrzeli, jak na fali się kołysała, zasię w barce pań pięknych

 orszak

orszak cały i trzy królowe, z których jedna najstarszą nad nimi była. A wszystkie one w czarne płaszcze były spowite i kaptury czarne na głowach miały, a kiedy króla Artura zobaczyły, płakać i zawodzić zaczęły.

— A teraz do tej barki mnie złóż — król do Pana Bediwira powie.

Tedy z całą ostrożnością Pan Bediwir to uczynił.

Natenczas trzy królowe z łodzi się wychyliwszy króla w ramiona swoje wzięły i płacząc na dnie barki go ułożyły, a on na łonie jednej z nich głowę oparł. Rzekła wówczas:

— O, drogi bracie, czemuś tak długo zdala ode mnie zostawał? Ach, niestety, wielce też chłód tę ranę, co ją na głowie masz, wyziębił.

A potem odbiła barka od brzegu i widział Pan Bediwir, jako się po wodzie oddala. Wtedy zawołał:

— Ach, panie mój, Arturze, co się ze mną stanie, kiedy tu sam bez ciebie wśród nieprzyjaciół moich się znajdę?

— Nie rozpaczaj — król mu odpowie — i jako możesz radź sobie, albowiem w niczym ci już pomóc nie mogę. Do doliny Avilionu śpieszyć muszę, aby tam z rany się swojej bolesnej uleczyć. A jeżeli nie ujrzysz mnie już więcej, pomódl się za duszę moją.

I znów one królowe i niewiasty, co w barce były, szlochać i zawodzić zaczęły, aż litość brała lamentu tego słuchać. I tak odpłynęła barka.

Płakał także i lamentował Pan Bediwir, skoro barkę z oczu stracił, potem do lasu kroki swoje skierował i przez noc całą lasem tym szedł. A rankiem między dwiema ogromnymi skałami, co się tam z dawien dawna wznosiły, kaplicę i domek pustelnika wpodle zobaczył. Wówczas pociechy doznał.

A kiedy do kaplicy wszedł, pustelnika ujrzał modlą-

cego się nad grobem świeżo zamkniętym. Zasię nie kto inny to był, tylko ów Biskup Canterbury, przez Pana Mordreda niegdyś wygnany. I zapytał go Pan Bediwir, kto też w grobie tym pochowany leży.

— Miły synu, — pustelnik mu rzeknie — prawdziwie tego ci powiedzieć nie umiem, albowiem dziś o północy orszak pań szlachetnych w pustelni tej się zjawił, a przyniosły one ze sobą zwłoki rycerza i prosiły, abym je tu pochował. A dały mi też złotych sto suwerenów i sto świec woskowych do kaplicy tej ofiarowały.

Wówczas pojął Pan Bediwir, że to król Artur w tej kaplicy pogrzebany leży, przeto pustelnika poprosił, ażeby mu w pustelni przy sobie zamieszkać pozwolił. I tak już na stałe w pustelni pozostał z pustelnikiem, który niegdyś Biskupem był Canterbury. Szaty zgrzebne na siebie wdział i pustelnikowi z wielką pokorą służył postom się i modłom pobożnym oddając.

A co się króla Artura tyczy, niczegom już o nim więcej, co by na wiarę zasługiwało, w księdze żadnej nie wyczytał. Ani też udało mi się o jego śmierci pewniejszej jakiej wieści zasłyszeć, prócz tej, że go owa barka, gdzie trzy królowe przebywały, w dal uwiozła. Wprawdzie powiadał pustelnik, ów, co to czas jakiś Biskupem Canterbury był, że pochował w kaplicy rycerza, którego mu niewiasty szlachetne nocą martwego przyniosły, ale nie mógł on z całą pewnością twierdzić, że to króla Artura były zwłoki. I tak, powstała ta opowieść z tego, co Pan Bediwir, rycerz Okrągłego Stołu, innym był opowiedział.

A są tacy w wielu częściach Anglii, co i dziś jeszcze powiadają, że nie umarł wcale król Artur, tylko z wolą Pana naszego Jezusa na innym jakimś miejscu przebywa. A i to również powiadają, że powróci jeszcze ten król i Święty Krzyż zdobędzie. Nie powiem ja tego, że tak właśnie się stanie, ale to raczej powiem, że tu, na tym

świecie

świecie, żywot on swój odmienił. Przecież wielu ludzi utrzymuje, że na jego grobie te słowa są napisane: „Hic jacet Arthurus Rex quondam Rex que futurus“: „Tu spoczywa Artur, który królem był i królem będzie“.

KONIEC ROZDZIAŁU TRZYDZIESTEGO PIĄTEGO
O ODEJŚCIU KRÓLA ARTURA

ROZDZIAŁ XXXVI KOŃCZĄCY OPOWIEŚĆ O KRÓLU ARTURZE

Kiedy królowa Ginewra dowiedziała się, że król Artur nie żyje i wszyscy szlachetni rycerze polegli, także Pan Mordred i reszta cała — wówczas pięć pań dworskich tylko ze sobą biorąc dwór królewski potajemnie opuściła. Do Almesbury się udała i tam mniszką się uczyniła. W postach ona, a modłach, a miłosiernych uczynkach cnotliwy wielce żywot pędziła, tak iż z podziwem ludzie rozmaici na chwalebną przemianę tej pani patrzyli. A potem, jako rozum dyktował, przeoryszą klasztoru królowa została.

A kiedy do Benwicku, do Pana Lancelota z Jeziora wieść doszła, że Pan Mordred na króla się ukoronował i z wujem swoim wojnę wszczął, zaraz rycerz z wielkim pośpiechem okręty i galery do drogi sposobić kazał, aby do Anglii ruszać. I tak morze z wojskiem przepłynąwszy w Dover stanął. Tam opowiedzieli mu ludzie, jak król Artur zginął i jak sto tysięcy rycerzy jednego dnia poległo. Opowiedzieli mu także o pierwszej bitwie, która w Dover się odbyła, kiedy to Pan Mordred wylądować królowi na jego ziemi nie dawał i jak wtedy dobry Pan Gawen śmierć swoją znalazł. Zasię potem kilku takich, co w mieście tym mieszkali, do zamku Pana Lancelota zaprowadzili i grób mu Pana Gawena pokazali. Tam to rycerz nad śmiercią druha swojego wielki lament uczynił a wszyscy księża i ludzie duchowni, jacy tylko w okolicy

byli, w kaplicy zamkowej się zebrali i uroczystą mszę żałobną za spokój duszy Pana Gawena odprawiono.

Przez dwie noce Pan Lancelot na grobie Pana Gawena leżał modląc się i płacząc, zasię na trzeci dzień wszystkich swoich królów, diuków, grabiów, baronów i rycerzy zgromadził i tak im powiada:

— Mili panowie moi, dzięki wam wszystkim za to składam, żeście tu ze mną do kraju tego przybyli. Wszelako przybyliśmy tu za późno, a choć do końca swego życia żałować tego nie przestanę, wiem ja przecież, że nic człek nie wskóra przeciw śmierci się buntując. A skoro tak się już stało, pojadę ja pani swojej, królowej Ginewry, szukać, gdyż powiadano mi, że w wielkim smutku ona żyje. Zasię wy wszyscy tutaj w Dover powrotu mego czekajcie, a jeżeli po dniach piętnastu się nie zjawię, bierzcie okręty i wojsko i do kraju swego wracajcie.

I tak, samotnie w podróż na zachód Anglii wyruszył. Tam przez dni siedem czy osiem poszukiwania czynił, wreszcie klasztor odnalazł, gdzie królowa Ginewra przeoryszą była. Raz tylko jeden z nią mówił, potem na konia siadł i odjechał, ażeby świata tego się wyrzec, tak, jak to ona była uczyniła.

Cały dzień i noc całą lasem jechał, w końcu kaplicę wpodle pustelni między dwiema ogromnymi skałami zobaczył. Tam zajechał i Pana Bediwira z Biskupem Canterbury spotkał, albowiem do ich to właśnie pustelni był trafił. Wówczas Biskupowi oznajmił, że jako brat zakonny przy pustelni tej pozostać chce. Uradował się Biskup tym postanowieniem rycerza i w szaty pustelnika go odział. Odtąd poszcząc i modląc się dniem i nocą Bogu Pan Lancelot służył.

Przez dni piętnaście wielkie wojska w Dover, jak to im Pan Lancelot był nakazał, na powrót jego czekały, a kiedy upłynął czas i nie wrócił rycerz, Pan Bors z Ga-

nisu kazał wojsku na okręty siadać i do Benwicku z powrotem je wyprawił. Ale sam on, a z nim kilku innych pana Lancelotowych krewniaków, na okręt nie siedli, tylko szukać Pana Lancelota wzdłuż i wszerz całej Anglii postanowili. I wydarzyło się trafem szczęśliwym, że Pan Bors kawał kraju już zjeździwszy na tę samą pustelnię natrafił, gdzie Pan Bediwir z Panem Lancelotem przebywali. Wówczas i on także Biskupa poprosił, ażeby mu w pustelni z towarzyszami jego zostać pozwolił. Tedy szaty pustelnicze mu dano i pozostał i w postach i modłach żywot pędził.

A gdy pół roku minęło, przybyło do pustelni siedmiu innych jeszcze rycerzy, którzy Pana Lancelota ujrzawszy za nic już jechać dalej nie chcieli, tylko ubiór pustelnika, jaki on nosił, przyoblec pragnęli. I tak przez lat sześć razem wszyscy Boga wielbili, poczem Pan Lancelot duchowną sukienkę przywdział. Zasię i towarzysze jego niczym innym się nie zajmowali tylko ksiąg świętych czytaniem i do Mszy Świętej służeniem i umartwieniem ciała przeróżnym. To też konie ich, luzem puszczone, gdzie chciały, tam sobie chodziły, albowiem panowie ich o żadne ziemskie dobra już nie stali.

A jednej nocy Pan Lancelot widzenie miał, z którego wyrozumiał, że do Almesbury ma się udać, albowiem królowa Ginewra umarła. Miał tedy rycerz zwłoki królowej stamtąd zabrać i obok małżonka jej, szlachetnego króla Artura, je pogrześć. Tedy wstał o świcie i siedmiu rycerzy ze sobą wziąwszy wraz z nimi pieszo w drogę do Almesbury wyruszył. A wynosiła ta droga z Glastonbury do Almesbury mil przeszło trzydzieści. Zasię do klasztoru przybywszy, gdzie Ginewra przeoryszą była, dowiedzieli się, iż przed pół godziną ledwo zmarła. A powiadały mniszki, że przed śmiercią im mówiła o tym, iż od roku przeszło Pan Lancelot księdzem już jest i że teraz co sił

 do niej

do niej śpieszy, ażeby zwłoki jej zabrać i w Glastonbury je pogrzebać.

I tak, Pan Lancelot z siedmiu towarzyszami swymi pieszo przy zwłokach królowej idąc do Glastonbury powrócili. Tam w kaplicy przy pustelni z wielką uroczystością królowę pochowali. A kiedy Ginewrę do ziemi złożono, omdlał Pan Lancelot, albowiem wspomniał był sobie tę szlachetność i dobroć, jaką zarówno król jak i ona w sobie mieli, a i to także, że jego błąd i pycha to sprawiły, iż tu dzisiaj oboje leżą.

Od tego dnia Pan Lancelot do sił nie wracał, tylko coraz bardziej słabł. W sześć niedziel potem Pan Bors i towarzysze martwego go na łożu jego znaleźli. Natenczas Biskup Mszę Żałobną za spokój duszy rycerza odprawił, po czym zaś on i dziewięciu rycerzy z pustelni ciało Pana Lancelota wzięli i do zamku jego, Strażnicy Radosnej, je zanieśli. Tam, na chórze w kaplicy zamkowej, jako sobie był Pan Lancelot życzył, uroczyście go pochowano. A potem wszyscy rycerze z Biskupem Canterbury do pustelni jego powrócili.

Zasię królem Anglii został podówczas obrany Pan Konstantyn z Kornwalii, rycerz wielce szlachetny, który ze sławą potem państwem tym władał. Ten to król Konstantyn posłyszawszy, że Biskup Canterbury w pustelni, w lesie przebywa, zaraz po niego posłał i biskupstwo Canterbury mu przywrócił. I tak Biskup pustelnię opuścił. Ale Pan Bediwir do końca życia swego, jako pustelnik, tam zostawał. O Panu Borsie i trzech innych rycerzach spośród tych, co w pustelni z nim razem byli, francuska książka wspomina. A powiada ona, że wszyscy czterej do Ziemi Świętej się udali, gdzie wiele bitew z niewiernymi Turkami stoczyli i gdzie wreszcie śmierć dla miłości Boga ponieśli. W Wielki Piątek stać się to miało.

Tu kończy się książka o królu Arturze i szlachetnych

 jego

jego rycerzach Okrągłego Stołu. A kiedy wszyscy razem się zebrali, stu i czterdziestu ich było. Tu także Śmierci Artura koniec. A teraz, miłościwi panowie i panie, coście tę książkę o królu Arturze i jego rycerzach od początku do końca przeczytali, prośbę do was zanoszę: módlcie się za mnie, aby mnie Bóg, pókim żyw, łaską swoją darzył, a kiedy umrę, za moją duszę pacierze odmawiajcie. Pan Thomas Malory, Rycerz, w dziewiątym roku panowania Króla Edwarda Czwartego książkę tę ukończył. Niech mu Jezus Wszechmocny przyjdzie z dobrą pomocą, bo zawsze Jezusowi służył on dniem i nocą.

Y tak konczy sie ta wielce szlachetna y ucieszna księga Le Morte Darthur — Śmiercią Artura zwana. Tem ci nie mniey opowiada ona o narodzinach, żywocie y czynach pomienionego króla Artura, o iego szlachetnych rycerzach Okrągłego Stołu, ich przedziwnych wyprawach i przygodach, o Świętego Graala odnalezieniu, nakoniec o śmierci bolesney y o świata tego przez nich wszystkich opuszczeniu. Którą to księgę Pan Thomas Malory, Rycerz, o czem wyżey wspomniane było, po angielsku ułożył, zasię ja w oficynie mojej w Opactwie Westminsterskim drukować ukończyłem w dniu ostatnim lipca Roku Pańskiego MCCCCLXXXV.
Caxton me fieri fecit.

TU KOŃCZY SIĘ OPOWIEŚĆ O KRÓLU ARTURZE I RYCERZACH OKRĄGŁEGO STOŁU

TREŚĆ